

NECEL AUGUSTYN

W POGONI ZA ŁAWICAMI

Rozdział I

PO ostatnich deszczach, pełną kałuż dro- II Bp^gą wiejską szedł młody mężczyzna z marynar- llgS^Hskim workiem na plecach. Stąpił ostrożnie, I En^ starając się nie ubłócić pięknie Wypucowanych trzewików, i za każdym krokiem narzekał głośno:

— Co za ~błoto, w Hamburgu ulice czyste jak posadzka ' w kościele.

— Kto to taki, że tak narzeka na naszą wieś? — pytały rybaczkę oglądając się ciekawie za przybyszem.

— Pewnie jakiś pan, bo melonik u niego jakby w samym Gdańsku mieszkał — odpowiedzieli rybacy.

* Nikt nie poznał w przybyłym Tony Mrocha, syna ubo

giego rybaka. Tonę osiem lat temu powołano do wilusio- wej marynarki wojennej. Po trzech latach dosłużył się mata i został zwolniony, ale wtedy zaciągnął się sam do marynarki handlowej w Hamburgu. Wypływał na wszystkie strony świata. Nieźle mu się nawet wiodło na statkach jego cesarskiej mości. Był pilny, posłuszny, znał swój zawód, wkrótce też zdobył uznanie zwierzchników i stopień bosmana, ale nieoczekiwanie dla samego siebie któregoś dnia tak zatęsknił za rodzinną wioską, za swoimi, że spakował cały swój dobytek do marynarskiego worka i pomimo protestów zwierzchników, którzy wcale nie chcieli ni stąd, ni zowąd tracić doskonałego sygnalisty, zmustrował z wilusiowej łajby.

Tona doszedł do checzy rybackiej należącej do starego rybaka Krupa, gdzie mieszkał jako lokator ojciec Tony.

Krup był wdowcem, miał dwie córki i syna i wcale nie nazywał się Krup, tylko Korba. Teraz już chyba nikt nie pamiętał prawdziwego nazwiska starego, ogólnie nie lubianego rybaka. Złośliwe przymięsko przyłgnęło na amen.

Przydomek swój otrzymał po wojnie niemiecko-francu- skiej, kiedy to walczył pod Strasbourgiem i Belfortem w armii księcia Fryderyka Karola i choć tyle świata widział, wciąż tylko — pytany i nie pytany — gadał o armatach Kruppa. Stąd poszło przymięsko.

Dziś Krup był stróżem nocnym. Co wieczór o godzinie dziewiętej wychodził na wieś i gwizdząc obchodził ją od końca do końca. Do niego należało też ściąganie podatków od właścicieli psów i kar od rodziców za niewysyłanie dzieci do szkoły. A że rybacy równie niechętnie płacili podatki, jak i kary, Krup szybko znenawidził i dzieci, i psy z całej wsi. Ta nienawiść do psów i dzieci udzieliła się i jego starszej córce, Weronice. Nie było dziecka ani psa w okolicy, którego by nie zbeształa albo

i szturchnęła. Toteż Tona, mieszkający z rodzicami w jednej checzy obok Krupy, jeszcze w chłopięcych latach dał Weronice miano "Szczuka".

— A co słyhać u gospodarza? — zapytał po serdecznym przywitaniu z matką i ojcem. — Czy Weronika wyszła już za mąż?

Matka odwróciła się od kominka, na którym smażyła jajecznicę dla syna. Spojrzała, jak wyjmował z worka garnitury, jeden za drugim, i kładł do skrzyni.

— Korba jak Korba. Nic się nie zmienił, choć ma już przeszło sześćdziesiątkę. A Szczuka nie lepsza od starego. Nie wyszła za mąż, bo każdy ma na nią długie zęby. Brudna i pyskata, ale silna niby chłop. Dwa korce żyta uniesie jak nic. /

Tona głęboko się zamyślił. Przypomniało mu się, że to on sam wymyślił przydomek dla dziewczyny.

Może jej zrobiłem wielką krzywdę — pomyślał. — Nie wyszła za mąż, bo nikt nie chce żony z takim mianem.

— Szkoda — odezwał się po chwili — jak byłem mały, razem nosiliśmy jedzenie naszym ojcom, kiedy w jednej maszoperii łowili łososie. Bawiłem się z nią na strądzie w piachu. Żal mi jej.

— Dobra z niej karzenica — odezwała się matka — ale kłamliwa. Rybaczki mówią, że na starość będzie z niej czarownica. Wiadomo, Szczuka.

— Widzę, jaką jej krzywdę zrobiłem nazywając ją Szczuką — powiedział Tona. — Bóg i ludzie mi nie wybaczą, jeśli tej krzywdy nie naprawię.

— Chcesz jej dać pieniądze? — zdziwiła się matka.

— Nie, nenko. Jak mnie zechce, pojmem ją za żonę.

— Co zrobisz? — nie rozumiała rybaczka.

— Jak mnie zechce, pojmem ją za żonę — powtórzył zdecydowanie Tona.

— Nie rób tego, synku, abyś potem nie przeklinał dzisiejszej godziny.

Tonie żal było matki, wiedział, że chciałaby dla niego innej dziewczyny za żonę. Żeby ją pocieszyć, dodał tylko:

— To stary Krup winien, że Weroniki ni ludzie, ni psy nie lubią. Bił dziewczynę i kazał pracować nad siły. Sam widziałem, jak zaprzęgał ją do brony albo i do pługa. Z innymi ludźmi to i ona będzie inna. Nie wierzę, żeby na dobre słowo odpowiadała złym.

— Prawdę mówisz, chłopcze, Krup ją wyzyskiwał — odezwał się ojciec Tony, Michał, który już ostatni rok rybaczył w maszoperii. Zadowolony był, że syn wrócił wreszcie ze świata i zastąpi go

teraz w połowach. — Gdybyś mógł Weronikę wybawić z rąk ojca, Pan Bóg w niebie pamiętałby o tym.

Syn rad, że ojciec przemówił za Weroniką, chciał żelazo kuć, póki gorące.

— Przywiozłem nieco grosza ze sobą, kupię nową checz — ciągnął. — Gdybym pojął taką karzenicę za żonę, nie byłoby u nas biedy.

— Niech się dzieje wola Boża — rzekła matka. — Może masz rację, synku.

Jeszcze tego dnia udał się młody marynarz ze swym ojcem Michałem do gospodarza.

— Tyle sztormowych dni przeżyliśmy pod jednym dachem, toteż chyba nie odmówisz, kiedy poproszę dla mego syna o rękę twej córki Weroniki — zaczął Michał.

Krup wybałuszył oczy na pięknego młodzieńca, a potem spojrzał na córkę.

— Tatu, ja go chcę — odezwała się Weronika. — Byleby dotrzymał słowa, bo takim, co kieliszka nie wypiją, nie można za bardzo wierzyć.

— Tak, tak — potwierdził Krup. — Narzekają na nie- ' go rybacy. Wrócił z Hamburga i ani piwa nie postawił.

Czy aby z niego chłop jest?

W tej chwili Tona wyciągnął z kieszeni kanciastą butelkę pełną kornusu i postawił na stole.

— Tu jest budla, a w budli słowo — rzekł.

— W takim wypadku mowa się zmieni — odezwał się Krup.

Za kilka dni narzeczeni dali swarzewskiemu księdzu na zapowiedzi. Tego samego dnia udało się Tonie kupić checz, która się odróżniała od innych: miała dach pokryty dachówką, dwa pokoje, w każdym pokoju po dwa okna i podłogę z desek, i oddzielną kuchnię. W drugim końcu checzy było małe pomieszczenie na sieci, chlewek na jedną krowę i zagroda dla świń.

Z oszczędności Tony pozostało jeszcze osiemdziesiąt marek, które przeznaczył na zakup łodzi. Pozostałoby mu więcej, ale Krup postanowił swej córce wyprawić okazałe wesele. Poleciał przysłemu zięciowi kupić beczkę piwa, dostarczyć większej ilości kornusu, papierosów i moc tabaki do zażywania, co zresztą tradycyjnie należało do obowiązków pana młodego. Do obowiązków narzeczonego należało też kupienie welonu. Tona zaś kupił dla przyszłej żony cały strój ślubny i wynajął od karczmarza salę, w której zazwyczaj odbywały się tańce.

W dzień ślubu pod dom weselny od samego rana schodzili się i zjeżdżali weselnicy. Pięknie przystrojonych bryczek naliczono aż dwadzieścia. Krup sprowadził je od gburów z całej okolicy. Czterech młodych muzykantów tak głośno grało, że słyszano ich w sąsiednich wsiach.

. — Takiej dobrej muzyki we wsi jeszcze nie było — mówili rybacy.

— Co za wesele wyprawia ten stróż nocny — dziwiły się rybaczki.

Gdy Krup udzielił swej córce błogosławieństwa, a ojciec Tony i matka położyli swe spracowane dłonie na głowach nowożeńców, młoda para siadła do strojnej bryczki. Ślubny orszak ruszył do swarzewskiego kościoła. Na czele orszaku jechał drabiniasty wóz z grajkami, a za wozem ciągnął się długi szereg bryczek. Młoda para jechała na samym końcu. Wystrojona oblubienica co chwila poprawiała welon na tłustych, nie umytych włosach i drapała się w policzek, na którym sterczała wielka brodawka z kilkoma nierównymi włosami, czarna od brudu szyja odcinała się od bieli weselnej sukni. Ale Tona nie zwracał uwagi na wygląd żony, trapiło go co innego.

Pięknie mnie teść urządził — myślał sobie — zamiast

nam pomóc, uszykował ciężką pracę. Chyba jesieni nie starczy, aby odrobić te bryczki. Za każdą trzeba będzie odharować po parę dni przy wykopkach. Ile tego razem jest? Chyba więcej jak pół kopy?

Tona spojrział na długą linię powozów, na których pół pijani parobcy trzaskali batami.

Nie miał jednak wiele czasu na smutne rozmyślania, bo dojeżdżali właśnie do kościoła.

Młode małżeństwo nie miało wesołego miodowego miesiąca. Weronika skoro świt zrywała się z pościeli, by biec na odrobek na gburские pola, a wracała nocą prawie. Tona zaś zastawiał żaki w maszoperii. Musieli żyć i musieli spłacić gburские bryczki.

Wkrótce po ich ślubie umarł stary Michał. Tona głęboko przeżył śmierć ojca.

— Biedny ojciec — mówił do matki. — Nawet nie nacieszył się własnym dachem nad głową.

Dochodziło już do świętego Marcina i ciąg węgorza ustał. Weronika częściowo zdołała odrobić furmanki. Młody Mroch postanowił zdobyć sobie łódź. Dowiedział się skądś, że łódź można nabyć w Chałupach.

Pewnego pogodnego poranka Weronika przygotowała Tonie śniadanie, zawiązała mu starannie do czerwonej, zatabaczonej chusteczki cztery wilusie i odprawiła strądem w stronę Półwyspu Helskiego.

Szmaragdowe morze lekko pluskało o zolój. Chmury ptactwa morskiego, które przyciągnęło już z dalekiej północy, robiły niesamowitą wrzawę. Tona szedł wzdłuż zolój u wpatrując się w morze. Dwu i trzymasztowe szlary z lekkim pochyłem posuwały się na zachód. Od kilku dni dmuchała pogodna zyda. Wszystkie załadowane barki i szkunery płynęły z towarem do Holandii, Belgii i Anglii. Tylko takich transatlantyków, na jakich pływał, nie było, niestety, widać. Owszem, gdzieś kopcił parowy statek, ale były to tylko małe kurpy.

Doszedł tak do Cetniewskiego Haku, tu zobaczył rozciągnięte do suszenia żaki. W jednym z nich poruszał się uwięziony zając.

— W morzu żaki łowią węgorze, a na łądzie zające — powiedział do siebie Tona i podszedł do sieci.

Zając na widok człowieka zaczął rozpaczliwie szamotać się w sieci.

Jakie życie jest miłe nawet dla zająca — myślał Mroch rozciągając zawiązkę i uwalniając szaraka.

Zając drżał na całym ciele, nie okazywał jednak ochoty do ucieczki.

— Zagłodziłeś się, biedaku, i sił ci zbrakło — powiedział do szaraka poczciwy rybak. — Zaniosę cię do domu, wykuruję i wypuszczę na wolność.

Podniósł zająca, wziął go pod pachę, ale zając nie przestawał drzeć.

Chyba jest mu zimno — pomyślał Tona.

Wyciągnął chusteczkę, w której rogach były zawinięte cztery dwudziestomarkowe monety na zakup łodzi. Zawinął w nią starannie szaraka, rogi chusteczki zaś związał marynarskim węzłem, nie wyjmując pieniędzy, bo tu były bezpieczne.

Tak doszedł z zającem do wsi. Nagle zza jakiegoś zabudowania wybiegł kundel, przyskakując radośnie do Tony. Zwąchał szaraka i zaczął ujadać. Przestraszony zając niespodziewanie szarpnął się, wyskoczył rybakowi spod pachy i dał drapaką w kierunku Cetniewa. Kundel, ile sił w nogach, zaczął gonić biedne zwierzę. Mroch krzyczał na psa, żeby wrócił, pies ujadał, wrzawa zrobiła się taka, iż ludzie zaczęli wyglądać z izb. Nagle Tona chwycił się za głowę.

— Moje pieniądze, moje pieniądze! — krzyknął.

Puścił się w pościg za uciekinierem, ale szarak wraz

z kundlem znikli już za pierwszym wzgórzem. Tona jednak biegł dalej. Gdy wyszedł na najwyższe wzgórze cetniewskich pól, jak daleko okiem sięgnąć nie było widać zająca w czerwonej chustce, tylko kundel z wyciągniętym po ziemię językiem wracał dysząc szybko.

Tona stał chwilę nieruchomo. Serce waliło mu jak kowalski młot.

Długo obchodził wszystkie górki i dolinki, dopytując się oraczy, czy aby nie widzieli zająca w czerwonej chustce na grzbiecie. Miało się ku wieczorowi, gdy postanowił zrezygnować z poszukiwań. Poszedł do wójta Hanemanna i zawiadomił, że uratowany przez niego zając, znaleziony w żaku, uciekł z chusteczką, w której było osiemdziesiąt marek.

Junkier pruski podniósł gwałt, że Kaszuba jest kłusownikiem, zapisał sobie nazwisko Tony i oświadczył, że poda go do sądu. Zmartwiony i zakłopotany poszedł rybak do domu.

— Kupiłeś łódź? — zapytała żona.

— Aż wstyd mówić.

Tu rybak opowiedział Weronice przygodę z zajęcem.

— Żebyś zajęcia uderzył łbem o kamień i przyniósł do domu, to byłaby pieczeń — zaczęła łajać Szczuka — a tak będą ciebie gnoić w puckim więzieniu.

— Nie dlatego wybawiałem, żeby zabić..

— Ty z twoim miłosierdziem puścisz nas z torbami. Zwierzę jest po to, żeby je zabić, tak mawiał mój ojciec i to jest prawda.

Jeszcze wiele przymówek musiał wysłuchać Tona od swej gadatliwej żony. A kiedy już nie mógł wytrzymać, mówił:

— Uspokój się, biańko, nie ma nad zgodę, Bóg wziął, Bóg da.

Przez zimę młody rybak uprawiał przybrzeżne połowy łososia i mielnic na łodzi swego przyjaciela. Weronika chodziła z naładowaną karznią od wsi do wsi. Trudno jednak było sprzedać dorsze, gdyż karzenic pojawiało się po kilka w każdej wsi. Toteż Mroszka postanowiła udać się z rybami do Gdańska.

Nazajutrz wstała, gdy na dworze było jeszcze ciemno, wzięła karznie na plecy i brodząc po kolana w śniegu poszła do Pucka na dworzec. Wykupiła bilet czwartej klasy i rannym pociągami zajechała do Gdańska.

Kiedy zjawiała się na feshmarku, wszystkie postoje były już zajęte przez gdańskie rybaczkę o czerwonych szerokich twarzach. Żadna z nich nie chciała pozwolić jej stanąć koło siebie. Jednak niełatwo było gdańskim babom wyzbyć się Szczuki. Postawiła swoją karznię na ziemi i wdała się w kłótnię z nimi. Nadszedł policjant i zażądał od Kaszubki trzech marek grzywny za zakłócanie spokoju. Weronika wydłubała spod fartucha talara i dała Prusakowi. Zobaczywszy, że nic tu jednak nie wskóra, dźwignęła swój kosz i poszła na dworzec z powrotem. Wysiadła w Orłowie i udała się do Kacka. Tu sprzedała

prawie wszystkie ryby. Pozostał jej tylko jeden wielki dorsz, na którego nie znalazła kupca. Wyszła więc za wieś, wyrzuciła go z karzni i niemiłosiernie zbiła kijem, aż mięso odskoczyło od ości.

Wkrótce Tona otrzymał wezwanie na sąd pruski za kłusownictwo i Weronika znowu miała okazję, by mężowi dokuczać:

— Będziesz płacił kosza sądowe i jeszcze będziesz siedział w więzieniu.

Mroch udał się do puckiego przybytku sprawiedliwości na wyznaczony termin. Doszedł do Gnieźdzewskiej Góry, gdzie spotkał starego Myślisza, rybackiego Sowizdrzała z Wielkiej Wsi.

— Jak masz pilnie stanąć w Pucku — powiedział Myślisz — to zawracaj i idź okrężną drogą, bo na Płutnicy naprawiają most. Też stamtąd wracam.

— Niemożliwe — zdziwił się Tona.

— Widzisz przecież, że wracam, bo okrężne drogi nie dla mnie starego, za ciężko, nie uradzę.

Tona uwierzył i udał się drogą przez Łebcz i Warblino do Pucka. Stał w sądzie z godzinnym opóźnieniem. Sprawa była już odroczone. Gdy Tona począł tłumaczyć, dlaczego się spóźnił, sędzia zatelefonował do puckiego magistratu, tam oczywiście nic nie wiedziano o żadnym zepsutym moście. Pucki sędzia wlepił Tonie dwadzieścia marek kary za fałszywe tłumaczenie.

Kiedy Mroch wracał do domu, spotkał na strądzie Myślisza. Stary spojrział niepewnie na młodego rybaka. Tona roześmiał się przyjaźnie i powiedział:

— Radzę wam, zaniechajcie swych złośliwych figłów, bo możecie na lepszego ode mnie trafić.

Nadeszły wiosenne giady. Maszoperia Tony wyłożyła laskorn, ale po kilkudniowej ciężkiej pracy maszopi przekonali się, że i tego roku ławice łososa nie podeszły pod brzeg, toteż Tona postanowił kupić teraz za zaoszczędzone pieniądze łódź, bo zbliżał się czas łowienia fląder, których ostatnimi czasy była obfitość.

— Tylko nie wchodź więcej w korszachy z zającem — ostrzegła go białka.

Tym razem Tona udał się po łódź na wysoki kraj, do Mechlinek. Nie miał większych trudności z nabyciem odpowiedniego bota, bo ostatnimi czasy wielu rybaków po

rzucało rybołówstwo. Maszopi zaciągali się do marynarki handlowej albo emigrowali do Ameryki. Gdy wracał na nowo zakupionej łodzi do domu, nadeszła norda, morze się wzburzyło i Tona musiał schronić się do portu helskiego. Dopiero czwartego dnia ruszył wczesnym rankiem przy pięknym oście w kierunku domu.

— Masz znowu jakieś pismo — przywitała go w progu Weronika — przyniósł je listowy i musiałam zrobić na papierze trzy krzyżyki.

Mroch wziął kartkę do ręki.

— To wezwanie do sądu w sprawie kłusownictwa — rzekł.

— Masz ci los — mruknęła. — Myślałam, że to już koniec.

— Pozostała mi tylko godzina czasu, muszę się spieszyć, bo znowu zapłacę karę.

Biegł jak na wyścigach, ale zdążył na czas. Tym razem poszcęściło mu się lepiej niż poprzednio, pomimo kłamliwych zeznań pruskiego junkra sąd dał wiarę słowom Tony i uniewinnił go.

Było już koło jedenastej, gdy uradowany rybak wracał do domu. Gdy minął Swarzewo, zobaczył idącą mu naprzeciw grupę ludzi. Po chwili rozpoznał, że to robotnicy cetniewscy.

— Dokąd to, dresze? — zapytał.

— Wszyscy jako świadkowie — odezwał się Jaks — prócz mnie i mojej żony — dodał wskazując na jedną z kobiet wyróżniającą się smukłością i ubiorem. — Mamy w Pucku rozprawę sądową, kazali nam się stawić na godzinę pierwszą.

— Z kimże to? — zapytał Tona.

— Z Kaczmarkową. Naubliżała mojej żonie i mnie.

O mojej białce mówi, że za pożyczone pieniądze, których nie oddaje, stroi siebie i dzieci, a o mnie, że się oglądam na inne białki. Nie mogłem już tego dłużej ścierpieć

I zaskarżyłem babę do sądu.

— A gdzie Kaczmarkowa? — zapytał rybak.

— O tamta, wystrojona cyganka, idzie ze swoimi świadkami. Chodźmy!

— Poczekajcie — wstrzymał ich Tona. — Coś chcę wam rzec.

— Idźmy, idźmy — naglił Jaks — bo się spóźnimy.

— Czasu dość — wstrzymał go najstarszy wiekiem robotnik. — Posłuchać nie zawadzi.

Usłuchali i stanęli. Nadeszła właśnie oskarżona ze swymi świadkami, niemniej wystrojona od tej, której zbytnie strojenie się miała za złe. Tona spojrział na Kaczmarkową i na Jaksę.

— Trudno by was rozeznąć, jednak piękne i jednak ładnie ubrane...

— To są siostry — odezwał się ten sam robotnik.

— Siostry, takie piękne, a idą się skarżyć i pozwolą na to, by je sądził pruski sąd.

— Wcale bym nie skarżyła, ale nie można z nią wytrzymać, naubliżała mnie, mężowi i dzieciom — żaliła się Jakska — mówiła, że za pożyczone pieniądze kupuję odzież.

— Jak Bóg w niebie nie mówiłam tego. Niech się ziemia rozstąpi, jeśli kłamię!

— Nie zaprzeczaj, tak było. Nie skarżyłabym cię, w życiu w sądzie nie byłam...

— Patrzcie, patrzcie — odezwał się Tona spoglądając na Jaksę — gdzie uroda, tam pokora.

— Nie jestem gorsza od niej... — odezwała się Kaczmarkowa.

— Obie równie dobre jak piękne. — Nim Tona wypowiedział te słowa do końca, obie siostry rzuciły się z płaczem sobie w objęcia.

— Jadę do Pucka wycofać skargę — rzekł Jaks.

— A koszta poniesiemy wspólnie — odezwał się Kaczmarek.

I obaj poczęli zapraszać rybaka do Konkolowej restauracji, by poczęstunkiem ufetować niespodziewanego rozjemcę. Ale Tonie było spieszno do domu. Podziękował cetniewianom i udał się dalej swoją drogą; idąc rozmyślał o własnym życiu.

— Żeby tej mojej ktoś tak do serca przygadał — westchnął głośno. — Może by też się zmieniła. Ale... — machnął ręką — póki Krup żyje, nie da się przekonać. Ja jej powiem swoje, a ona i tak zrobi, jak stary jej poradzi...

Minęła wiosna 1911 roku, skończyły się połowy cezą. Latem i jesienią Tona łowił w maszoperii na pomerance. Łowiło się pierwszy gatunek ryb, które gdańscy kupcy chętnie brali, ale po niskiej cenie. Lato i jesień były sztormiste i niewiele zarobiono. Toteż po świętym Marcinie Tona wraz z innymi rybakami udał się do Hamburga i tam zamustrował na statek handlowy, żeby żona z dzieckiem, mieli już czteroletniego synka Piotrusia, nie przymierała głodem. Weronika, tak jak i inne rybaczkę, zimą wiązała sieci, ale po Nowym Roku musiała robotę przerwać, ponieważ urodził się drugi syn. Dano mu na imię Ludwik, tak jak ojciec sobie życzył. Ale drugiego syna ujrzał Tona dopiero, gdy wraz z innymi maszopami wrócił na wiosenne połowy łososia.

W noc z Wielkiego Piątku na Wielką Sobotę zerwał się straszliwy huragan. Tona wstał z ciepłej pościeli i poszedł na strąd zobaczyć, czy grzywiaste bałwany nie zagrażają jego łodzi. Bot był bezpieczny, ale rybak, zamiast wracać co rychlej pod pierzynę, udał się strądem w kierunku latarni rozewskiej. Wiatr dął z przodu. Ogromne fale toczyły się na brzeg i biły z taką siłą pod urwiska, że Tona musiał się schronić aż na samą skarpe. Gdy minął wąwóz i doszedł do Wielkiego Zdroju, zauważył w kipieli presku białą sylwetkę statku. Ogromne fale rozbijały się na kadłubie okrętu, a fontanny wody unosiły się wysoko w powietrze.

Pewno wzburzone morze wyrzuciło na mieliznę przybrzeżny statek pasażerski — pomyślał.

Postanowił biec do Rozewia i zawiadomić telefonicznie stację ratunkową w Wielkiej Wsi. Jak postanowił, tak i zrobił. Potem, zaalarmowawszy po drodze okolicznych rybaków, zawrócił czym prędzej na miejsce katastrofy. Statek był blisko brzegu i Tona miał nadzieję, iż przy pomocy lin uratują rozbitków, zanim pomoc z Wielkiej Wsi przybędzie.

Jeszcze dzień nie nastał, kiedy rybacy zdjęli zagrożoną załogę ze statku. Na szczęście nie było na nim ani jednego pasażera. Gdy całkiem się rozwidniło, rybacy spostrzegli drugi statek kołyszący się bezsilnie na sztormowej fali. Ale i ze statku zobaczono rybaków na brzegu, bo poczęto dawać ku nim rozpaczliwe znaki.

Tona wdrapał się na skarpe, skąd miał lepszy widok.

— Statek przecieka. Nie mają węgla — powoli odszyfrowywał nadawane sygnały.

Rybacę spojrzeli pytająco na Tonę.

— Tu nie poradzimy, dresze — odpowiedział na nieme pytanie towarzyszy. — Trzeba będzie

poczekać na ratowników.

Zanim ratownicy nadjechali, statek już stał na mieliźnie w gwałtownym przy boju. Z brzegu było widać, jak załoga kryła się za nadbudówki, by jej nie zmyły fale.

— Wiecie, dresze, co za kurp będziemy ratować? — spytał rybaków starszy grupy ratowników z Wielkiej Wsi, Józef Biały.

— To je “Adler”, czarny frachtowiec, pewno żyto wiezie w swych ładowniach — rzekł Tona. — Tylko nie wiem, czy wasz bot na wiele tu się zda — dodał patrząc jak ratownicy ściągają ratunkową łódź z wozu zaprzęgniętego w cztery konie.

— Jo — mruknął Biały. — Tu trzeba innym sposobem. Dajcie mi rakiety — zwrócił się do swoich ludzi.

Wystrzelił rakiety z liną tak umiejętnie, że przeszła przez sam środek statku. Marynarze pochycili sznur. Wkrótce cała załoga statku znalazła się na bezpiecznym brzegu. Nad jednym i drugim wrakiem opiekę roztoczył pucki strandvogt, Niemiec Klotz, wyznaczając stróżów, by rybacy nie weszli na statki i czegoś sobie nie przywłaszczyli. “Adler” miał w ładowni ładunek żyta.

— Przydałoby się nam ziarno na mąkę — gadali między sobą maszopi — ale strandvogt ustawił wartownika na wraku.

— Musimy Prusaka, jak tylko morze ulegnie, wywabić ze statku — radził Tona.

— Jo. Ale jak to zrobić? — zapytał stary szyper Franciszek Gojka.

— Mam sposób — odrzekł Mroch — jeśli chcecie mieć zboże, to posłuchajcie.

— Chto by nie chciał — westchnął Gojka.

Gdy w noc Wielkanocną fala ustała, Tona wraz z innymi rybakami wziął kilka pięknych nowych desek znalezionych podczas sztormu na brzegu morza. Z desek zbili solidną skrzynię, na boku skrzyni Tona napisał: “Deutscher Bank”, a do środka nasypali strądownego piachu. Potem wieko zabili deskami i Tona na wieku znów na

pisał: “Deutscher Bank”! O północy zanieśli skrzynię na strąd.

Nie minęło wiele chwil, jak do wartującego przy wrakach Klotza doszedł nieopisany wrzask. Niemiec nadstawił uszu.

— Dumme Kaschuben — powiedział do siebie. — Pewnie znów coś znaleźli na brzegu i wydzierają sobie.

Gdy tylko Klotz ze swymi ludźmi wyłonił się z ciemności, rybacy dali drapak. Strandvogt stanął nad skrzynią i w blasku latarni morskiej przeczytał: “Deutscher

Co też w niej może być? — pomyślał.

Jeszcze raz odczytał napis. Nie ulegało wątpliwości, skrzynia była własnością niemieckiego banku. Była też tak ciężka, że nawet we trzech nie mogli jej unieść.

A może tam jest złoto? — olśniła go raptem myśl.

Posłał czym prędzej swoich ludzi do Wielkiej Wsi po furmankę, aby załadować skrzynię i odtransportować do Pucka. Sam zaś na krok nie odstępował od cennego przyzu.

Rybacy tylko na to czekali. Dopadli do swych łodzi i szybko podpłynęli do czarnego wraku. Niestety, rozczarowali się. Statek był już napełniony wodą. Nawet bosakiem nie mogli się domagać w ładowni żyta. Przekonali się, że statek stoi na kamienistym dnie. Spód statku był poszarpany.

— Teraz już wiem, czemu fala nie dobiła wraku do brzegu. Napełniony wodą był za ciężki — rzekł Franciszek Gojka.

Wprawdzie zboża nie zdobyli, ale za to doszczętnie obłupili statek z takielunku. Podjechali jeszcze do drugiego wraku i tam obdarli kanapy i fotele z kosztownego pluszu, powyciągali liny z bloków i pozabierali krzesła i lustra.

Dopiero rano strandvogt spostrzegł, jak go kaszubscy maszopi oszukali. Długo też węszył, kto go tak w pole wyprowadził, niczego jednak nie wykrył,

Był to ostatni większy łup rybaków. Technika wielkimi krokami wkraczała na statki, które coraz rzadziej rozbić jały się o rozewski strąd.

Bank”.

2 — W pogoni za ławicami

Rozdział II

rozbicia się “Adlera” i pasażerskiego statku i “Prinz Heinrich” minęło dwa lata, rodzina Tony powiększyła się jeszcze o jednego syna, gdy pewnego sierpniowego dnia ogłoszono powszechną mobilizację. Mrocha wzięto już w pierwszym dniu mobilizacji. Musiał się stawić do Kilonii, do wilhelmowskiej marynarki wojennej.

W pierwszych dniach wojny miał szczęście. Przeznaczono go do rezerwy w koszarach. Dopiero w grudniu 1914 roku został wysłany z grupą marynarzy do Turcji, która przystąpiła do wojny po stronie państw centralnych. Tam został przydzielony na niemiecki pancernik “Goeben”. Listy do żony wysyłał często, dopytując się

o nią, o synków, ale odpowiedzi od Weroniki przychodziły rzadko, o sobie i dzieciach donosiła mało. Najwięcej było w tych listach utyskiwań na ciężkie czasy:

»Wsparcie mnie nie starczy — pisała — kupić żywności ani odzieży nie można, mamy głód. Ła co

ciebie tam w tej Turcji suszyć? Wracaj jak najprędzej. Ryby tutaj w bród i nawet jest zbyt. Źawice szprota i łośosia podchodź aý pod sam brzeg.«

Mroch czytając te listy targał ze złości czuprynę, ale był bezradny. Miał nadzieję, że Niemców wnet pokonają, ale po ostatnich zwycięstwach kwekrów stracił ducha. Co gorsza, przestały dochodzić do niego nawet te krótkie, skąpe listy. Początkowo tłumaczył sobie, że Weronice trudno uprosić kogoś o napisanie, a sama przecie pisać nie umiała. Ale i inne białki nie były mocne w pisaniu, a ich mężowie dostawali regularnie listy. Stawał do raportu

o urlop, ale jego sprawę załatwiano zawsze odmownie.

Pocieszył go trochę Marian Kužel, artylerzysta, którego wraz z całym korpusem wojska przeprowiano przez Bosfor do Palestyny. Niemcy zamierzali bowiem pokonać Anglików w Kanale Sueskim. Mroch spotkał Mariana przypadkiem na kei w Istanbulu. Przed wojną łowili obaj w tej samej maszoperii.

— Czy ty wiesz, co u mnie się dzieje w domu? — zapytał marynarz artylerzystę.

— Wiem, że twoja żona żyje — rzekł Kužel. — Star

szego chłopaka też widywałem, jak zeszłego roku pasa! krowy u gbura.

Gdy Tona usłyszał, że jego syn jest pastuchem, wielce się zafrasował.

— Taki mały, a już pasie u gbura stado krów. Czy kobiety, których mężowie są na wojnie, nie potrafią z zapomogi wyżyć?

— Owszem, potrafią, ale dlaczego twoja nie umie, sam chyba najlepiej wiesz.

— Zła gospodyni — mruknął Tona. — Niczego jej Krup nie nauczył prócz dźwigania ciężarów i chodzenia z karznią.

Marian musiał wrócić do baterii, a Tona na pancernik.

Weronika tymczasem radziła sobie, jak umiała. Synów posłała do pasania krów, sama wynajmowała się do kopania kartofli. Wszystko to za trochę żyta na chleb, którego w czasie wojny brakowało w posiadłościach niemieckich. Żyto niosła na niedaleki wiatrak. Młynarz był, podobnie jak Tona, na wojnie, ale mąkę mełł jeniec rosyjski, który za kawał słoniny został tu przydzielony przez komendanta obozu w Czersku. Iwana, bo takie miał imię rosyjski młynarz, pilnowała młynarzowa, by niczego bez kart nie zmełł, obawiała się bowiem, by Niemcy nie zamknęli jej wiatraka. Ale Mroszka znalazła sposób na Iwana. Sąsiadki wkrótce zmiarkowały, czemu to Szczuka, choć nie przynosiła do młyna ani węgorki, ani łososi, więcej mąki stamtąd wynosi, niż one.

Weronika mało dbała o ludzkie gadanie, nie więcej niż

o dzieci. Chłopcy chodzili tak oberwani, że żal było na nich patrzeć. A gdy najstarszy Piotruś był już prawie bez portek, wyciągnęła mężowskie spodnie z szafy, położyła na pniu i kilkoma cięciami

siekiery skróciła nogawki.

— Teraz będą tobie pasować — rzekła do syna. — Ten purtk i tak nie wróci, więc nie będą mu potrzebne.

— Nie jest ze Szczuką coś rychtyk — gadały sąsiadki między sobą. — Nad Mroszki checzą krążą bociany, będzie nowy Iwan.

Tak nadszedł wrzesień 1917 roku. Któregoś dnia we wsi pojawił się Mroch. Szedł wyprostowany. Lekki pod

much wiatru owijał mu wstążki od czapki marynarskiej na pięknie opalanej szyi. Na rękawie żółciła się wyhaftowana złotymi nićmi kotwica, a nad nią cesarska korona.

Rybaczki spoglądały na strojnego marynarza i szeptały między sobą:

— Obraza boska...

— Gwesno ją teraz zbije...

Gdy podchodził bliżej, żeby się przywitać, szepty milkły, niby ucięte nożem. Tonę to trochę dziwiło, ale w końcu wzruszył ramionami:

Ot, białki, jak to białki, zawsze coś mają między sobą. Ledwo jednak wszedł do izby, zrozumiał, co znaczyły szepty sąsiadek i twarz mu pobladła.

Na widok męża Weronika się zaczerwieniła, potem uniosła ręce jakby zasłaniając się przed ciosem.

— Co ci się stało, czego się boisz? — rzekł cicho.

— Stało się, co się musiało stać — krzyknęła, gdy zobaczyła, że mąż nie ma zamiaru jej bić. — Ty siedzisz i za kwekrów wojujesz, a ja muszę tu harować, by dzieci wyżywić. Za to co dostawaliśmy, byłyby już dawno pod zieloną. Dla wykarmienia dzieci musiałam iść do jeńca na wiatrak. Bezwietrznego lata trudno było o mąkę. Szło się rano, szło się wieczorem, gdy tylko wiatr dmuchał, a Iwan zawsze obiecywał, że mąka będzie. No i była. Mogłeś przyjść na czas, baby nie miałyby co gadać.

— Dla chleba to się stało — rzekł po chwili Mroch. — Przeklęta wojna.

Jeszcze tego dnia Tona musiał szukać furmanki, by ze Swarzewa sprowadzić akuszerkę.

Krótki urlop Mrocha szybko dobiegł końca. Jeszcze przed jego wyjazdem nowo narodzone dziecko zmarło. Tona pochował je na swarzewskim cmentarzu. W przeddzień wyjazdu męża Weronika czyszcząc jego mundur znalazła w kieszeni żelazny krzyż drugiej klasy.

— Kogo zabiłeś? — zapytała męża, groźnie potrząsając krzyżem.

— Nikogo, bo nie jestem na froncie. Wręczyli mi go za sprawne nadawanie sygnałów.

— Jakich sygnałów?

— Flagowych.

— Nie wiem, co to znaczy “flagowych”, pytam się, co to były za sygnały.

— Podczas bitew okręty porozumiewają się nadawaniem takich specjalnych znaków flagami, czyli chorągwiemi — starał się wytłumaczyć.

— To jest jeszcze gorzej, jakbyś karabinem zabijał, bo twoimi flagami możesz kwiekrom podpowiadać, co mają robić, a oni potem zatapiają całe statki. Lepiej żebyś sobie zbudował pod urwiskiem wysokiego wybrzeża norę i tam się ukrył, jedzenie tobie doniosę, to przynajmniej uchronisz swój kościany krzyż, bo ten wilhelmowski nic wart.

Nie jest taka tępa, jak się wydaje — pomyślał Tona. — Bylebym wrócił z wojny, to jeszcze z niej będą ludzie.

Dezercji jednak nie zaryzykował. Bał się, że Niemcy go odszukają, a za dezercję wiadomo co groziło. Odjechał do Kilonii, a stąd miał się najbliższym transportem udać do Turcji.

W pierwszych dniach grudnia 1917 roku Tona dotarł do Budapesztu. Tu transport miał kilka dni postoju. Mroch wyszedł na miasto. Szedł bez celu podziwiając piękne ulice. Chwilę postął na moście świętej Małgorzaty patrząc na szeroki Dunaj, po czym znów poszedł dalej nadrzeczną promenadą. Tak dotarł do jakiegoś olbrzymiego gmachu. Takiego wielkiego gmachu w życiu jeszcze nie widział, więc zatrzymał się, by go sobie obejrzeć. Gdy tak stał i patrzył, usłyszał obok ożywioną rozmowę. Obejrzał się. Jakiś stary Węgier tłumaczył coś po niemiecku żołnierzowi w pruskim mundurze z odznakami kanoniera.

— Skąd kolega? — Tona zwrócił się do żołnierza.

— Od Gdańska.

— Też jestem od Gdańska, a dokładnie od Rozewia — powiedział Tona.

— Ja, drehu, jestem od Wejherowa, z Luzina — ucieszył się artylerzysta.

Porzucili niemiecką mowę.

— Jesteś tutaj w garnizonie? — pytał dalej Mroch rodaka.

— Nie, od czasu najazdu Niemców na Rumunię zostałem maruderem. Jeżdżę od miasta do miasta i kręcę się na prowincji. Tu na Węgrzech można się lepiej dekować jak w naszych stronach.

— Przepraszam bardzo — odezwał się Węgier — jesteście Polakami?

Kaszubi ze zdziwieniem popatrzyli na człowieka, który odezwał się do nich w ich ojczystej mowie.

— Z ziemi kaszubskiej, znad morza. Polacy z krwi i kości.

— Jestem też Polakiem, nazywam się Stańczyk, pochodzę od Tarnowa. Mój ojciec w młodych latach przeniósł się z Małopolski do Węgier, a moja matka pochodziła ze Śląska Cieszyńskiego. Wszystko to polskie ziemie. Do marynarzy mam specjalną słabość, bo syn mój służy w austro-węgierskiej marynarce wojennej, w Polo.

— A ja na pancerniku niemieckim “Goeben” — wyjaśnił Tona — ale mam tego powyżej uszu.

— Mnie już się dawno odechciało strzelać do ludzi. Prawda, nie zrzuciłem skóry wilhelmowskiej, bo w niej się teraz łatwo maskować na Węgrzech. Niemieccy żandarmi nie mają tu dostępu — dodał artylerzysta.

Polacy z dwóch krańców polskiej ziemi uścisnęli sobie dłonie.

— Skończy się już wnet tułaczka wojenna. — rzekł Stańczyk. — Jesienią całe czeskie dywizje przechodziły na stronę rosyjską, jest tam też dosyć Węgrów i Polaków. Tylko patrzeć, jak przyjdą nasze wojska.

— Może do tego dojść, bo w niemieckiej armii już wre — odezwał się artylerzysta.

— Drehu, zrobiłeś dobrze, że zdezertowałeś — rzekł Tona. — Ja bym też wolał nie jechać do Turcji.

Małopolanin obejrzał się dookoła.

— Marynarski mundur — powiedział — będzie się rzucał w oczy tu w Budapeszcie. A i w tym drugim nie warto paradować. Chcecie zostać, to zabiorę was do siebie na Wyspę Świętej Małgorzaty, dam wam cywilne ubranie, a potem odwiozę do Erd, do mojej siostry. Ma tam ona niedaleko Dunaju ogródnictwo, będziecie uprawiać ogród do końca wojny. A ręk do pracy brak, jej mąż, Węgier, zginął w maju 1915 roku pod Przemyślem.

Uradowani Kaszubi udali się ze Stańczykiem do Erd. Przez całą wiosnę i lato pracowali pilnie u siostry Małopolanina, nosa za ogród nie wytykając. Nadchodziła pora dojrzewania winogron i nadchodziły coraz pomyślniejsze dla Polaków wiadomości.

— Anglicy przeszli pod Salonikami do ofensywy. Niemcy cofają się we Francji — opowiadała Kaszubom właścicielka ogrodu.

— Nie ma co tu dłużej siedzieć. Odjeżdżamy — postanowili dezernerzy.

Pożegnali się i wrócili do Budapesztu. Na Wyspie Świętej Małgorzaty znowu wdziali u Stańczyka niemieckie łachy, bo w tych łatwiej było przedostać się do kraju. Pożegnali rodaka i jeszcze tej nocy ruszyli transportem przez Pragę czeską do Drezna, a stąd do Poznania. W mieście nad Wartą spotkali

wielu innych dezertersów wędrujących z jednego końca Niemiec na drugi, byle z dala od frontu. Każdy miał tej wojny dosyć. Dwaj Kaszubi bez większych przeszkód szczęśliwie zajęli na miejsce.

— Jestem w domu — rzekł Tona, gdy się przywitał z żoną.

— Na jak długo?

— Chyba na zawsze. Wszystkim będziesz rozpowiadać, że na urlop przyjechał.

— Przy studni mówili, że Kaiserreich skrzypi i powstanie Polska.

— Daj Boże, żeby jak najszybciej się Wiluś wywalił. W Rosji — zatarł ręce Tona — już dawno cara nie ma, tam panują czerwoni.

— A kto to są czerwoni?

— To jest biedny lud, który się pozbył panowania cara i sam zaczął rządzić.

— Oj, żeby tak do nas przyszli i przepędzili mioszyskiego Hanemanna, bo opału nie ma, a on nie pozwala zbierać ze swego lasu chrustu do palenia.

— Tych niemieckich brzuchaczy musimy sami przepędzić — odezwał się Tona.

— A dlaczego tak długo nie pisałeś? — zapytała Weronika.

— Już nie byłem w wojsku niemieckim, tylko ukrywałem się w cywilu i nie chciałem się zdradzać, gdzie jestem.

— A mnie tu było bardzo ciężko. Chłopcy chorowali na chrapkę. We wsi zmarło na tę chorobę wiele dzieci. Zawezwałam Józefa z Mechowy, wyleczył nasze dzieci, ale musiałam mu drogo zapłacić.

— Źle zrobiłaś, że zawezwałaś znachora. Na pewno panowała tu dyfteria.

— Co za dyfteria? Józef powiedział, że to jakieś nieczyste sprawy, we wsi ukrywa się czarownica.

— Kobieto, znachor tylko pieniądze bierze, trzeba było wezwać lekarza.

— Komu przeznaczono, ten umrze bez pomocy lekarza. Na pewno tyle dzieci by nie zmarło, gdyby nie ta Mo- nelka.

— To ona ma czarować? — zdziwił się Tona.

— A kto, jak nie ona! Mojemu ojcu zaraz się nie podobało, że kupiłeś w jej sąsiedztwie dom.

Był w pełni sezon węgorzowy. Ławice ciągnęły wzdłuż brzegu Półwyspu Helskiego i Rozewskiego w kierunku zachodnim. Tona Mroch wyniósł swoje żaki i zaczął zastawiać, nikt się go nie pytał, jakim prawem jest już w domu, bo i jego sąsiedzi też zaczęli powoli wracać. Białki dezerterów pobierały wsparcie jak wszystkie inne kobiety.

Dzikie gęsi przeleciały już na zachód, a z północy pojawiło się morskie ptactwo. Rybacy przestali sprzedawać węgorze do gdańskiego skupu, bo pucki handlarz Siltz płacił trzy razy tyle co gdańska centrala. Żandarmów już się nie bali. Nadeszła wieść, że zbuntowała się cała wilhelmowska marynarka. W "Gazecie Grudziądzkiej" pisali, że Wiluś czmychnął do Holandii, całe Królestwo Polskie się wyzwoliło i już Małopolska rozrywała kajdany.

Tona wieczorami chodził do sąsiadów czytać gazetę, w której wyraźnie mówiono o warunkach zawieszenia broni, o powstaniu Polski z dostępem do morza. Wreszcie w tajemnicy przed żoną sam zaabonował "Gazetę Grudziądzką", ale wszystko się wydało i Szczuka podniosła wielki wrzask:

— Lepiej żebyś nam kozę kupił — krzyczała na całą wieś — gazetą dzieci nie nakarmisz!

— To, białko, oświata — próbował tłumaczyć łagodnie.

— Z oświaty nikt nie utyje — docinała Weronika. — Więcej mi się nie odważ zamówić pisma.

Tona zaprzestał więc prenumerować gazetę, choć drukowane wieści były coraz ciekawsze. We Francji pow

stała podobno armia polska, która miała być przetransportowana okrętami do Gdańska.

— Skoro tu przyjedzie, będziemy wolni — zacierali Kaszubi ręce.

Odtąd często przystawali na brzegu wypatrując statków z polską armią. Raz ukazał im się transatlantyk

o czterech masztach, rzadko spotykany na Bałtyku. Potem dowiedzieli się, że na tym statku przybył Ignacy Paderewski, wielki Polak z Ameryki.

— Może się doczekamy, że przywiozą wojsko z Francji — pocieszał Tona maszopów.

Ale nadeszła wiosna roku 1919 i nie doczekali się okrętów, które mi-dły przywieźć polską armię z Francji. Natomiast wyczytali z gazety, że to wojsko zostało przetransportowane koleją przez Niemcy. Tonę to okropnie zdziwiło i zasmuciło. Nie mógł zupełnie zrozumieć, dlaczego walczono na wschodzie, zamiast wyzwolić Gdańsk.

— niesprawiedliwie się dzieje — żalił się Franciszkowi Gojce. — Nasza wolność ciągle daleka.

Tej wiosny rybacy niechętnie przystąpili do połowów łososia i flader. Dość było wprawdzie nabywców ryb w Gdańsku i Szczecinie, ale stosunki handlowe z niemieckimi kupcami, którzy przez wiele lat wyzyskiwali rybaków rozewskich, dojadły Kaszubom. Czekali teraz lepszych czasów. Toteż z radością przyjęli wieść, że ziemie kaszubskie zostały na mocy traktatu^T wersalskiego

przyłączone do Polski. Gdy minęły pierwsze mrozy, traktat wersalski został ratyfikowany i przez Niemcy. Polskie wybrzeże było wreszcie wolne.

Rozdział Ili

Wiosna na wolnym wybrzeżu była ciepła i pogodna, pod brzeg podплыły wielkie ławice fląder i łososia, troska jednak nie opuściła BWP czuła maszopów. Znow mieli kłopoty ze zbytym ryb. Gdańsk był wprowadzicie Wolnym Miastem, ale gdańszczanie nie wpuszczali do siebie rybaczek z karzami, miejscowy rynek nie był w stanie wchłonać wszystkiego, a handel rybny z miastami w głębi Polski nie

mógł się jakoś rozkręcić. W takich to warunkach zostały na kwiecień roku 1920 ogłoszone na Kaszubach uzupełniające wybory. We wsiach nadmorskich pojawili się agitatorzy.

— Siódemka to najlepsza lista, bo to lista robotników — mówili robotnicy folwarczni.

— Partia witosowców najlepsza dla chłopów — głosił na wiecach Jan Bystram ze Swarzewa i Koperszmid z Gnieźdżewa.

— Takiś niby mądrala — mówiła Weronika do męża — ciągle nos trzymasz w tych gazetach, to powiedz, co tu się dzieje u nas? Czemu tyle tych partii i list?

Ale kiedy Tona usiłował wytłumaczyć żonie, co to są za stronnictwa i partie i dlaczego jest tak dużo numerów, przerywała mu w pół słowa:

— Ty mi tylko nic już nie gadaj, bo sam pewno nie wiesz. Niby jest ta Polska, a jakaś tam czwarta lista jest niemiecka. Sam przecież mówisz, że jest na niej Splett, dawniejszy nauczyciel z Wielkiego Starzy na. A wszetcy pamiętają, jak to on oskarżył księdza za to, że nie chciał wygłaszać kazania po niemiecku. Dlaczego więc nasi żandarmi go nie zamkną, tylko pozwolą mu kandydować do polskiego sejmu?

Tona sam nie wiedział co Odpowiedzieć żonie. Jemu też się to nie podobało. Tymczasem Weronika pogłębiała jego wątpliwości:

— Jak taki kweker posłem zostanie, to w Warszawie pomyślą, że u nas mieszkają sami Niemcy.

— Tak źle nie będzie, kobieto — pocieszał Tona nie tyle żonę, ile siebie samego. — Przecież warszawiacy wiedzą, kim jesteśmy.

— Wiedzą albo i nie wiedzą — mówiła ze złością Weronika. — O tobie nie wiedzą, choć prenumerowałeś polską gazetę, zamiast kupić kozę, żeby dzieci miały mleko, a o Spletcie będą wiedzieć...

Tona, nie chcąc wdawać się w kłótnię, brał wtedy sieci i wypływał na morze. Któregoś dnia po takiej rozmowie z żoną wypłynął zastawiać sieci na mielicę. Już latarnia rozewska zabłysnęła, gdy od zachodu zobaczył motorowy kuter.

— To niemiecki — poznał Mroch. — Kiedy my na takich będziemy łowić?

Kuter wyraźnie zbliżał się do jego łodzi. Gdy był już niedaleko, z pokładu zaczęto dawać znaki, by Kaszuba się zatrzymał. Tona zdziwił się bardzo, ale usłuchał i dobił do kutra. Ledwo stanął, przy trapie ukazało się dwóch ludzi, jeden z nich trzymał tekę pod pachą.

— Zabierz nas na łąd, jesteście tutejsi — rzekł jeden z nich.

Nim zdumiony rybak zdążył coś odpowiedzieć, już siedzieli w jego łodzi. Nie wyglądali wcale na rybaków.

— Nie chce mi się wierzyć, że jesteście tutejsi, bo u nas mówią po polsku — odezwał się maszop.

— Jesteśmy od Krokowa i od Celbowa, tam wszyscy mówią po niemiecku — odpowiedział ten z teką.

— Jak jest u was z sieciami? — zapytał drugi. — Chyba macie tu trudności z nabyciem, a ryby też wam nieraz zaśmierdną, co?

Tona wzruszył ramionami.

— Z sieciami jak z sieciami: raz są, raz nie ma. A z rybą jak z rybą: raz się sprzeda, raz zaśmierdnie.

Dłuższy czas jechali w milczeniu. Gdy już byli bliżej brzegu, przybysze zaczęli rozglądać się niespokojnie, wtedy Tona zrozumiał, jakich miał pasażerów. Wyciągnął wiosła z wody i zapytał.

— Po co żeście tu przyjechali?

— Odpowiem tobie zaraz — rzekł jeden z nich i wyciągnął z zanadru rewolwer — bo jesteście chyba najgłupszy z całej okolicy.

Ale Tona nie czekał na odpowiedź Niemca. Przesunął się gwałtownie w bok, łódź przechyliła się mocno, wysypując obu Niemców za burtę. Było za blisko brzegu, żeby utonęli, ale zmoczyli się porządnie.

Tona tymczasem szybko oddalał się od strądu, bał się, żeby go nie zastrzelili. Widział, jak dwaj agenci niemieccy wy leżli na brzeg ociekając wodą i ruszyli ku wąwozowi. Było mu wstyd, że tak łatwo dał się wyprowadzić w pole, więc nikomu nawet nie wspomniał o swej przygodzie.

Akurat czwartego dnia po tym wydarzeniu Tona długo nie wracał z morza do domu. Miało się już ku wieczorowi, a jego wciąż nie było. Weronika wzięła nosze, dwa wiadra i poszła do studni po wodę. Była wiosna i wody pod dostatkiem, więc wnet wróciła. Gdy podeszła do

drzwi, zobaczyła dwu mężczyzn. Jednego z nich poznała. Był to Niemiec, który dawniej zamieszkiwał w okolicy Rozewia, nazywał się Felkner. Ten drugi, nie znany, podał Weronice kartkę

i rzekł po niemiecku:

— Będziecie na ten numer głosować. To niemiecka lista wyborcza do polskiego sejmu, na niej na pierwszym miejscu figuruje Splett, brat księdza, to jest dobry katolik. — Widząc, że kobieta nic nie mówi i nie bierze listy, dodał: — Zrobili wam wielką krzywdę przyłączając te ziemie do Polski.

Weronika tymczasem postawiła wiadra, zdjęła z ramion nosze. Nagle łańcuchy od noszy brzęły. Weronika z całej siły uderzyła podającego listę Niemca w melonik, który zatrzymał się aż na nosie. Zdrajca padł jak nieżywy, drugi Niemiec dał drapaką przed straszną kobietą.

Tona wrócił z połowu o zmroku i natknął się przed drzwiami na leżącego człowieka. Stał jak wryty.

— Białko! — zawołał. — Co tu się dzieje?! Co to za człowiek pod naszym progiem?

Rybaczka wyjrzała zza drzwi. Chwyciła wiadro z wodą i chlusnęła na leżącego. Ten się zerwał, podniósł melonik, spojrzał na Tonę i wziął nogi za pas.

— Znam ja tego pieszczelnika — rzekł Tona — zwiozłem go z morza cztery dni temu.

Weronika rzuciła się na Tonę z krzykiem, ale kiedy powiedział jej, że wysypał go wraz z jakimś drugim do wody, wtedy darowała mężowi.

Po tym wydarzeniu nikt się już nie pojawił agitować na niemiecką listę.

Gdy w Wielkiej Wsi, gdzie urzędowała komisja wyborcza wybrzeża rozewskiego, nie znaleziono żadnego głosu na niemiecką listę, Felkner czmychnął do Niemiec.

Pewnego czerwcowego poranku żona Mrocha wybrała się z wózkiem do pobliskiego miososzyńskiego lasu po drzewo. Po drodze spotkała Ksawerego Styna i młodego Rybakowskiego.

— Ciągnę z wózkiem do lasu, bo się dowiedziałam, że Hanemann sprzedaje drzewo — powiedziała rybakom.

— My też idziemy w tej sprawie — odpowiedział Styn.

Doszli do lasu. Weronika zostawiła wózek w krzaku

żarnowca, potem w trójkę udali się do miososzyńskiego dworu. Minęli długie stodoły i olbrzymie stajnie, podeszli do piętrowego domu. Gdy wyłuszczyli służącemu odzianemu w piękną liberię, po co przyszli, ten wpuścił ich do korytarza i kazał czekać.

Po trzech godzinach czekania Hanemann, posiadacz największego majątku w powiecie puckim, spokrewniony z Hanemannem z Połczyna i Hanemannem z Poczernina, wielkimi obszarnikami i działaczami-hakatystami, przyjął ich wreszcie.

— Panie, chcielibyśmy kupić drzewa — rzekł Styn.

— Mówcie ze mną po niemiecku — wrzasnął stary Prusak.

— Przecież pan umie po polsku — odrzekł Styn.

— Twoje nazwisko? — pieniał się Niemiec.

— Moje nazwisko jest Ksawery Styn.

— Mówiącym po polsku drzewa nie sprzedają.

Styn odsunął się na bok.

— A wy? — zwrócił się Hanemann do Weroniki.

— Drzewa chcę kupić — rzekła Mr o chowa.

— A wy? — zapytał Rybakowskiego.

— Po to samo przyszedłem.

— A dlaczego nie mówicie po niemiecku? — zapytał j tym razem łagodnie.

— Dlatego, że jesteśmy Polakami w wolnej ojczyźnie —■ odrzekł młody Rybakowski. — Pan zna nasz język, bo często się pan nim posługiwał w latach zaboru, by porozumieć się ze swoimi robotnikami.

— Nie wasza sprawa umiem, czy nie umiem — wrzasnął znów Prusak. — Nikt nie może mnie zmusić do sprzedania drzewa ludziom mówiącym po polsku. Wynoście się stąd, bo każę wypuścić mego bernardyna, z tym będziecie rozmawiać, po jakiemu zechcecie. A wasze nazwisko znane mi jest od dwu pokoleń — zwrócił się do Sty na.

— Jeszcze pan może poznać trzecie pokolenie — rzekł Styn.

Wyszli.

— Na co ten komtur sobie pozwala! — oburzył się Styn, gdy znaleźli się już na dziedzińcu.

— Tak, tak — odrzekła Weronika — niby jest wolna Polska, a ci komturzy mają wszystko w swoich łapach.

— To się musi kiedyś skończyć — powiedział Ryba- kowski.

— Ty jesteś jeszcze młody, wierzysz jak mój stary w sprawiedliwość. Hanemann siedzi na polskiej ziemi i każe ludziom mówić po niemiecku. W szkole uczy nadal hakaty sta, tyle że po polsku. Ja już nie posyłam dzieci do szkoły, bo kogo ten stary zdrajca co dobrego nauczy.

— Szkoda — odparł Rybakowski — nauka odbywa się w języku polskim, a kuratorium jak się

przekona, co to za jeden, to zwolni go z funkcji.

Wyszli z dziedzińca na pole. Pod miososzyńskim lasem, jak daleko okiem sięgnąć, złocił się żarnowiec w promieniach słońca.

— Jeśli nie wezmę sobie drzewa, nie będę mogła ugotować obiadu — rzekła Weronika.

— Jak cię stróż leśny zauważy albo jak się spotkasz z synem Hanemanna, to podadzą cię do sądu — ostrzegł Rybakowski.

Ale Weronika nie usłuchała ostrzeżeń. Odszukała ukryty w zaroślach wózek i nałożyła sobie kilka gotowych okrągłaków.

— Pójdziemy — rzekł Styn do Rybakowskiego — w razie czego to jeszcze będziemy świadkami.

Weronika zbliżała się już do wsi, gdy nagle usłyszała za sobą tętent konia. Obejrzała się i poznała Brunona Hanemanna, syna starego hakatysty. Młody Hanemann galopem zbliżał się do niej.

— Wie heissen sie? — zapytał Niemiec, zatrzymując się przy Kaszubce ciągnącej wózek naładowany drewnem.

Weronika wzruszyła ramionami na znak, że nic nie rozumie.

— Nazwisko ciebie?

— Weronika Mroch — powiedziała prawdę rybaczka i dalej ciągnęła swój wózek.

— Gadajcie prawdę! — zajechał jej drogę Niemiec.

— Prawda, jak nie wierzysz, to zapytaj się pastucha — rzekła wskazując na chłopaka pędzącego krowy. Był to jej syn Piotr.

Hanemann natychmiast podjechał do pastucha.

— Wie heisst du? — zapytał Piotra.

— Wie heisst du? — powtórzył zapytany.

— Jak się zwiesz?

— Piotr Mroch.

— Kto ten kobieta?

— Nasza mama.

— Zgadza się — rzekł Hanemann rad, że złapał złodziejkę.

Zapisał sobie nazwisko i popędził na swym gniadym koniu do Mieroszyna.

Weronika obejrzała się, a gdy jeździec zniknął jej z oczu, zjechała polną drogą w bok i zrzuciła drewno do dołu. Potem szybko pociągnęła wózek w kierunku Rozewia, zatrzymała się dopiero przy domu Michalskiego.

— Sprzedaj mi trochę buków — zwróciła się do gospodarza — potrzebuję koniecznie.

— Biańko, mam kilka bukowych krzaków na swoim gruncie, przecie tych nie mogę ci sprzedać.

— Zrobisz mi wielką przysługę, jak mi chociaż trochę buków sprzedasz. Chciałam kupić drzewo u Hanemanna, ale ten Purtk nawet gadać z nami nie chciał, bo mówiliśmy po polsku, to sama sobie wzięłam, a teraz mam kłopot i tylko twoje buki mogą mię poratować.

Michalski znał dobrze i lubił Tonę Mrocha, postanowił pomóc jego żonie. Wziął topór i zaczął rąbać buki.

— Dosyć, już dosyć!

— Ładuj, póki rąbię.

— Która to może być godzina? — zapytała Weronika.

— Mam zegar u zegarmistrza w Pucku, ale więcej jak dziesiąta nie może być, bo łodzie wracają z cezy.

Około południa Weronika wróciła do domu z bukami Michalskiego. Buki skradzione z mieroszyńskiego lasu przyciągnęła do checzy już po ciemku.

Tak jak spodziewała się, po kilku dniach dostała wezwanie do sądu.

— Czy oskarżona przyznaje się do kradzieży buków z mieroszyńskiego lasu? — zapytał ją pucki sędzia.

— Nie przyznaję się.

— Obecny tu pan Hanemann twierdzi, że widział buki ze swego lasu na waszym wózku.

— Mam świadka, u którego tegoż dnia kupiłam buki, może się tu stawić — powiedziała Kaszubka.

— Ja jej drzewa nie sprzedawałem — zawołał Hanemann.

— Tym świadkiem jest Jan Michalski z Rozewia — odrzekła Mrochowa.

— Niech oskarżona nie kłamie — warknął sędzia — bo każę zamknąć.

Jak głupi Niemiec w polskim sądzie oskarża niewinną Polkę, to sędzia chce zaraz zamknąć biedną

kobietę.

Sędzia stropił się.

— O której godzinie kupiliście drzewo? — zapytał.

— Nie stać mnie na zegarek — wzruszyła ramionami Weronika.

— Na następną rozprawę zostanie zawezwany świadek Michalski — powiedział sędzia. — O terminie następnej rozprawy świadek i oskarżona zostaną powiadomieni.

Michalski stawiał się na następnej rozprawie. Przysiągł, że będzie zeznawał prawdę.

— Było to dnia czwartego czerwca, oskarżona przyciągnęła do mnie po drzewo...

— O której godzinie? — zapytał sędzia.

— Nie wiem, bo miałem zegarek w naprawie, sędzia może sprawdzić, oskarżona żaliła się, że Hanemann nie sprzedał jej drzewa dlatego, że mówiła po polsku.

— Że tak było, mam na to dwu świadków — wtrąciła Weronika.

— Proszę nie przerywać! — rzekł sędzia. — Jak to tam było dalej? — zwrócił się do Michalskiego.

— Prosiła mnie, żebym sprzedał trochę drzewa, wysłuchałem jej prośby, no i narąbałem.

— Ile tego drzewa było, metr, dwa?

— Mogło być z pół metra, bo naładowałem pełen ręczny wózek.

— Było to rano czy wieczorem? Przecież świadek pamięta.

— Łodzie akurat wracały z połowu.

— Kiedy? Mniej więcej o której godzinie powracają rybacy z morza?

— No, mogła być dziesiąta, w pół do jedenastej...

Sędzia spojrział w akta, a potem na Hanemanna i rzekł:

— Zgadza się.

Weronikę uniewinniono. Dwóch Hanemannów wybiegło z sądu, jakby ich ktoś wystrzelił z procy. Mroszka za nimi.

— Wy, komturzy pruscy, wynieście się do vaterlandu

i nie dokuczajcie tutejszym ludziom! — dogryzała oskarżycielom, dogoniwszy ich koło rynku.

Jeszcze wiele nieprzyjemnych słów musieli się nasłuchać z ust rybaczki, zanim wsiedli do landary i odjechali do Mieroszyna.

— Złajałam tych pasibrzuchów, że pies nie wzięłby od nich kaska chleba — powiedziała Weronka do nadchodzącego męża.

— To im się należało — rzekł Tona — widzę, żeś rozgarnięta. Jakby to było dobrze, gdybyś zrozumiała, że nasze dzieci trzeba posyłać do szkoły, a nie do pasienia bydła.

— Sam widzisz, że choć szkół nie kończyłam i gazet nie czytam, daję sobie radę w życiu.

Tona posmutniał.

— Szkoda dzieci — powiedział.

— Większa byłaby szkoda, jakby z głodu pomarły — rzekła ze złością. — Z twoich połowów nie wyżyjemy. Bo co złowisz, to z powrotem w morze wyrzucasz. Nikt twojej ryby nie kupuje.

Tona musiał przyznać w duchu rację żonie. Od dawna nie pamiętano tak obfitych rybackich żniw. Ale prawie wszystkie ryby z połowów rybacy zmuszeni byli wyrzucać do morza. Przybrzeżne dno błyszczało od śledzi. Z całego niemal Bałtyku zleciały się tłumy mew na żerowisko. Przyszła jesień, sucha i ciepła, a nadal nie było nawet co myśleć o wysłaniu ryb w głąb kraju. Na wschodzie szalała wojna.

Nagle silny północny huragan położył kres połowom śledzi. Po dwóch dniach północny szaleniec ustał. Morze uległo. Rybacy wyszli na brzeg zbierać bity. Tym razem morze nie wyrzuciło resztek rozbitych podczas sztormu statków, za to w porannym świetle iskrzyły się gdzieniegdzie kawałki bursztynu. Przed samym Rozewiem czerniała się wzdłuż brzegu czarna smuga półkilometrowej długości. Niewielka fala wylewała tu na brzeg morskie glony, rybne ości i różne śmieci.

— W tym prochu — powiedział Tona, gdy się tam znalazł i zaczął grzebać — może być bursztyn.

Rzeczywiście znalazł kilka kawałków. Po chwili zbiegli się mieszkańcy z całej wsi, a wśród nich i Weronika. Wnet przetrząsnęli całe morskie śmietnisko i wybrali

3 — W pogoni za ławicami

33

wszystkie kawałki bursztynu. Duży obszar prochu pozostał jeszcze w morzu. Teraz rybacy chwycili za kaszory. Wskakiwali w długich butach do morza i gdzie tylko zaiskrzył się jakiś bursztyn, rzucali się szybko, jeden przed drugim, by go złapać.

Naraz w wodzie załśnił błyszczący “kapuśniak” wielkości dziecięcej głowy. Cała gromada łowców skoczyła po cenną zdobycz odpychając się nawzajem i krzycząc:

— Ten bursztyn do mnie należy, bo go pierwszy widziałem!

Bursztyn jednak zginął gdzieś w morskich śmieciach i rybacy wyciągali puste kaszory.

— Dlaczego ty nie skaczesz?! — wrzasnęła Weronika do męża.

Tona wzruszył ramionami:

— Nie widzisz, kobieto, że zaraz pobiją się przy tym.

Nagle większa fala wylała spienioną wodę pomieszaną

z glonami. Tona uskoczył, by mu woda nie wlała się do butów. Naraz błyskawicznie nabrał kaszorkiem i wyciągnął z rwącej wody olbrzymi kawał bursztynu.

— To ten kapuśniak — rzekł i odwrócił się od morza ku wydmom, podrzucając kawał bursztynu jak bochenek chleba. — Piękny dar od Neptuna, waży z półtora kilo.

Wszystkie oczy zwróciły się w kierunku Mrocha.

— Podzielimy się zdobyczą — proponowali rybacy.

Ale Weronika chwyciła bursztyn.

— Nic nie dostaniecie — powiedziała zawijając kapuśniak w fartuch — mój chłop go złapał. Szukajcie, to znajdziecie.

Nikt nie odszedł z próżnymi rękami. Wszyscy coś zdobyli. Od niepamiętnych czasów morze nie wyrzuciło tak olbrzymiej ilości bursztynu. Były to jednak ostatnie na kaszubskim brzegu obfite jantarowe łupy.

Ciężko byłoby przetrwać nadchodzącą zimę, gdyby nie budowa linii kolejowej na Hel. Wielu rybaków znalazło przy niej pracę i zarobek.

— Jak tylko zbudujemy tę kolej, to i ludzie z głębi kraju będą do nas zaglądać. Zaraz się tu zacznie inne życie — mówił Tona do maszopów.

Wkrótce rybacy przekonali się, że Tona miał rację. Już pod koniec czerwca zaczęli się pojawiać letnicy na wy

brzeżu kaszubskim. Rybacy chętnie odnajmowali im pokoje, bo przy tym zawsze nieco zarobili.

— Wiesz, że uniwersytet lwowski ofiarował naszej wsi bibliotekę? — powiedział któregoś dnia Mroch do żony.

Weronika pogardliwie wzruszyła ramionami.

— Wynajmiemy też izbę panom — ciągnął Tona. — Już prawie wszystkie wolne pokoje we wsi są zajęte. Zarobimy coś — próbował przekonać żonę,

— Co ty za te kostuszki dostaniesz? Codziennie mają inną wartość, a kulturą przecie nie będziesz karmić świni. Lepiej żebyś pomyślał i kupił nam krowę i prosiaka. To nam przynajmniej coś da.

Tona, żeby nie drażnić żony, zaczął rozpytywać, czy kto nie ma krowy na sprzedaż. Kiedy posłyszał, że Detlaf z Wielkiej Wsi sprzedaje jałówkę, wybrał się do niego.

— Masz do tej jałówki jeszcze tego kozła — rzekł Detlaf — wskazując Mrochowi rogate zwierzę.
— Idę na statek i nie chcę żonie zostawić za wiele roboty.

Mroch zapłacił i zabrał jałówkę i kozła.

Lato się skończyło, letnicy wyjechali, znów przyszła jesień, a po niej ciężka dla rybaków zima. Coraz trudniej było wyżyć z połowów. Na domiar złego zimą 1921 roku rząd rozpisał podatek, który mieli płacić wszyscy obywatele.

— Tego my nie zapłacimy — mówiła Weronika do męża — co też oni chcą od biednych rybaków.

— Biańko, podatki ludzie płacili jak świat światem — tłumaczył Tona żonie.

— Nicht mnie nie przekona, że chto nie zarabia, musi płacić podatek.

Toteż pewnego dnia, gdy kozioł spokojnie skubał sobie przy domu trawę, zjawił się komornik.

— Co pani posiada? — zapytał Weronikę.

— Nic — powiedziała rybaczka.

— Jak to nic?

— Jakbym posiadała, toby bieda do nas nie zaglądała.

— No, a ten kozioł?

— Kozła nie może pan zająć. On na nas zarabia. Z morza nie wyżyjemy, ryb nie można sprzedać.

— Kozioł zarabia? — zdziwił się komornik.

— Tak, bo od czasu do czasu tu ktoś przyprowadzi kozę.

3*

35

— Dobrze — rzekł uradowany poborca — pieniądze zarobione przez niego zajmuję na uregulowanie zaległością

Wręczył Mrochowej kawał papieru i przykleił kozłowi na róg nalepkę z orzełkiem.

Minęło kilka tygodni i poborca znów się pojawił.

— Przeszedłem po pieniądze — rzekł ostro do rybaczki.

Kozioł stał dumny, potrząsając bródką i patrzył na komornika.

— Panie, od czasu jak nasz kozioł nosi orzełek, poczuł się urzędnikiem, zrobił się porządny i nie chce kryć, niech mu pan zdejmie orzełka, nie będzie się wstydził zarabiać.

Komornik odszedł z kwitkiem.

Z jałówką Weronika miała same kłopoty. Mleka nie dawała, a na dodatek pewnego dnia zachorowała. Przestała jeść, leżała i stękała. Weronika otwierała jej pysk i wkładała świeżą trawę, zachęcając do jedzenia. Naraz; wymacała, że jałówka nie ma górnych zębów. Przełękła się. Wypadła z chlewa i pobiegła do męża, który, rozciągał sieci do suszenia.

— Co ty kupiłeś za krowę?! — wrzasnęła. — Nie ma górnych zębów, bosman cię oszukał.

— Uspokój się, kobieto, komu Pan Bóg dał rogi, temu nie dał górnych zębów.

— Nie zwalaj winy na Boga, tylko sam na siebie, bo dałeś się oszukać.

— Idź, zobacz u innych krów, baranów czy kozłów* żadne zwierzę, które ma rogi, nie ma górnych zębów.

— Ty pewno myślisz, że i diabeł nie ma zębów, bo ma też przecież rogi.

— Purtk nie ma ani rogów, ani zębów.

— Jak tu z głupim żyć?! — wrzasnęła Szczuka. — Ga-r zety czyta, a byle co pleszcze.

Tona pokręcił głową i dla świętej zgody milczał.

Jałówka wyzdrowiała, ale mleka i tak prędko się nie doczekali. Coraz trudniej było wiązać koniec z końcem, bo choć połowy były obfite, ryby tanio się sprzedawała lub po dawnemu wyrzucało do morza. Co gorsze, zniszczyły mu się sieci, a nowych nie można było kupić w ca-^łej Polsce. Wolne Miasto Gdańsk nie wypuszczało przez swą granicę na polskie wybrzeże ani kawałka jadra czy też liny. Toteż rybacy przemycali sieci rybackie przez

zieloną granicę morzem albo lądem. Gdzieś na początku zimy Tona postanowił pójść śladem innych maszopów

i przemycić potrzebne sieci. Gorzej, że na zakup sieci nie miał pieniędzy. Z pieniędzmi w ogóle było krucho, bo ryb nikt nie chciał kupować, a na dodatek marka wilhelmowska, która była w tym czasie w obiegu w Gdańsku, stała czterokrotnie wyżej od polskiej. Ale Mroch wziął się na sposób.

Postanowił przemyścić do Gdańska zabitego wieprza i tam go sprzedać. Umówił się jeszcze z trzema maszopami: Janem Rybakowskim, Andrzejem Kołaczem i Józefem Barczem, którzy również się postarali o tłuste wieprze. W ostatniej chwili przed odjazdem zjawił się u Tony rybak z Kuźnicy, Bernard Boszk.

— Popłynę z wami do Gdańska — prosił — też chcę sprowadzić z miasta sprzęt, rybacki. A wieprza kupię sobie w Tupadłach.

— Mamy mało czasu tłumaczył Tona — chcemy

o ósmej wieczorem odpłynąć, bo wiatr ustał. Musimy być przed świtem w Brzeźnie, na wybrzeżu gdańskim.

— Zdążę — zapewniał Boszk. — Mam w Tupadłach brutkę, to mi dopomoże, wszystko będzie grało.

Dawno minęła umówiona pora, a Bernard Boszk wciąż się nie zjawiał.

— Odpłyniemy — nalegali maszopi na Tonę — kto wie dokąd on zalał.

— Nie możemy tego mu zrobić. Skoro obiecaliśmy czekać, czekajmy, bo jak przyjdzie z mięsem i nas nie zastanie, to go celnicy jeszcze złapią.

Czekali więc dalej. Mijała godzina za godziną, mróz im zaczął dokuczać, bo od kilku dni było już dobrze poniżej zera, przytupywali więc dla rozgrzewki. Boszk zjawił się dopiero o północy. Był cały roztrzęsiony.

— To nie jest do opowiedzenia — mówił zdyszany — jak jo szed, to szemielo, a jak jo nie szed, to nie szemielo. Zos jem szed, szemielo, a jak jem przestoi, to przestało szemieć. Jo so meslöl ze to desza, ale gdy so obezdrzol, to belo wiewiorko.

— Bernard, w takim mrozie wiewiorka dawno śpi — tłumaczył Tona — zdawało ci się.

— Nie, wuja Tona, jo widzol, to tyde muszala bec desza. Tak ze strachu nie kupił ani świni, ani wieprza.

A jem zawrócył nazot. Wtedy coś trzeszczało w lese. Jo jem dostol strachu, ze to dzewu swinia i w nogi, a to zaczęło coś wrzeszczec z nieba. Tak jak jem w lese błądził, a czede jem weszedł, tak jam szedł leftu, asz jem tu przeszedł...

— Przecież mówiłem, że nie trzeba było czekać na Bernarda, tylko odpływać, a tak możemy za dnia nie zdążyć, bo jest przeciwny wiatr — oburzył się Rybakowski — a teraz jeszcze opowiada nam głupstwa.

Odbili bez Bernarda. Bryza od południowego wschodu się wzmogła. Obludzona pomeranka krzyżowała w kierunku Helu przeciw wiatrowi. Już świtało, gdy minęli cypel helski. Odtąd żeglarzom wiatr sprzyjał. Jednak nie mogli podpłynąć pod brzeg Brzeźna, bo mogłaby ich

przychwycić gdańska motorówka celna, toteż krążyli po zatoce w pobliżu Gdyni i Oksywia.

Niebo się zachmurzyło i zaczął padać śnieg. Przemarznięci, skuleni w otwartej łodzi rybacy czekali wieczora jak zbawienia. Po ciemku dobili do plaży w Brzeźnie. Zawiadomili o swym przybyciu rzeźnika Piątka — Kaszubę pochodzącego z Połczyna koło Pucka. Ten dobrze zapłacił maszopom za towar i zaprosił na nocleg.

Przez całą noc sztorm dął z południowego zachodu, a nad ranem wykręcił ku północnemu zachodowi.

— Udało się — tarł dłonie Tona. — Jutro za dnia kupimy sieci i czmychniemy do domu, póki nas tu w Gdańsku nie odkryją celnicy.

Rano polscy rybacy udali się na feszmark do Arendta, właściciela sklepu ze sprzętem rybackim. Stary poczciwy kupiec, który już wiele lat znał kaszubskich maszopów, chętnie sprzedawał im towar, a Piątka przywiózł furmanką rybaków ze sprzętem do siebie.

Następnego dnia sztorm dął z jeszcze większą siłą.

— Nie ma mowy, byśmy dojechali do domu — rzekł Tona, gdy wrócił rano znad morza. — iSFasze szczęście, żeśmy wczoraj nie wypłynęli. Możemy podziękować Bernardowi, bo gdybyśmy się przez niego nie spóźnili, byliśmy już na dnie.

Naraz otworzyły się drzwi izby, w której nocowali.

— Hände hoch! — zawołał od progu niemiecki policjant kierując lufę swego karabinu na rybaków.

Polacy zerwali się podnosząc ręce.

— Jesteście aresztowani, a wasz towar zarekwirowany! — ryczał grubym głosem.

Tymczasem do izby wtargnęło jeszcze kilku umundurowanych celników oraz policjantów. Maszopi musieli pokazać swe worki z sieciami, na których celnik nakleił kartki z nazwiskami właścicieli. Na próżno rybacy tłumaczyli, że nie mieli zamiaru przemycić do Polski sprzętu rybackiego bez oclenia;

— Mieliliśmy zamiar dziś jeszcze udać się z tym towarem na urząd celny — usiłował przekonać Niemców Rybakowski.

Ale nie chcieli go nawet słuchać. Stawka celna na sieci była wysoka i nie było nawet mowy, żeby rybacy mogli ją uiścić. Zamknięto ich w więzieniu na Schiesstange.

Piątka postarał się donieść o aresztowaniu rodzinom rybaków.

— Nie wsypałem ich — tłumaczył się Kaszuba. — Przecież jestem waszym człowiekiem. Musiał to zrobić albo Arendt, albo któryś z tutejszych niemieckich rybaków. Widzieli obcą łódź na plaży i

wiedzieli, że zatrzymali się u mnie. Jedźcie do Gdańska, do sądu na Neu- garten, może im coś pomożecie.

Rodziny uwięzionych udały się więc do Gdańska, ale w sądzie nie udzielono im żadnej wiadomości.

— Trzeba będzie wziąć dla nich obrońcę — radził Augustyn Kołacz, ojciec Andrzeja.

Poszli razem na miasto w poszukiwaniu adwokata. Na Hundegasse spostrzegli napis: “Rechtsanwalt Brockenhaus”.

— Wstąpmy tu — radził Jan Rybakowski, ojciec aresztowanego Jana.

Adwokat nie wdawał się z nimi w długie rozmowy. Zażądał od każdego sześciuset marek i kazał przyjść za czternaście dni.

— Do tego czasu zbadam ich akta i zobaczę, jak sprawa wygląda — zakończył krótką rozmowę.

— Ten adwokat jakoś dziwnie mało mówił — powiedział Kołacz, gdy znaleźli się na ulicy. — Załatwiałem nieraz sprawę u prawnika i wiem, że to są przeważnie ludzie gadatliwi.

— Będzie naszych bronił jak wilk kozę — sarknęła

Weronika. — Przecież to Niemiec, jeśli im nie zaszkodzi, to pomoc na pewno nie pomoże.

Kiedy przyszli, tak jak kazał, za czternaście dni, adwokat miał surową minę i mocno powątpiewał, czy uda mu się wygrać sprawę. Byli jednak radzi, gdy im powiedział, że mogą odwiedzić uwięzionych w następny czwartek.

W naznaczony dzień udali się we czworo do gdańskiego więzienia. Każdy dźwigał ze sobą paczkę z żywnością. Gdy tylko znaleźli się w pomieszczeniu, w którym odbywały się odwiedziny, Weronika z miejsca zaatakowała męża:

— Chciałeś sieci, to masz teraz wokół żelazne — mówiła ze złością.

— Daj spokój, białko — łagodził Tona.

— To z tego czytania tak tobie wychodzi, że jak co zrobisz, to zawsze źle, a ja muszę o wszystko się kłopotać. Jałówka rykiem pół wsi zagłusza.

— Daj jej, białko, siana — radził Tona.

— Nie siana jej trzeba, tylko buhaja, a kto ma ją prowadzić? Chłopcy u gburów pracują. Z głodu zdechniemy.

— Staraj się tedy, żeby mnie zwolnili stąd prędzej. Róbcie tam coś, żeby sprawa się już odbyła.

— Ruhe! — warknął stróż.

— Prędzej ciebie powieszają, niż zwolnią — rzekła Weronika na pożegnanie.

Tona wrócił do celi smutny. Dopiero po trzech miesiącach, a było to na początku marca 1922 roku, odbyła się w gdańskim sądzie rozprawa.

Na rozprawie Jan Rybakowski szeroko tłumaczył, że nie mieli najmniejszego zamiaru przemycać sieci, reszta twierdziła to samo, żaden z maszopów nie przyznał się do winy. Prokurator w mowie oskarżycielskiej długo dowodził, jak to polscy bandyci szkodzą gdańskiemu porządkowi i domagał się wysokiej kary dla rybaków. Mowa obrońcy była krótka:

— Należy pamiętać o tym, iż to ludzie ciemni. Nie wiedzieli, że trzeba na granicy oclić towar, dlatego proszę

o niezbyt wysoką karę dla nich — zakończył mowę obrońca Brockenhaus.

Po krótkiej naradzie sądu odczytano wyrok. Rybacy dostali po roku i cztery miesiące więzienia.

— Ten grom miał przecież mówić, że nie byli na granicy i że mieli zamiar towar oclić, na próżno daliśmy mu tyle pieniędzy — żalił się ojciec Andrzeja Kołacza.

— Mówiłam, że kweker nic nie pomoże — dowodziła Weronika — trzeba było mnie posłuchać i poszukać adwokata Polaka.

— Nie wiem, czy tu w Gdańsku jest w ogóle polski adwokat, który miałby prawo bronić w gdańskim sądzie. Musimy jednak wnieść apelację. Do Brockenhausu nie ma co chodzić, bo to już nic nie pomoże — rzekł brat Jana Robakowskiego.

— Skąd my teraz pożyczymy pieniędzy? — martwiła się Weronika.

— Mam jeszcze jedno źródło — odezwał się stary Kołacz. — Na Hirschgasse mieszka mój dalszy krewniak. Nazywa się Bolda, jest kupcem, a jego syn aktorem. Pożyczy nam wszystkim, bo to nasz człowiek.

We czworo udali się na Hirschgasse. Kiedy wszystko opowiedzieli staremu kupcowi, ten nie tylko pożyczył ziomkom potrzebną sumę pieniędzy, ale dał im jeszcze dobrą radę:

— Niemiec adwokat nic wam nie pomoże. Będzie grał w jeden róg ze sędziami, ale jest tu dobry człowiek, Żyd. Polakom bardzo życzliwy, do niego się udajcie. Mieszka na Trzeciej Grobli. Łatwo go tam znajdziecie, bo ma szyld z napisem: adwokat Samuel Kaufman. Ten od was darmo pieniędzy nie weźmie.

Posłuchali tedy dobrej rady i jeszcze tego samego dnia udali się na Trzecią Groblę. Bez trudu odnaleźli Kauf- raana i przedstawili mu całą sprawę. Adwokat zgodził się wnieść apelację i obiecał zrobić wszystko, żeby uniewinnić rybaków.

— Powiedz mu, że nie mamy co jeść, bo nie ma nam kto ryb łowić — rzekła Weronika do Rybakowskiego — to może będzie lepiej się starał na tej rozprawie.

— Mówcie po polsku, rozumiem waszą mowę.

— To je nasz pon — z radością zawołała Mroehowa.

Kaufman wziął od nich o połowę mniej pieniędzy niż

Brockenhaus i przyrzekł, że za czternaście dni odbędzie się druga rozprawa.

— To jest inna mowa — rzekła Weronika. — Do tamtego łaziliśmy cztery miesiące i nic z tego nie wyszło.

Kaufman dotrzymał słowa. Za dwa tygodnie odbyła się druga rozprawa.

— Jakie dowody są na to, że ci ludzie chcieli sieci przemyścić przez granicę, skoro w tym czasie, gdy ich zatrzymano, jeszcze byli w mieście? — pytał w swojej długiej mowie obrończej.

Dowodów nie było. Rybaków uniewinniono. Łódź im oddano, ale towaru nie otrzymali, choć niedługo potem zawarta została konwencja, na mocy której rybacy mogli wywozić sieci z Gdańska.

Na wiosnę wielkie ławice łososia i szprota podeszły pod Hel. Tona z maszopami wypływał na pomerance na helskie wody. Pewnego poranka, gdy zdejmowali sieci zastawione na łososie, zobaczyli zbliżający się helski kuter motorowy.

— To “Hel 21” — powiedział młody Rybakowski — własność Niemca Ericha Scheewa.

— Helskie kutry motorowe wszystkie należą do Niemców — odezwał się Kołacz. — Otrzymują na ich zakup pożyczki z niemieckiego banku.

— Nam bank niemiecki pożyczki na kuter nie da, zresztą nie mielibyśmy ich gdzie umieścić. Bez portu fala by je nam potłukła — zauważył Tona.

Helski kuter podjechał aż do samej łodzi.

— Wy złodzieje — krzyczał Erich Scheew, aż mu się bródka trzęsła — wy banda, po co tutaj z sieciami przyjechaliście?!

— To obraza dla nas — oburzył się Tona. — Jak tylko wrócimy, pójde i zamelduję inspektorowi rybackiemu. Co ci szwabi chcą? Żle im tu w Polskę, w takim dogodnym porcie jak Hel?

Gdy Tona przyszedł ze skargą na Ericha Scheewa, Barlasz, instruktor rybołówstwa obwodu helskiego, słuchał właśnie wyjaśnień helskiego policjanta, Aleksandrowicza, w sprawie sieci skradzionych Józefowi Gojce z Chłapowa.

— Nikt z Niemców nie mógł tego zrobić — tłumaczył ' gęsto Aleksandrowicz, bo ci nie kradną.

— Niech pan zrozumie, że nikt z Kaszubów tej nocy nie wypływał na morze. Więc kto mógł skraść? — Barlasz najwyraźniej nie wierzył wywodom Aleksandrowicza.

— Nikt z Niemców... — zaczął swoje Aleksandrowicz, ale nie dokończył, bo nadszedł Lizakowski, latarnik helskiej blizy, z wieścią, iż sieci się znalazły.

— Z latarni dostrzegłem — mówił Lizakowski — że ktoś się w lesie uwija. Zszedłem tedy i widzę, że złodziej unosi sieci do lasu. Rzuciłem się w pogoń i dostałem go. Był to Heim, helski Niemiec, ten z tą szadą brodą.

— Niemożliwe — zdziwił się Aleksandrowicz.

— Panie wachmistrzu, mało pan zna szkopów — rzekł Tona. — Właśnie też tu przyszedłem zameldować, że szyper kutra "Hel 21" nazwał mnie i moich drehów złodziejami. To nie jest w porządku nazywać tak uczciwych ludzi. To obraza dla nas.

— Postaram się zbadać sprawę — obiecał Barlasz.

Jeszcze przez kilka dni rybacy spod Rozewia łowili na

helskich wodach. Ryby sprzedawali od razu w porcie helskim, dokąd dobijał niewielki statek z Gdańska zabierając ryby dla gdańskich kupców.

Gdy podpłynęły pod Hel mętne wody wezbranej Wisły, ryba u brzegu helskiego się skończyła. Powodziowa fala przyniosła na morze pnie drzew, podkłady kolejowe, szczątki domów. Rybacy musieli przerwać połowy. Kiedy ostatni raz Tona ze swymi kompanami zbierał sieci, zauważył, że na szczątkach jakiegoś domu siedział uwiązany na łańcuchu pies. Maszopi podpłynęli więc do niego. Z bliska okazało się, że uwiązany pies jest ładnym choć wychudzonym owczarkiem. Pies patrzył na nich z ufnością i skomlał cicho. Młody Kołacz wlaź na płytę. Wyrwał skobel i wsadził psa do łodzi. Każdy z rybaków pragnął wziąć dla siebie wyratowanego owczarka. Szyper jednak postanowił, że ten weźmie psa, kto go wylosuje. Szczęśliwy los padł na Tonę. Mroch ucieszył się bardzo i z miejsca nakarmił rozbitka. Rybacy zebrali resztę sieci, podnieśli żagiel i odpłynęli z wiatrem i prądem do Rozewia.

Helskie połowy niewiele polepszyły dolę rodzin rybackich. Przede wszystkim brak było sprzętu rybackiego

i jak zwykle pieniędzy na jego zakup. Na szczęście teraz przyszedł im z pomocą Urząd Rybacki w Wejherowie.

— Bierzta, rybacy, pożyczkę z wejherowskiego banku — zachęcał maszopów naczelnik Urzędu Rybackiego, doktor Lubecki — otwieramy magazyn przy Urzędzie Rybackim.

Maszopi chętnie słuchali tego niskiego, sympatycznego człowieka z bródką, który sam im wypełniał weksle na kupno net, przędzy, lin, mancy szprotowych i śledziowych. Wszyscy rybacy, którym gdańscy celnicy zarekwirowali niegdyś sprzęt, nabyli teraz sieci za pożyczkę w Polsce.

Był już maj, ale ławica śledzi nie odpływała z przybrzeżnych wód. Tona z maszopami uprawiali połowy na cezowej łodzi. Reks, bo tak nazwał Tona uratowanego rozbitka, nie uzyskał azylu w checzy. Nic nie pomagały prośby Tony. Weronika biła i przepędzała psa, gdy ten tylko nawinął się jej na oczy. Toteż pies najczęściej siedział skulony w budzie, wyłaził z niej tylko wtedy, gdy Szczuka wychodziła z karznią sprzedawać ryby lub z wiadrami po wodę. Tona często myślał, że źle się stało, iż biedne zwierzę nie trafiło do Kołacza albo Rybakowskiego, na pewno lepiej by mu było u nich niż u niego, gdzie go tylko głodzono i bito. Tak się już jednak przywiązał do wiernego towarzysza, który zawsze radośnie witał go na strądzie, gdy wracał z połowów, że nie mógł się z nim rozstać.

Pewnego dnia, choć wiał wiatr i padał deszcz, a morze się sfalowało, Tona wciągnął długie skorzonie, wziął kaszorek i rzekł do białki:

— Daj mi dziś więcej chleba, bo gdy zastawimy mańce, wypłyniemy na nocny połów fląder.

Zaopatrzony w suchy chleb udał się ku morzu. Reks szedł krok w krok za nim. Rybak co chwila odłamywał kawałek chleba i karmił kudłatego przyjaciela. Zanim doszli do morza, pies zjadł panu cały nocny prowiant.

Na brzegu czekali już na niego pozostali maszopi.

— Dobra pogoda, dresze, do łowienia śledzi — rzekł Tona po przywitaniu. — Wiatr się uspokaja i zbacza ku zachodowi. Zastawimy mańce. Będzie przystęp.

Choć wiatr się uspokoił, wysoka fala z wielkim rykiem przewracała się na wszystkich mieliznach. Nie przstraszyło to rybaków. Załadowali sieci i przebili się przez przybój. W odległości mili morskiej od brzegu zastawili sieci na śledzie. Kiedy wracali do strądu, presk zamiast się uspokoić, wzmógł się, jak to zwykle bywało przy zmianie kierunku prądu. Łódź z rybakami długo stała za kipielią czekając odpowiedniej chwili, w której można by

się przedrzeć do brzegu. Fale rosły gwałtownie. Bryzgi zalewały bot. Z napięciem śledzili nadlatujące grzywacze.

— Jedna, dwie — liczył głośno szyper — dziewiąta, dresze. Teraz!

Rybacy rwali wiosłami, ale nadeszła druga seria fal. Pierwsza denega tuż przy łodzi podniosła swą paszczę

i przewaliła się prosto na bot, wywracając rybaków do wodnej kipieli. Reks, który skomląc czekał na swego pana na strądzie, skoczył w spienione grzywacze. Młodszy rybacy, Rybakowski, Kołacz i Barcz wkrótce podpłynęli do brzegu, a stojący na strądzie maszopi wyciągnęli ich z morza. Szypra jednak wciąż jeszcze nie było. Stojącym na brzegu rybakom nawet pies zniknął z oczu. Naraz dostrzegli, że Tona podniósł się w kipieli tuż przy samym brzegu. Pies szarpał go za bluzę ciągnąc na ląd. Skoczyli na pomoc Reksowi.

— Gdyby nie mój kochany Reks, utonąłbym — mówił Tona gładząc psa.

— Nasz szyper słaby — zauważył Rybakowski — tym co bierze na połów odżywiają się obaj, bo

Szczuka dla psa żadnej nie przeznaczczy żywności.

Gdy zmoczeni rozbitkowie przyszli do checzy, zastali już gospodynię, która sprzedawszy ryby wróciła z pełną karznią chleba. Jak tylko zobaczyła Tonę z Reksiem, zamierzyła się drewnianym pantoflem na psa. Reks zaskomlał i podkulił ogon. Tona pochylił się nad psem.

— Zostaw go, niech się pogrzeje przy ciepłym piecu — powiedział do żony — widzisz, jak drży z zimna. Jest cały przemoknięty, gdyby nie on, utonąłbym.

— Utonąłbyś, boś niezdara — krzyknęła ze złością Weronika. — Dlaczego inni nie tonęli?

Reks nie znalazł uznania w oczach gospodyni. Po dawnemu chował się przed nią do budy. A gdy Tona wypływał na połowy, godzinami cierpliwie, o głodzie i chłodzie wypatrywał na brzegu powrotu swego pana z morza. Gdy tylko z daleka rozpoznał żaglówkę Tony, skakał do wody i wypływał mu naprzeciw. Gospodarz wciągał go do łodzi, karmił pozostawionymi resztkami jedzenia. Potem razem wracali do domu i pies znów włąził do budy chowając się przed gospodynią, by go przypadkiem nie zauważyła.

Tegoroczne połowy flądry na pomerankach były obfite, ale na dalszych wodach rozewskich pojawiły się kutry z Piławy, Łeby i Helu. Swymi niewodami niszczyły rybakom sprzęt. Przybrzeżni rybacy z wybrzeża rozewskiego musieli zaniechać połowów. Było to bardzo dużą stratą dla rybaków, bo za flądry płacono dobrze.

— Żebyśmy tak mieli kutry motorowe jak ci Niemcy, co nam sprzęt poniszczyli — mówił Tona.

— Ba, żebyśmy mieli, ale za co i skąd — rzekł Rybakowski. — Żeby tak nasz rząd pobudował stocznię i zaczął budować kutry, które można by nabywać na spłaty, wtedy i dla nas skończyłaby się bieda.

— Łatwo ci mówić: skończyłaby się bieda. Nawet jeśli byśmy mieli kutry, to gdzie my flądry sprzedamy, przecież u nas ryba nie idzie — powątpiewał Tona. — Moją żona za śledzie dostaje chleb.

— Nie tylko twoja — odezwał się Kołacz. — Inne białki tak samo za ryby dostają chleb.

— To się wszystko unormuje — mówił Rybakowski. — Pobudują port w Wielkiej Wsi, będą budować stocznię.

— Jo, źdże krewa aż urośnie trewa — rzekł Barcz. — Ja żadnego polepszenia nie widzę, to tylko przed wyborami robią taką propagandę.

Był to październik dwudziestego drugiego roku. We wsiach nadmorskich aż się roiło od różnych agitatorów. Odbывały się wiece po karczmach, w szkołach, a prelegenci obiecywali nowy raj na ziemi dla tych, którzy będą głosować na wskazanych przez nich kandydatów.

— Na ósemkę głosujcie — nawoływali urzędnicy; bogaci gburzy i księża — to prawicowy blok, partia polska

i katolicka.

— Wybierajcie ludowców. To partia chłopów. Jest w niej wiele księży. Będzie reforma rolna, a wy rybacy będziecie mieli kutry — agitował Koperszmid z Gnieź-
dżewa, kandydat na posła.

— My będziemy wybierać tych z PPS, to partia robotników — zapewniali robotnicy z Cetniewa.

Pewnego dnia wieczorem, kiedy Tona wrócił z morza, Weroniki akurat nie było w domu, odwiązał więc psa z łańcucha i wpuścił do domu. Teraz zawsze przywiązywał Reksa do budy, woda robiła się już mroźna i rybak nie chciał, żeby pies wypływał mu naprzeciw. Gdy tylko

obaj znaleźli się w izbie, za chwilę weszła gospodyni. Reks schował się głęboko pod łóżko.

— Znowu gonią po wsi jak z pieprzem — rzekła. — Rozdają numery, na które mamy głosować.

— Mają co gonić, jest podobno trzydzieści kilka partii, nie wiem, jak się pogodzą w sejmie — odpowiedział Tona — chyba każdy z agitatorów myśli, że to on będzie prezydentem.

— Gdzie kucharek sześć, tam nie ma co jeść — postawiła z trzaskiem miskę z pułkami na stole. — Masz, jeszcze nie... — nie dokończyła, bo naraz ktoś otworzył drzwi.

W izbie było już ciemno i ani Tona, ani Weronika nie mogli rozpoznać, kto by to mógł być. Wnet się jednak wyjaśniło co to za jeden, bo przybysz od progu zaczął szwargotać po niemiecku:

— Wy nie jesteście Polakami ■ — mówił — dlatego powinniście głosować na listę niemiecką. Jest na niej Splett, mądry człowiek i dobry Niemiec. A na pierwszym miejscu figuruje kanonik z Poznania, głowa katolików niemieckich w Polsce, zresztą Polska długo istnieć nie będzie, to kraj zacofańców i biedaków.

— Białko, zróbże światło — rzekł Tona do żony.

Przybysz klarował dalej. Rybaczka zaświeciła Niemcowi naftową lampą w oczy. Naraz powiesiła lampę na hak, chwyciła nieproszonego gościa za czuprynę, przewróciła na kupę chrustu leżącą koło pieca i tłukąc go głową o podłogę zaczęła wrzeszczeć:

— Zapłać za moją gęś!

— Herrgott! — wrzeszczał Niemiec.

— Daj mu pokój, białko, bo go zabijesz — Tona złapał żonę za ramiona.

Wtem spod łóżka wyskoczył Reks i wbił swoje kły w błyszczące buty agitatora.

Rybaczka puściła agenta. Ten zerwał się i uciekł, a pies pognął za nim.

— Kto to był? — zapytał rybak.

— To był Hil, dowódca Strandwache w czasie wojny. Przyszedł i wziął ode mnie gęś, za którą miał następnego dnia przynieść pieniądze. Gęś zeżarł i po dziś dzień nie zapłacił. A tyś go jeszcze bronił. Reks lepiej zna się na ludziach od ciebie.

— Wiesz skąd on był?

— Mówili, że jest berlinczykiem.

— Tak się domyśliłem po jego mowie. Że też oni przysyłają swoich agentów aż z Berlina.

— Bić ich, żeby tylko strzepy pozostały — dogadywała trzaskając garnkami Weronika. — Co on tu znowu

o tym Spletcie mówił?

— Że jest kandydatem na posła z listy niemieckiej.

I że jest bratem księdza. Wszyscy wiedzą, że proboszcza ze Starzyna zamknął za to, że za Wilusia nie chciał głosić kazań po niemiecku. Jego nikt tu z naszych nie będzie wybierał, nie ma obawy — zapewniał Tona Weronikę. — Po wyborach pójdzie tam, gdzie pieprz rośnie, a nie do polskiego sejmu.

Gdy pies zziajany, ale zadowolony z siebie wrócił do izby, Weronika postawiła przed nim pełną miskę gotowanych dorszy i pogłaskała go.

— Ty mi pomogłeś załatwić się z tym judaszem.

Od tego czasu ku radości Tony położenie psa się zmieniło. Weronika co dzień podsuwała mu miskę pełną gotowanej ryby i pozwalała wylegiwać się przy piecu*

i suszyć kudły.

Nawet agitacja Hila, który przemawiał we wszystkich wsiach i w Wejherowie na rynku, nie pomogła. Kaszubi przywiązani do swej ojczyzny wybierali na posłów tylko Polaków.

— Próżna niemiecka agitacja — rzekł po wyborach Tona do Weroniki. — Na czternastu posłów, którzy przypadali Pomorzcu, nie wszedł ani jeden Niemiec.

— Kto by tego groma Spletta wybierał, jeżeli sarn mówi, że jest Niemcem — odpowiedziała Weronika — niech nie żre polskiego chleba, niech się wyniesie do vaterlandu.

Pomimo przyjaźni z gospodynią, która pozwalała mu teraz na wylegiwanie się przy ciepłym piecu, Pweks po dawnemu biegał na strąd z Toną. Gdy ten wypływał na połów, siadał na brzegu morza, oczekując na powrót pana.

Pewnego dnia, kiedy jak zwykle siedział na strądzie, nagle zaczął skomlić, jakby przeczuwał coś złego. Nad

szedł presk, a potem zerwał się raptowny wiatr z północy. Łodzie, jedna za drugą, dobijały do brzegu. Tylko gospodarza Reks nie dostrzegł. Biegał wzdłuż brzegu to w jedną, to w drugą stronę, podnosząc uszy. Wspinał się na tylne łapy i wył rozpaczliwie, spoglądając poprzez presk, skąd spodziewał się swego pana. Ale żadna żaglówka nie nadpływała. Nagle pies kilka razy żałośnie szczeknął i skoczył w zimną wodę. Rybacy z brzegu widzieli, jak przepłynął kipieli. Wkrótce zniknął im z oczu.

Wiatr tymczasem zapędził Tonę z maszopami na Półwysep Helski. Tam rybak zostawił łódź i pieszo wrócił wzdłuż strądu. Ale na zwykłym miejscu nie znalazł już swego psa.

— Twój pies — powiedział stary Franciszek Gojka, który spotkał Mrocha na brzegu — popłynął tobie naprzeciw. Skomlił tu, a jak widział, że fala wzrasta, skoczył do morza i zniknął w kipieli. Okropny był widok, jak przebijał się przez presk, by tobie życie ratować.

Tona nie poszedł do domu. Miało się już ku wieczorowi, a on wciąż stał na brzegu. Łudził się jeszcze, że wiatr mógł znieść wiernego przyjaciela w bok, tak jak jego kiedyś na łodzi. Ostry piach pędzony wiatrem ciął go w twarz. Mewy szybowały nisko nad wodą. Kwiliły żałośnie. Rybakowi toczyły się łzy po policzkach.

Wieczorem wiatr się wzmógł aż do sztormu, powstał ogromny przy bój. Woda się spiętrzyła. Maszopi Tony musieli iść bez szypra ratować łódź zostawioną aż pod Chałupami.

Gdy wyciągnęli łódź aż za wydmy, postanowili wracać strądem, w nadziei, że może fale wyrzucą jakąś bitę. Szli pod wydmami, bo morze zalewało cały strąd. Błyskała rozewska bliza. Naraz w jej świetle coś się zaciemniło. Nadleciała fala i dostrzeżony przedmiot zniknął. Ale następna fala znowu wyrzuciła bitę. Barcz skoczył, szybko chwycił i zawołał:

— To szypra pies! Zabierzemy go, zginął ratując mu życie. Niech go sobie pochowa przy domu.

Tego lata znowu pojawił się we wsi naczelnik Morskiego Urzędu Rybackiego, doktor Franciszek Lubecki. Przy Szkole Morskiej w Tczewie urządzano kurs nawigacyjny

4 — W pogoni za ławicami

49

i motorniczy i doktor chciał na ten kurs zwerbować jak najwięcej młodych rybaków.

— Uczestnicy tego kursu — mówił Franciszek Lubecki — którzy zdadzą egzamin, dostaną dyplomy kapitanów żeglugi przybrzeżnej. Będą mogli być kapitanami holowników, będą mogli prowadzić każdy przybrzeżny statek, a przede wszystkim będą mogli na kutrach rybackich wypływać na dalsze łowiska.

— Gdyby tak naszego Piotra zabrać od gbury i posłać na taki kurs — mówił Tona żonie. — Jako kapitan rybackiego kutra zarabiałby dobrze.

— Na taki kurs, gdzie by nasz Piotr wyuczył się na kapitana i dobrze potem zarabiał, chętnie się

zgodzę. Ale co to będzie kosztować?

— Naczelnik Urzędu Rybackiego mówił, że wszystkie koszty związane z kursem pokryją, tylko obawiał się, czy nasz Piotruś da sobie radę z rachunkami.

— Jak inni sobie dadzą radę, to i on da. Zawsze dobrze umiał policzyć krowy, nigdy żadnej nie zostawił na pastwisku. Gburzy na niego nie narzekali.

— Młody Rybakowski też się zapisał na ten kurs, ale on się uczył w szkole, nikt go nie wysyłał do pasienia krów.

Tona zamyślił się smutno.

Na jakie trudności jego synowie natrafiają w życiu, bo matka nie pozwoliła im się uczyć. Szkolny brał ęsi, a synowie zostali analfabetami.

Udał się Piotr do Tczewa, ale za tydzień wrócił.

— Rybakowskiemu wszystkie anioły pomagają, a mnie nie — tłumaczył się chłopak.

Po nieudanej próbie dostania się na kurs najstarszy syn Tony został jednak rybakiem. Tylko Weronika miała zastrzeżenia co do zarobków w rybołówstwie.

— Gbur to mur. Choć mało płaci, ale jest coś, a ryb od dwu rybaków nie uniosę w karzni.

— Jeszcze rozkręci się, białko, handel rybami. Jeszcze będą tu kupcy przyjeżdżać z innych miast. Niech tylko w Wielkiej Wsi powstanie port. Chcemy zwołać zebranie

i wysłać delegację do samego prezydenta. Jak nas wysłucha, każe wybudować port.

— Rób, jak chcesz — zgodziła się Weronika — weź sobie nawet trzech synów na rybaków, tylko tobie po

wiem, że już trzy lata mi obiecujesz, że będzie lepiej, a ja wciąż z karznią chodzę, gburskie psy za pięty mnie szarpią, i ciągle jemy suchy chleb.

Rzeczywiście za kilka dni ruszyła do Warszawy delegacja rybaków z Józefem Gojką na czele.

— Nie zapomnijcie rzecz, że nasz starosta jeździ w gościnę do junkrów pruskich i nie dba o interesy rybaków.

— Pamiętajcie powiedzieć, żeby kupców po ryby przysłali.

— Wszetko gadajcie w Warszawie, cośmy tu uradzili — przypominali maszopi swoim wysłannikom.

Jeszcze w tym samym dniu, w którym przyjechali do stolicy, dzięki życzliwej pomocy Lubeckiego

zostali przyjęci przez prezydenta Stanisława Wojciechowskiego.

Po słowach przywitania, w którym zapewniał o wierności Kaszubów dla Matki Polski, Gojka przedstawił prośbę dotyczącą budowy portu we Władysławowie.

— Gdy będzie sporządzona dokumentacja, zaraz przystąpimy do budowy portu w Wielkiej Wsi — zapewnił kaszubskich rybaków prezydent.

Potem prezydent podejmował ich obiadem. Dano im informatora i przewodnika. Zwiedzili stolicę i na koszt państwa pojechali do Łodzi, Częstochowy, Krakowa i Wieliczki. Doktor Lubecki umożliwił rybakom poznanie całej ojczyzny. Toteż po, powrocie maszopi mieli co opowiadać. Józef Gojka zwołał wielkie zebranie przy swojej checzy.

— Dresze — zaczął — byliśmy w Warszawie. Widzieliśmy prezydenta. Nasz prezydent nie jest taki, jak Wiluś czy Bismarck. To jest ludzki człowiek i rozmawiał z nami, jak my tu między sobą.

— A jak wygląda? — zapytał Jakub Bolda.

— Nasz prezydent wygląda akurat tak, jak nasz Mach — ciągnął Gojka — ma taką samą bródkę.

Wszyscy spojrzeli na Macha.

— Co dalej było? — zapytał August Styn.

— Zajechaliśmy do Łodzi. Są tam duże fabryki. Jedna fabryka jak cała nasza wieś. Stamtąd pojechaliśmy do Częstochowy. Oprowadzali nas po murach obronnych, których generał szwedzki Miller nie mógł zdobyć. Widzieliśmy cudowny obraz Matki Boskiej, która obroniła nasz kraj przed zagładą. W Krakowie byliśmy na Wawelu. Wielu królów polskich tam leży. Byliśmy też w Wieliczce w wielkiej kopalni soli, tam, pod ziemią, znajduje się kościół cały z soli.

— Teraz już, Gojka, przestań. To są bajki, co mówisz. Powiadaj lepiej, czy prezydent przyśle kupców po ryby — wtrąciła Szczuka.

Gojka pogłaskał swoją bródkę.

— Przyrzekł nam prezydent, że pobudują schronisko dla kutrów w Wielkiej Wsi, że rozwinie się handel rybacki — zaczął. — Mają nam pobudować piękną nadmorską drogę aż do Dębek. Zjawią się kupcy po nasze ryby, a karznie znikną.

Tak pocieszał rybaków Kaszuba z krwi i kości. Chwalił na zebraniu rybackim swą ojczyznę. Tego ęo prezydent im samym nie domówił, Gojka dopowiedział swym dre- hom i sąsiadom, by podnieść na duchu rybaków często nawiedzanych przez agentów z Berlina. Ale mijały miesiące, a rybacy z Wielkiej Wsi nadal walczyli z żywiołem morskim na swych małych łodziach, bez oparcia o port, kobiety zaś dźwigały na plecach karznie z rybami, sprzedając je po sąsiednich wsiach.

HM^fokąd mam iść z rybą? Na wsiach przed karze-
^Pr/|na męża, kiedy powrócił z cezy z pełnym ka- K^flszorkiem fląder. — Mówiłam tobie, że dola
rybaków się nie polepszy.

— Nie martw się, niedługo będą budować autostradę z Wielkiej Wsi do Jastrzębiej Góry, już robią pomiary. Jak nie zarobimy na połowach, to pójdziemy z łopatą do roboty.

— Autostradę zbudują w ciągu roku, zarobek się skończy, a bieda zostanie.

— Nie będzie znowu tak źle. Przyjeżdża coraz więcej letników i z tego jest trochę zarobków. A i w rybołówstwie się zmieni. Na razie przeniesiono Morski Urząd Rybacki z Wejherowa do Gdyni, bliżej morza. Antoni Hryniewiecki, godny zastępca doktora Lubeckiego, robi wszystko, by poprawić dolę rybaków.

— Hryniewiecki może nawet na głowie stawać, cóż kiedy go ci panowie z Warszawy nie rozumieją! Sam prezydent przyrzekał Gojce, że wybudują port, a gdzie go masz?

— Tobie, biało, wszetko niedobrze — powiedział Tona. — Tymczasem inni chwyatają zarobek, gdzie się da, Kołacze całkiem ładny grosz od letników dostali.

— No już dobrze — przerwała rybaczka — jak chcesz, to wyczyszczę izbę i wynajmę panom. Tylko skąd wezmę słomy do łóżka? Już jej trzy lata nie zmieniałam.

Tona bardzo się ucieszył, że przekonał żonę.

— Przyniosę od gbura słomy dla letników i dla nas — powiedział.

Następnego dnia Tona pobielił izbę wapnem, a kiedy jeszcze pociągnął ściany z zewnątrz, brudna, zanedbana checz zmieniła się w jasny, c.zysty domek. Tona zacierał z zadowoleniem ręce.

— I u nas będzie wreszcie jak u ludzi — mówił do synów.

Następnego dnia wypłynął z synami na połów fląder. Gdy wyciągnęli pierwszy zaciąg, w matni zaroilo się. Tona napełnił cały kaszor pięknymi flądrami.

— Tatku, starczy — rzekł Piotr po kilku zaciągach. — Nenka więcej nie uniesie.

— Patrz, ilu letników wyleguje się na plaży. Na pewno coś sprzedamy do pensjonatów.

Dobili do brzegu. Przy łodzi zebrała się grupka letników. Wiele rąk chwyciło łódź i pomogło wyciągnąć na strąd.

— Jaki obfity połów! — zdziwił się jakiś pan. — Musieliście wcześniej wypłynąć?

— W nocy, panie, wypłynąłem, bo wiatr wschodni dobry na połów fląder.

— To wam wiatr spędza flądry do sieci?

— Panie, wschodni wiatr powoduje powstanie prądu z tego samego kierunku. A prąd ten wypycha z gdańskiej głębi zimną wodę, która przed sobą unosi wszystkie stworzenia. My z tego skorzystali i wypłynęli przed nadejściem zimnej wody i dlatego mamy taki dobry połów.

— To w zimnej wodzie nie ma ryb?

— Owszem są, dorsze i diabły morskie.

— To morze też ma swoje diabły?

— Diabły? — zdziwiła się jakaś młodziutka dziewczyna. — A jak te diabły wyglądają?

Tona wziął rybę z długimi płetwami i pokazał zaciekawionym letnikom.

— A ten diabeł jest jadalny? — pytała dalej dziewczyna.

— Kto by tam diabła jadł! — powiedział ze śmiechem rybak.

— Panie, niech pan kolegę i mnie weźmie następnym razem na połów — poprosił chłopak w harcerskim mundurku.

— Przyjdźcie, chłopaki, w niedzielę, to wypłyniemy razem, pokażę wam, jak się łowi.

— A ile to będzie kosztować?

— Darmo was wezmę.

Dźwignęli na plecy karznię z rybami i skierowali się do domu.

— To męczarnia nosić w takim upale ryby — powiedziała jakaś letniczka.

Niewiele sprzedali ryb do pensjonatów. Pełną karznię Weronika zarzuciła na plecy i podążyła do Łebcza. Tona zaś przyrządził obiad i właśnie chciał odpocząć po nocnym połowie, gdy koło checzy pojawili się jacyś młodzi państwo.

— Czy pan ma pokój do wynajęcia? — zapytała młoda, ładna kobieta.

— Nie wiem, żony nie ma — odrzekł Tona.

— Ale chcemy tylko wiedzieć, czy jest pokój.

— Właściwie jest, tylko nie znam ceny.

— Pan jeszcze nigdy nie wynajmował?

— Nie, pani, tego roku mamy zamiar pierwszy raz wynająć.

— Czy można zobaczyć mieszkanie?

— Proszę bardzo.

Młodzi ludzie weszli do mieszkania, rozejrzeli się po izbie.

— Ściany wybielone, podłoga czysta, miednica jest — i powiedział letnik do żony, która uważnie spoglądała na gospodarza. — Czy ci się tu podoba?

— Tak, podoba mi się — odrzekła.

— To pan nie wie, ile za to wziąć?

— Nie wiem, proszę pana.

— Ale chce pan jednak wynająć?

— Pewno, zawsze się przyda parę groszy.

— W ubiegłym roku mieszkaliśmy w pokoju bez podłogi i płaciliśmy za miesiąc osiemdziesiąt złotych, tu jest podłoga z desek, więc damy sto. Zgoda?

— Zgoda. Nawet tyle się nie spodziewałem.

— Jeśli zgoda, to przywieziemy nasze rzeczy — rzekł młody człowiek i wpłacił Tonie pięćdziesiąt złotych zaliczki.

— Mam, biało, wynajęte letnikom za sto złotych. Pięćdziesiąt złotych już zapłacili. Trzeba nam nieraz za tyle złotych pracować na morzu cały miesiąc — rzekł Tona do żony, kiedy ta wróciła ze sprzedaży ryb.

— Dosyć dali — rzekła Weronika.

— Nie wiedziałem, ile wziąć, ale sami tak zaproponowali.

— Sami zaproponowali, a ty się na to zaraz zgodziłeś? — wrzasnęła Weronika. — Jak powiedzieli sto złotych, to miałeś powiedzieć sto pięćdziesiąt, może by tego nie dali, ale ze dwadzieścia na pewno by dołożyli. Ty się nie znasz na interesach! Szkoda, że mnie nie było! Wcałe mi się nie opłaciło iść z karznią, tyle ryb sprzedawałam, a dostałam tylko pięć złotych.

— Tak nie mogłem postąpić. Proponowali dobrą zapłatę. Trzeba być sprawiedliwym.

— Od twojej sprawiedliwości schudniesz do reszty.

— Biało, nie tak głośno, bo obudzisz panów.

— Co? W biały dzień chcą spać?

— No przecież całą noc jechali, są z Warszawy, to bardzo mili ludzie.

Gdy Tona następnego dnia wrócił z połowów, Weronika od progu przywitała go wymówkami:

— Dwie miski wody już im dałam i może jeszcze mało im będzie, bo się tak myją. Kogo ty nam do domu wpuściłeś?! — krzyczała na męża.

— Białko, to są ludzie kulturalni, a kulturalny człowiek myje się co dzień. Nic za wiele im nie dałaś, bo dla każdego po jednej miednicy.

— Przez ich kulturę w studni wody zabraknie.

— Kobieto, uspokój się. Co ci ludzie sobie pomyślą.

— Co mnie to obchodzi, to są jakieś nierobusy. On ma ręce jak ksiądz wikary, a ona jak aptekarka. To są

grzeszni ludzie. Widziałam, jak on wracał z chlebem i ją pocałował.

— Wszystko w porządku. To jest małżeństwo. On jest lekarzem, a ona aptekarką. Byłem wczoraj u sołtysa ich meldować, miałem ich dowody osobiste.

— Dlaczego poszedłeś? Będziesz teraz płacił takse.

— Nie ja, nie my, to oni płacą. Zgodzili się na to. Tylko na litość boską nie krzycz tak, bo nam wnet uciekną.

Tego dnia Weronika znowu musiała iść z karznią, a Tona zaczął rozwieszać mokrą jeszcze sieć.

— Jak się udał połów? — zapytał młody letnik podchodząc do rybaka.

— Ano, udał się, tylko mamy wielkie kłopoty ze sprzedażą ryb. Moja żona poszła z rybami do Strzelna i nie wiem, za ile ona tam sprzeda, bo wczoraj marnie jeg poszło.

— Zapalimy sobie — rzekł młody człowiek.

— Jestem niepalący, ale panu nie odmówię.

— W tym roku jest u was jakoś gorąco. Czy tu często jest tak ciepło?

— To, proszę pana, przejściowo. Wiatr wieje ©d wschodu i niesie nam gorąco z kontynentu, ale skoro się odwróci do zachodu, to napłynie wilgotne powietrze i ochłodzi się.

— Ale woda w morzu jest niemiłosiernie zimna, byliśmy wczoraj po południu nad morzem i prawie nikt się nie kąpał, chociaż na plaży upał.

— Tak to bywa u nas. Przy wietrze wschodnim gorąco. Ale dla nas rybaków wiatr ten jest dobry. Powstaje wtedy w morzu południowo-wschodni prąd, który nanosi nam z Głębi Gdańskiej zimną wodę, a wówczas następuje przystęp ryb.

— Skąd pan to wszystko wie?

— Rybaczę już blisko czterdzieści lat, to poznałem morze.

— Cały czas pan tylko łowi ryby? — zapytała letniczka, która właśnie nadeszła i włączyła się do rozmowy.

— Nie, pani. Pływałem też na statkach. Najpierw w marynarce wojennej. Trzy lata mnie trzymali. A potem pięć lat w handlowej. Ale jak tylko zarobiłem trochę grosza, wróciłem tu. Ożeniłem się i kupiłem tę checz. Potem jeszcze raz w czasie zaborów byłem w Hamburgu na zarobku, ale przyrzekłem sobie więcej polskich ziem nie opuszczać.

— Widać, że wy Kaszubi jesteście bardzo przywiązani do swoich stron.

— Tak, panie, trzymamy się rękami i zębami tego wybrzeża.

— A Niemcy nie próbowali was stąd wyrugować?

— Pewno że próbowali. Nasłali rybaków z zachodu, ale ci albo się spolszczyli, albo wrócili, skąd przyszli. Nasi ich przepędzili. Od swojej babki słyszałem, że chłop Trela z Łubkowa zbił samego Fryderyka II, jak ten tu łaził i badał grunt, żeby Niemców osiedlić, a w darżlubskim borze u drwała głupi Fryc o mało co by się utopił w cieście.

— W cieście by się utopił? — plasnęła w ręce ze śmiechem letniczka. — Niemożliwe.

— Ja przy tym nie byłem — powiedział Tona wzruszając ramionami. — Mówię, co słyszałem.

— Opowiedzcie nam, gospodarzu, jak to było — prosili młodzi państwo.

— Było to tak — zaczął Tona, gdy usiedli na ławeczce przed checzą. — Gdy Fryderyk Wielki zagarnął nasze ziemie, postanowił sam obejrzeć i poznać swój łup. Przebrał się więc po chłopsku i przyjechał na dwukonnej bryczce, tylko z woźnicą, w okolice darżlubskich borów.

‘Kiedy przejeżdżał rozmokłą drogą przez ciemny las, wjechał w taką kałużę, że woźnica w żaden sposób nie mógł z niej wyjechać. Ani w jedną, ani w drugą stronę. Fryc wylażł z bryki i zaczął się rozglądać. Niedaleko drogi dostrzegł nad strumykiem jakąś kaszubską checz. Ruszył więc ku niej. Zabłocił sobie buty, pluł i przeklinał, ale doszedł do checzy.

Robiło się już ciemno, kiedy zapukał do drzwi, w których ukazała się młoda Kaszubka.

— Czy można by u was zanoć? — zapytał.

— Gość w dom, Bóg w dom. Wejdźcie — odpowiedziała białka i wprowadziła Fryca do mrocznej izby.

Ostre oko boga wojen dostrzegło, że w izbie stoi jakiś podłużny mebel, trochę podobny do łóżka,

przykryty parcianym prześcieradłem.

— Co to jest? — zapytał.

— To posłanie dla gości, którzy tu często do nas za

chodzą — rzekła bystra Kaszubka, która przypomniała sobie, że tę chudą twarz pod kanciastym kapeluszem widziała w Wejherowie, kiedy sprzedawała jagody. Jechał akurat na koniu przed grupą wojska, a ludzie mówili, że to właśnie był król pruski, który zagrabił ziemię kaszubskie.

Fryc dotknął dłonią prześcieradła.

— Miętko — rzekł. — Chętnie się tu prześpię.

— Dobrze — powiedziała młoda kobieta. — Jak mąż wróci z lasu, to znieś pierzynę. Ja się boję po nią iść* bo na strychu ciemno.

— Kogo się boisz? — zapytał.

— Może tam być dusza albo nawet sam Purtk.

Fryc roześmiał się i rozsiadł się na ławie po przeciwnej stronie pieca. Kobieta zapaliła łuczywo i zaczęła szykować wieczerzę. Po chwili nadszedł drwał.

— Siadaj przy mnie — rzekł król do drwala.

Drwał usiadł na ławie, poszukał rogu z tabaką, nasypał sobie na dłoń, następnie podał Frycowi, mówiąc:

— Chceme le so zażec?

Fryc nasypał na wierzch dłoni dobry niuch, ale zażył dopiero wtedy, jak, gospodarz pociągnął.

— Powiedz no mi, jak wy tu żyjecie? — zagadnął łaskawie.

— Żyłoby się w tych kniejach nie najgorzej, gdyby w nich nie gnieździł się kusy Purtk — rzekł gospodarz.

— Cóż ten Purtk wam złego zrobił? — zapytał z szyderczym śmiechem bóg wojen.

— Panie, sąsiadowi co mieszka w tej samej kniei, ale ma trochę ziemi, wyssał krowie mleko z cyczków, a nas to chciał kiedyś utopić.

— Jak to utopić? Czyżby tu była gdzieś rzeka?

— Nie ma tu w pobliżu rzeki, ale Purtkowi i strumyk wystarczy, żeby utopić człowieka.

— Jak to było? — zainteresował się przybysz.

— Pewnej nocy — zaczął drwal — leżeliśmy z żoną w łóżku i spaliśmy twardo, kiedy naraz przebudził mnie chłód. Poczułem, że w łóżku jest mokro. Szturchnąłem białkę łokciem w bok.

— Co ty masz zrobione? — pytam.

— To nie ja, to ty — odrzekła kobieta.

Wytknąłem rękę z łóżka, a tu w pokoju potop. Pierzy

na z nas spłynęła, więc my oboje z łóżka. Dziecko jeśmy mieli przy łóżku w kołysce, a tu patrzę: kołyski nie ma. Brodząc w wodzie doszliśmy do ławy pod piecem i stanęliśmy na niej. Udało mi się jakoś zapalić w kominku, bo kominek, jak pon widzi, jest wysoki. We świetle dostrzegłem, że dziecko pływa w kołysce po pokoju jak Noe w korabie. Ściągnęliśmy z pieca odzież i jakoś żeśmy się ubrali, a kiedy świtało, wydostałem się na dwór. Padał deszcz, a śnieg w lesie znikł. Tuż przy checzy zrobiło się jezioro. Wtedy ujrzałem, że Purtk koryto strumyczka zawałił zwałami lodu, żeby nas utopić.

— To przecież żaden Purtk — odezwał się stary Fryc — przyszła odwilż, lód na rzece ruszył, zwały lodu zatarasowały strumyk i nastąpił wylew.

— Nie, panie — zaprzeczył drwal. — To był Purtk. Widziałem odciski jego kopyt. Teraz znowu ostatnio widuję odciski stóp nieczłowieczych, niezwierzęcych. Pewno coś nowego knuje. Nie życzyłbym panu, żeby pon miał sprawę z Purtkiem, to jest bardzo niebezpieczna rzecz.

— Wasz Purtk nie ma do mnie przystępu — rzekł pewny siebie Fryc.

— Siadajcie do wieczerzy — poprosiła gospodyni i postawiła na stole miskę z dymiącą polewką.

— Zaczynajcie pierwsi — rozkazał podejrzliwie król.

Po wieczerzy gospodyni kazała mężowi przynieść ze

strychu pierzynę, sama zaś podeszła do owego dziwnego mebla. Było to koryto do ciasta i miała w nim właśnie rozmieszana makę z kwasem, bo nazajutrz chciała piec chleb. Udając, że poprawia pościel dodała jeszcze kwasu do ciasta i położyła z przodu poduszkę. A gdy mąż wrócił ze strychu, nakryła owo posłanie pierzyną.

Stary Fryc nabrał już zaufania do gospodarzy. Ściągnął z chudych nóg buty, zrzucił z siebie odzież i wsunął się pod pierzynę.

— Po co ty, białko, to wszystko robisz? — spytał szeptem drwal, gdy leżeli już w pościeli.

— To jest stary Fryc, król niemiecki, poznałam zaraz, jak go tylko ujrzałam.

— To mu urządzimy pięknego fifa — ucieszył się drwal.

— Ciasto zacznie wnet rosnać, bo dodałam jeszcze kwasu. Poczekajmy tylko, aż śpik go całkiem

zmorzy.

Gdy Fryc na dobre już chrapał, gospodarze po cichu, wstali, ubrali się szybko i wzięwszy dziecko uciekli w głąb kniei. Stary Fryc spał twardo na miękkim pościaniu. Przed samym świtem śniło mu się, że nad jego łóżkiem stanął kaszubski Purtk i rzekł:

— Chudy jesteś, muszę cię podtuczyć.

Wyraźnie czuł, jak obrasta miękkim tłuszczem. Był coraz grubszy, grubszy, aż się przeląkł, że już nie będzie mógł się poruszyć, (chciał złapać za szablę, ale jego ręce były jakby sklezione). Chciał krzyczeć, ale nie mógł, bo coś go dusiło. Wtedy się przebudził i nic nie rozumiejąc, co się z nim dzieje, zawył tak głośno, że usłyszano go chyba aż w Berlinie. Nadbiegł z chlewu woźnica, który nocował razem z końmi, wyciągnął boga wojen z koryta i długo go potem wycierał z ciasta.

Kiedy wsiedli do bryczki, Fryc rzekł:

— Już się w tych stronach więcej nie pojawię, bo tu panuje kaszubski Purtk.

— Tak się też stało — zakończył swe opowiadanie Tona. — Ani stary Fryc, ani jego następcy więcej się tu nie zjawili. A Niemcy tylko tyle zyskali na tych ziemiach, że udało im się zgermanizować grafa Krokowa i innych wielkich dziedziców. Lud kaszubski pozostał polski. Wykazał to spis ludności w 1910 roku. Aż siedemdziesiąt sześć procent Polaków w powiecie puckim. ^

— Jaki sympatyczny człowiek — rzekł lekarz do żony, kiedy szli na plażę. — Ona za to, pożałuj Boże! Tyle że silna jak lwica. Widziałaś, jak szybko szła z tym ciężkim koszem ryb? Wytrzymamy tu jednak chyba jakoś.

On jest bardzo interesującym człowiekiem. Chętnie dalej bym słuchał, jak opowiada, ale musi się wyspać, bo czeka go ciężka noc na morzu. Mówił, że znów jedzie na połów.

Po południu zastali jednak rybaka w domu.

— Dlaczego pan nie wypłynął? — zapytał letnik.

— Panie doktorze, zmienił się prąd i flądry odpłynęły na głębsze wody, trzeba będzie czekać na zmianę prądu.

Jak tylko ruszy z kierunku wschodniego, to znowu przypędzi nam ryby pod sam brzeg.

— Pan jest chodzącym biurem prognozy — zaśmiał się letnik.

— Rybak musi znać morze tak dobrze, żeby go sam Purtk nie zdołał na morzu przechytrzyć. Tak jak nie zdo-

łał przechytrzyć nieboszczyka Fabisza znad Lisiego Jaru. Jego syn Jan wdał się w ojca. W połowach nikt mu nie dorówna.

*— Opowiedzcie, jak to było z Purtkiem, który nie przechytrzył Fabisza — poprosiła młoda kobieta.

Tona nie dał się dwa razy prosić.

— Było to tak — zaczął. — Nieboszczyk Fabisz zbudował sobie nowy pławnicowy bot, którym chciał uprawiać połowy łososia. Nadszedł pierwszy wiosenny powiew ciepłego południowego wiatru. Kra lodowa odpłynęła od brzegu. Fabisz postanowił wypłynąć na morze. Ale nie mógł ściągnąć bota do wody. Chodził wkoło łodzi i drapał się w czuprynę, ale nie wymyślił żadnego sposobu, żeby ją ściągnąć. Wtedy rzekł ze złością:

— Niech ją Purtk ściągnie.

Zawrócił i zmartwiony chciał iść do checzy. Nagle zauważył, że od strony miosroszyńskiego boru ktoś się ku niemu zbliża.

— Wzywałeś mnie do pomocy — rzekł przybysz.

Bystre oko rybackie zauważyło, że nieznajomy miał

końskie giery ukryte w butach. Nie udało się też przybyszowi ukryć rogów, które mu sterczały z czarnej czupryny.

To nie kto inny, tylko Purtk — domyślił się Fabisz.

Wiadomo bowiem było, że od dłuższego czasu Purtk zamieszkiwał miosroszyńskie bory.

— Zniosę twoją barkę, ale pod warunkiem, że mnie przyjmiesz za maszopa — powiedział przybysz.

— Łowiłeś już ryby? — zapytał rybak.

— Ryb nie, ale łowiłem dusze, a połowy udawały mi się dobrze.

— Jak nie łowiłeś ryb, to i sprzętu pewno nie masz — rzekł Fabisz.

— Cały sprzęt grzesznych rybaków należy do mnie — zarechotał diabeł. — Będziemy łowić każdy swoim sprzętem i każdy będzie brał dla siebie połów złowiony własnymi sieciami.

Jakiś piekielny podstęp ma ten Purtk w zanadrzu — pomyślał rybak.

Diabeł tymczasem mówił dalej:

— Jeżeli więcej od ciebie złowię, twoja dusza będzie należała do mnie.

— Muszę się zastanowić nad tym, co mówisz — rzekł Fabisz. \

— Zastanawiaj się prędko — odpowiedział diabeł.

— Czy się znasz na pieniądzach? — zapytał po namyśle Purtk Fabisz.

— Toś ty głupi, jeśli mnie pytasz o to — zaśmiał się Purtk.

Ciarki przeszły rybaka. Ale nic, mówi dalej:

— To dobrze. Złowione ryby obliczymy na wartość.

Piekielnik się zgodził.

Gdy umowa między nimi stanęła, diabeł zarzucił sobie łódź na plecy i zaniósł ją do samego zoloju.

— Jutro wczesnym rankiem wypłyniemy zastawiać sieci — rzekł Fabisz Purtkowi. — Gdy ty będziesz swoje sieci stawiał, to ja będę wiosłował, a gdy ja będę zapuszczał, to ty będziesz wiosłował. Zgoda?

— Zgoda — odrzekł diabeł i znikł.

Nazajutrz rano Fabisz załadował całą masę łososiowych sieci i udał się na strąd. Gdy znalazł się przy łodzi, ujrzał, że jego rogaty maszop rozciągnął na strądzie nowiu- sieńki żak i przypinał do skrzydeł bukowe pale.

— Załaduj teraz swój sprzęt do łodzi — rzekł Fabisz Purtkowi, kiedy skończył ładowanie swoich sieci.

Purtk spojrzął na sieci rybaka: brązowe z dużymi oczkami i szyderczo się roześmiał.

— Co ty też możesz w takich sieciach ułowić. Wszystkie ryby tymi dużymi dziurami uciekną. Patrz, jaki ja mam piękny sprzęt, o małych oczkach i białych niciach.

— Rób, niekarencie! — wrzasnął Fabisz na rogatego maszopa. — Jutro będziesz miał czas do śmiania.

Purtk załadował swój sprzęt i wypłynęli na morze.

— Wiesz, jak się zastawia żaki? — zapytał Fabisz. — Czy też mam ci pokazać, jak to się robi?

Ale diabeł prychnął tylko pogardliwie:

— Nie musisz mnie uczyć, sam wiem dobrze, co trzeba teraz czynić. Jak podglądałem kąpiące się dziewczęta, widziałem rybaków zastawiających żaki.

— Pokaż tedy, gdzie chcesz zastawiać — rzekł rybak.

Podwiosłował na wskazane przez diabła miejsce i ustawił mu łódź.

— Gdzie młot? — rzekł Purtk, gdy postawił pierwszy pał.

— Chciałeś mieć swój sprzęt, trykaj teraz łbem. Dziewczęta widziałeś, ale że rybak wbijał pale

drewnianym młotem, tego nie widziałeś.

Purtek zaczął walić łbem w czubek pała, aż mu rogi trzeszczały. Gdy żak był już zastawiony, diabeł wybałuszył oczy na widoczne w przezroczyściej wodzie sieci i pomyślał sobie:

Jutro zanim słońce wzejdzie, będzie pełen ryb, a z duszą tego głupca czmychnę do piekła.

— Czego gapisz się, jakbyś pierwszy raz widział żak, jutro będziesz w niego patrzył, teraz wciągaj żagiel na maszt! zawołał Fabisz. Chwycił ster i odzeglował dwie mile od brzegu. — Tu zastawię moje pławnice — rzekł do Purtki. — Siadaj do wiosła. Będziesz wiosłował.

Purtek chwycił za wiosła, ale wnet się przekonał, że wiosłowanie to nie była jaka sztuka. Mieszał paczenami wodę i mieszał, ale nieposłuszna łódź nie chciała ruszyć z miejsca.

— Przywiążę cię do kotwicy i wyrzucę za burtę, jeśli nie będziesz porządnie wiosłował — odgrażał się Fabisz.

Purtek widząc, że ze starym nie ma żartów, rzucił wiosła i zaczął przegarniać w wodzie rękami, jak ropucha łapami w kałuży. Łódź powoli jęła się posuwać. Rybak rzucił kotwicę na linie, do liny przywiązał chorągiewkę i zaczął zastawiać sieci, które po chwili stanęły w wodzie jak długi siatkowy płot.

— Jutro przed wschodem słońca musisz być przy łodzi — powiedział Fabisz, gdy dobili do brzegu.

Nazajutrz rano, gdy rybak przyszedł do łodzi, diabeł siedział już na burcie. Zepchnął bot do wody i Fabisz wypłynął z nim do żaka. Diabeł podskoczył z radości, jak wyciągnął żak z wody. Była w nim niezliczona ilość kolorowych kurów, zwanych przez rybaków diabłami morskimi.

Jest zimna woda — pomyślał Fabisz — dlatego to gadzeństwo podpłynęło pod brzeg.

— Twoja dusza jest już moja, mam ryby! — zawołał uradowany Purtek.

j— Nie tak szybko — powiedział Fabisz. — Przecfe ^oje sieci są jeszcze w morzu.

Podpłynęli więc w to miejsce, gdzie stary rybak zastawił pławnice. Morze zalegała poranna głada. Słońce

już weszło i w jego blasku bielily się całe chmary mew, krążących nad pławnicami Fabisza.

Będą łososie — pomyślał rybak — mewy krążą nad sieciami zwabione rybą.

— Schowaj się do dziobu, żebyś mi nie zauroczył ryb — rzekł do rogatego^naszopa.

Purtek zgarnął swoje diabły morskie i schował się w dziób łodzi. Zgarniając połów pokłuł sobie swoje czarne pazury, z których zaczęła ciec czarna krew. Przekonał się, że morskie diabły miały ostrzejsze różki od diabłów piekielnych.

Kiedy wreszcie stary rybak pozwolił mu wyjść z ukrycia, diabeł omal nie przewrócił się ze zdumienia, tyle łososi srebrzyło się w łodzi.

— Siedź, Purtku, spokojnie, by łodzi nie przeważyc — rzekł Fabisz do piekielnika. — Mam tyle łososa, że muszę popłynąć do Gdańska na feszmark. Może i ty chcesz tam sprzedać swój towar?

Purtek pokiwał łbem na znak, że się zgadza.

Skoro Fabisz dobił do feszmarku, przy łodzi rybaka stanęli półkolem gdańscy kupcy i jeden przez drugiego podbijali cenę na srebrzystą rybę. Były to pierwsze tegoroczne łososie. Rybak wszystkie kieszenie tak załadował pieniędzmi, że nie miał nawet gdzie schować różka z tabaką. Piekielnik zaś stał samotnie na rynku ze skrzynką swoich diabłów morskich. Wreszcie sam podszedł do jakiejś gdańskiej handlarki proponując jej nabycie swego towaru.

— Co ty, głupi Purtku; nie wiesz, że te ryby są niejadalne! — wrzasnęła baba.

Diabeł parsknął, aż mu z nozdrzy wybił płomień, ale co miał czynić. Wrócił bez pieniędzy i bez ryb do łodzi Fabisza. Swój połów porzucił na placu.

— Odpływamy, bo jeszcze karę zapłacisz za zanieczyszczenie feszmarku — rzekł stary rybak.

Skulony diabeł usiadł na przedzie łodzi, a uradowany rybak pożegłował w kierunku Rozewia. Gdy podpłynęli na miejsce, Purtek cisnął swój mokry sprzęt pod wydmy, nawet go nie wysuszył, i rzekł:

— Będę od dziś łowił pławnicami.

— Dobrze — zgodził się Fabisz — przynieś sobie sieci, to zrobimy drugi połów.

Ale aż do końca sezonu łososiowego Purtek się nie pojawił. Widocznie rybacy po zaginięciu żaka dobrze pilnowali swego sprzętu i diabeł nie mógł żadnym sposobem nigdzie ukraść pławnic.

Pewnego dnia, już pod jesień, gdy dni stały się krótsze, a wiatr dmuchnął od południowego zachodu i deszcz coraz częściej kroił, Fabisz pomyślał, że czas już zastawić żaki na węgorze. Kiedy rozciągnął na plaży żak i przywiązał do niego pale, spod urwiska, z gąszczu drzew orzechowych i bukowych wylazł nagle Purtek obładowany pławnicami.

— Tym razem nie dam się oszukać — rzekł diabeł. — Pamiętaj, jak będę miał lepszy połów, twoja dusza będzie moja, a teraz mam dobry sprzęt łososiowy.

Rybak podrapał się w głowę, udając, że się mocno zafrasował.

— No, to ładuj swój sprzęt do łodzi — powiedział westchnąwszy.

Diabeł się cieszył, widząc jak korki jego sieci pływają na powierzchni wody. Potem zastawili żak Fabiszowy. Purtek widząc sterczące z wody pale myślał sobie:

Ten dureń powtarza to samo głupstwo co ja. Jutro będę miał jego duszę na okrasę.

Nazajutrz rano rybak wyciągnął tyle węgorzy, że ledwie się zmieściły w łodzi. Purtk natomiast miał puste sieci, bo nie był to teraz sezon łososiowy.

Toteż gdy Fabisz dobił do brzegu, Purtk bez słowa ruszył tam, skąd przyszedł. Do mieraszyńskiego boru. Więcej już się Fabiszowi na oczy nie pokazał — zakończył Tona swą opowieść o starym Fabiszu i Purtku.

— Sam diabeł przekonał się, że z rybakiem niełatwo wygrać sprawę — powiedział ze śmiechem lekarz.

— A niełatwo — potwierdził Tona. — Przekonali się też o tym ci wszyscy, którzy myśleli, że rybak ciemny jest i głupi i pozwoli odebrać sobie to, co jego.

Zachodni wiatr się wzmaczał. Lunął deszcz. Plaża opustoszała. Letnicy odjechali. We wsi zrobiło się cicho i smutno. Nadeszła przedwczesna zima. Mróz doskwierał. Na Nowy Rok dryfowała już po morzu gęsta kra lodowa. Zimny północno-wschodni wiatr niósł ze sobą tumany

5 — W pogoni za ławicami

65

śniegu. Roboty przy budowie autostrady do Jastrzębiej Góry ustały i nie wiadomo było, kiedy zostaną podjęte na nowo. Bieda znów zajrzała do rybackich checzy. Tona jednak nie przyjął pożyczki z Banku Gospodarstwa Krajowego dla rybaków na przetrzymanie zimy. Podziękował też za dar Ligi Morskiej i Kolonialnej, udzielony rybakom.

— Jaki ty jesteś głupi! — wrzeszczała na męża Weronika. — Daj^aarmo, a ty nie bierzesz!

Ale wymyślania i dogadywania białki nic nie pomogły. Tona tym razem postawił na swoim. \

Nareszcie nadeszła w całej okazałości upragniona wiosna. Wielkie ławice łososia podpłynęły pod brzeg. Toteż wszystkie maszoperie wyszły z laskornami na połów. Nocami setki świateł iskrzyły się na morzu. Oświetlały zastawione pławnice. Gdańscy handlarze kupowali łososie od polskich rybaków niemal za grosze.

Tona z niecierpliwością oczekiwał lata. Miał nadzieję, że młodzi doktorostwo z Warszawy, których bardzo polubił, znów wynajmą u nich izbę. Nadeszło lato, zaczęli zjeżdżać się letnicy, ale doktora z żoną nie było wśród nich.

Pewno nie podobało się im u nas. Weronika ciągle na nich wyrzekała. Może coś posłyszeli i obrazili się — myślał Tona, żonie jednak nie rzekł nic.

Inni letnicy też jakoś omijali ich dom, choć znów pobielił go z zewnątrz, podobnie jak i izbę. Nawet Weronika, która w zeszłym roku wciąż narzekała na letników, najwyraźniej była niezadowolona, że tego lata ominie ich dodatkowy zarobek.

Wkrótce jednak przestali kłopotać się letnikami, zaprzątęły ich ważniejsze sprawy. Najstarszy

syn Mro- chów, Piotr, chciał się żenić tej jesieni. Upatrzył sobie za żonę córkę słynnego znachora, który w całej okolicy zażegnywał różę. Matka była bardzo zadowolona z wyboru syna. Tona mniej. Uważał, że Piotr jest jeszcze za młody, żeby zakładać rodzinę, poza tym martwił się, że mu maszop ubywa z domu.

W jakiś czas po Piotrze ożenił się drugi syn Tony, Ludwik. Tym razem wybranka pochodziła z warszawskiego. Weronika i z tego małżeństwa była bardzo zadowolona, bo, jak się okazało, synowa jej miała wujka

księdza. W domu pozostał teraz już tylko najmłodszy syn, v Władek, który po dawnemu wypływał z Toną na połowy.

Rozdział V

yBF^J, 1931 roku Urząd Rybacki postanowił wysłać pię- kYwiWiciu rybaków do Norwegii, na Lofoty, by się ft\ A\l zapoznali z tamtejszymi metodami łowienia. !AM\B — Wysyłamy na nasz koszt — zachęcał rybaków Antoni Hryniewiecki. — Damy jeszcze po sto złotych w dewizach na osobiste potrzeby.

— Jedź — mówił Tona Mroch do najstarszego syna. — Może i ty się czegoś nauczysz, a i świata trochę zobaczysz.

— Jo, to jo, to jest dobra rzecz — rzekł Piotr. — Jak dają jeszcze pieniądze, to jadę.

W rezultacie do wyjazdu na północ zgłosili się Piotr Mroch, Franciszek Rybakowski, Józef Glembin z Jastarni, Jan Detlaf z Gdyni i Antoni Lizakowski z Jastarni.

— Ludzie jak ludzie — mówił Rybakowski, gdy już znaleźli się w Bergen w Norwegii. — Niczym się nie różnią od nas. Tylko to miasto jest dziwne. Woda, mosty, góry* Wydaje się, jakby te domy były przyklejone do zbocza.

Norweski opiekun kaszubskich rybaków nie znał języka polskiego. Porozumiewał się więc z nimi po niemiecku, bo język ten coś niecoś wszyscy, oprócz Piotra, znali.

Norweskim statkiem, który utrzymywał komunikację między Bergen a północną częścią kraju, dostali się do Narviku, a stąd autokarem dalej na północ. Ostatni odcinek podróży odbyli na kutrze rybackim, wreszcie wylądowali na wyspach Vesteralen, hen za kręgiem polarnym w osiedlu rybackim Sommerlo.

Agent norweski rozdzielił polskich rybaków na kilka kutrów. Mroch sam nie chciał pływać z Norwegami, więc agent pozwolił mu zostać razem z Rybakowskim.

Nazajutrz po przyjeździe wypłynęli przez wąski przesmyk między wyspami na pełny ocean. Pogoda w fiordach była bezwietrzna, na oceanie jednak dmuchał północny wiatr. Niebo było czyste. Iskrzyły się na nim gwiazdy. Mroch pociągnął Rybakowskiego za rękaw.

— Słuchaj, drehu, która to może być godzina?

— Dziesiąta — odrzekł Rybakowski.

— To czemu słońce nie wzeszło? — zdumiał się Piotr.

— Bo jesteśmy za polarnym kręgiem — odpowiedział Franek. — Tu słońce pokaże się pierwszy raz dopiero dwudziestego piątego stycznia. Tak wyczytałem wczoraj na kwaterze w kalendarzu. Mogłeś i ty sobie poczytać, to byś dziś wiedział i

— Jak miałem/czytać, kiedy prawie liter nie znam\— powiedział Piotr. — Nenka nasze książki paliła, a nam kazała krowy paść.

— Ale wasz najmłodszy, Władek, abecadło dobrze zna i książki czyta. Sam słyszałem, jak opowiadał “Trylogię”, choć nenka u was jednaka w^T checzy była i dla niego, i dla ciebie.

— Władek je zdolny. W ojca się wdał burknął

Piotr. — A ja do czytania głowy nie mam.

Północny wiatr toczył po oceanie wysokie i długie bałwany unosząc mały kuterek niby skorupkę orzechową. Obaj Kaszubi stanęli za sterówką, by schronić się przed mroźnym powiewem. j

— Utopią nas — rzekł przestraszony Piotr. — Oni nie wierzą w Boga, sam widziałem, jak w piątek mięso żarli. Wszystko im jedno, czy żyją, czy nie żyją. Nie wiedzą, że istnieje piekło, nie Idą ją się śmierci, dlatego tu łowią w takich falach.

Rybakowski się roześmiał.

— Ty się jeszcze śmiejesz, jakbyś nie miał wiary — obraził się Mroch.

— Chłop z ciebie duży a głupi. Popatrz, jak ten dorsz na pokładzie podskakuje, jak się szarpie. A co by zrobił, gdybyś go wrzucił za burtę?

— Jasne, że by uciekł.

— No, a czy on wierzy?

— Gdzie może wierzyć, przecież to jest ryba.

— Nie wierzy, a boi się śmierci. Tak samo ci Norwegowie nie wypłynęli tutaj dlatego, że nie boją się śmierci. To jest ich zawód. My też daleko wypłyniemy, gdy będziemy mieli takie kutry jak oni. Lepiej patrz, jak im sprawnie idzie robota.

— Co mam patrzeć. Albo to się nam przyda na naszych łodziach?

— Powstał Morski Instytut Rybacki, który zamierza budować kutry, dostaną je ci lepsi rybacy.

Staraj się czegoś nauczyć, to też dostaniesz.

— Czego mam się nauczyć — odrzekł Piotr — byłem na kursach na kapitanów przybrzeżnych, ale to nie było do nauczenia dla ludzi.

— Jak to? Mój starszy brat otrzymał dyplom kapitana żeglugi małej.

— Bo mu też wszystkie anioły pomagały.

— W tym roku będzie znowu kurs, spróbuję i ja zdobyć dyplom szypra, a na pomoc aniołów nie liczę.

— Ja tam więcej na żaden kurs nie idę — powiedział Piotr i zamilkł.

Wpatrywali się teraz, jak stary Norweg co chwila zaczepiał dorsza, potem ściągając go z haczyka rzucał przez reling na pokład.

— Nie ma ich tu wcale tak wiele — zauważył wreszcie Piotr. — U nas więcej, tyle że o wiele mniejsze. Ale ile tu będzie musiało być karzenic — dodał.

— Tutaj kobiety nie chodzą z karznicami, w tym kraju jest dobrze zorganizowany handel. I nasze nenki też już wkrótce przestaną nosić ryby na plecach. Niech się tylko handlem ryb zajmie Zjednoczenie Rybaków w Gdyni. My też zaczniemy łowić dorsze, tylko nasz bałtycki dorsz mniejszy, to nam na haczyki nie opłaci się łowić, tak jak oni to robią. Tu na trzy tysiące haczyków złowią ze dwie tony, a u nas — sto dwadzieścia kilogramów.

Znowu się ściemniło. Zbliżał się koniec roboty.

— Będą mieć półtorej tony dorsza — powiedział Rybakowski do Piotra. — Płyną teraz kursem ost do domu.

— Skąd ty wiesz, gdzie tu jest ost?

— Przecież musisz znać przynajmniej kilka gwiazd: Jowisza stojącego na południowym zachodzie, Furmana objeżdżającego Gwiazdę Północną, stojącą tu całkiem na środku kopuły niebieskiej. Według nich trafisz do brzegu, choćby cię zawiódł kompas.

— Patrz, jaka się zrobiła jasność na północy! — przestraszył się Mroch. — Może tam słońce wzejdzie?

— Przecież mówiłem ci już, że słońce wzejdzie dwudziestego piątego stycznia i to na południu. A to co widzimy w tej chwili na północy, to jest zorza polarna.

— Patrz, jakie smugi do góry wychodzą! Całkiem jak

ogień! Niebo zaczyna się palić! — wołał przestraszony Mroch. — Gdziem przyjechał, zginę tutaj. To wszystko przez tatka! Chciał, żebym się tutaj czegoś nauczył, ;a nenka miała rację, mówiła: siedź w

domu!

Norwedzy oglądali się ze zdziwieniem. Rybakowski zaczął się śmiać z Piotra.

— Ty się śmiejesz? Lepiej byś zrobił rachunek sumienia. /

Gdy zjawisko znikło, Mroch się uspokoił. Zresztą znaleźli się już we fiordach i wkrótce dobili do przystani w Sommerlo.

— Czy żeście widzieli zorzę? — zagadnął Glembin Ry- foakowskiego.

— Mrochowi zdawało się, że to już koniec świata.

— Co te godesz — rzekł Glembin. — Czy Piotr jeszcze nie widział zorzy polarnej? Przecież u nas też się trafiają podczas tęgich zim, chociaż nie takie wspaniałe.

— W tym dziwnym kraju, gdzie nie ma słońca, wszystko wygląda inaczej — usprawiedliwiał się Piotr.

— A jak połów? — zagadnął Rybakowski.

— Przywieźliśmy półtorej tony.

— My też tyle — pochwalił się Rybakowski. — Mają tu wspaniałego dorsza.

— Obliczyłem, że do dwudziestu sztuk wejdzie na stu- kilową skrzynię.

— U nas tym sprzętem nie opłaciłoby się łowić, bo nasz dorsz jest za drobny. Jak zdobędziemy kutry, trzeba łowić włokami. Najwięcej podobało mi się to zdejmowanie windą. Kiedy sam będę zastawiał haczyki z kutra — mówił Glembin — też to zastosuję.

— O, idzie Lizakowski, ciekawe co on powie?

— To rybołówstwo nie jest nic warte, ja tego wcale u nas nie wprowadzę. Zbuduję sobie kuter, ale bez motoru, będę się posługiwał tylko żaglem. Silniki to wymysł szatana, zzerają rybakom zarobek, bo trzeba ropę kupować.

— Gadaj sam do siebie — zaperzył się Glembin. — Ty chcesz się trzymać przestarzałych sposobów.

— Tak. Tak — poparł go Detlaf z Gdyni. — Jak nie będziesz szedł z postępem, to zbankrutujesz.

— Najlepsza to ręczna ceza — wtrącił Mroch — odjeżdża się tak daleko, że widać strąd, a nenka weźmie ryby

do karzni i idzie je sprzedać, a jak nie ma pieniędzy, to przyniesie chleba i jakoś się żyje.

— To je rozum — odezwał się Glembin. — Czy ty, chłopie, niczego się już nie nauczysz?

Jeszcze długo w noc rybacy siedzieli w swojej kwaterze i dzielili się wrażeniami. Wiatr jęczał za zamarzniętymi oknami, a Glembin dorzucał do żelaznego pieca masę torfu, bo węgla tam nie znali.

Przez następne dni na połowy nie' wypływali zbyt często. Toteż dwudziestego piątego stycznia, gdy wiał zachodni wiatr a niebo było błękitne, rybacy siedzieli u siebie w pokoju. Nagle Piotr zauważył grupki rybaków posuwające się ku wzgórzu.

— Ciekawe, czego oni tam chcą?

— Dziś słońce wschodzi — rzekł Rybakowski — widać,, jak się jaśniej zrobiło. Chodźmy i my zobaczyć.

Wyszli. Gdy tylko znaleźli się na wzgórzu, nagle pokazała się czerwona tarcza słońca. Wypełzła na nieba i toczyła się nisko nad horyzontem ku zachodowi, by po krótkim czasie znowu zająć.

— Mówiłeś prawdę, że dwudziestego piątego wszędzie słońce, teraz będę tobie zawsze wierzyć — rzekł Piotr.

W lutym polscy rybacy odpłynęli do kraju. W maju 1931 roku powstała pierwsza spółka akcyjna połowów śledzia "Mopol" — Morze Północne. Wielu młodych rybaków udało się na lugry, aby wyruszyć na połowy na Morzu Północnym. Zamustrowali na cztery lugry parowe i, na cztery motorowe.

Piotr miał znowu szczęście: dostał się na ten sam lugier "Wanda", na który zamustrowali Franciszek Rybakowski i Józef Żelk. Wypłynęli pod Szetlandy. Połowy nie były zbyt pomyślne. Przez sześć tygodni łowili i powrócili z czterystoma beczkami do portu Vlaardingen, do polskiej bazy śledziowej. Warunki pracy nie były łatwe. W osiemnastu mężczyzn gnieździli się w ciasnym i zadymionym kubryku, a jedli suchary, wędzone mięso,, groch, fasolę, no i oczywiście ryby. Młody holenderski kapitan napędzał ostro do roboty. Gdy się połów udał, pracowali bez wytchnienia dwadzieścia cztery godziny.

W czasie jednej z wypraw straszny sztorm zaskoczył ich lugier u wejścia do kanału La Manche. "Wanda" przebijała się przez fale w kierunku Dieppe.

— Patrz no! — powiedział nagle Piotr do Franciszka Bybakowskiego, wskazując na trawler pod francuską banderą, który właśnie wymijał ich lugier. — Taki trawler trzeba było Polsce kupić, a nie te stare graty. /

Po ciężkich zmaganiach z huraganem dobili do Dieppe/ Pozwolono im wyjść na miasto. Wybrali się więc w trójkę, a że mieli sporo czasu, dotarli daleko, na same peryferie.

— Co to za drzwi w wapiennej grocie? — zdziwił się Piotr.

— W tych jaskiniach ludzie mieszkają — wyjaśnił Rybakowski. — Zrobili sobie drzwi i okna, żeby im zimno tak nie dokuczało.

— Taka bogata Francja, a ludzie mieszkają w jaskiniach — dziwił się Piotr.

Wrócili z powrotem do śródmieścia. Piotr przystanął przed szybą wystawową, gdzie widniały butelki z pięknymi naklejkami.

— Chyba to wódka? — zagadnął. — Podobna do naszej czystej i w takiej pięknej butelce.

— Nie wiemy, co tam jest napisane — oponował Rybakowski.

— Kupimy i spróbujemy — zdecydował Mroch. — Mamy prawo sobie wypić, bo przeżyliśmy taki straszny sztorm.

Wszedł do środka. Gdy wskazał na butelkę z piękną etykietą, Francuz, właściciel sklepu, zaczął coś Kaszubie tłumaczyć, lecz Piotr go nie rozumiał i wciąż domagał się butelki. Francuz, widząc, że się nie dogada z cudzoziemcem, wręczył mu upragnioną butelkę.

— Teraz sobie, dresze, wypijemy — rzekł Piotr wychodząc ze sklepu — należy się nam za ten sztorm.

— Chodźmy tedy gdzieś na bok — zgodził się Żelk.

Zaszli na małą wąską uliczkę i stanęli przy jakiejś ruderze. Mroch dłonią uderzył w dno butelki. Wyskoczył korek.

— No, to ja pierwszy! — rzekł.

Ledwie przechylił butelkę do ust, skrzywił się niemiłosiernie. Cisnął flaszkę ze złością na bruk.

— Ci gromi, Francuzi, sprzedali mi ocet — rzekł spluwając.

Nagle jak spod ziemi pojawił się francuski policjant

z pałą gumową w garści. Widział widocznie, jak Mroch rozbił szkło na ulicy, bo bez ceregieli pociągnął go gumą przez ramię. Mroch otrząsnął się niby pies, a gdy policjant odszedł, rzekł:

— W Polsce tak źle nie jest, żeby trzeźwego bili pałą gumową.

Jeszcze kilka sezonów Piotr wypływał z Rybakowskim na śledzie. W listopadzie 1933 roku Rybakowski otrzymał na spłaty z Instytutu Rybackiego nowy czternastometrowy kuter, wyposażony w trzydziestokonny silnik. Był to czwarty kuter zbudowany przez Instytut Rybacki i oddany na spłaty rybakom. Odtąd ruszyły polskie kutry prowadzone przez polskich rybaków na bliższe i dalsze wody Bałtyku.

Rozdział VI

Hfl^S^iotr Mroch zamustrował na kuter Franciszka ^ARybakowskiego. Prócz niego zamustrowali jesz-» ■flggcze Marian Bolda — rosły rybak o przydom- B ku Bokser, jaki otrzymał dla swych twardych pięści, i Michał Miłosz. Zarobek okazał się dobry. Pa pierwszym tygodniu połowów Piotr wręczył swej żonie przeszło sto złotych.

— Czy to prawdziwa stuzłotówka? — dziwiła się żona Piotra, Agata, nie wierząc, że otrzymała tyle pieniędzy

— Prawdziwa, zarobek na kutrze jest dobry — tłumaczył Mroch. — Jeżeli tak pójdzie przez całą zimę, to kupimy wiosną parcelę i cegłę, a na drugi rok pobudujemy sobie dom — tak mi szyper doradził.

Przez cały listopad i grudzień ławica szprota utrzymywała się przy Mierzei Świeżej. Toteż Franciszek Rybakowski ze swymi maszopami wracał z połowu późnym wieczorem, wyładowywał ryby i jeszcze nocą wypływał po następny ładunek szprota. Kupców na razie nie brakowało. W Kuźnicy, Helu, Jastarni i Gdyni powstało, kilka wędzarni. Łowili więcej nawet niż helscy Niemcy na swych kutrach. Jedynie Franciszek Piechocki, który również łowił na kutrze otrzymanym z Instytutu Rybackiego, przewyższał ich w połowach.

— Patrzcie, ten człowiek przyszedł z ładu — dziwił się Mroch — i tyle ryb łowi.

— Łowi ten, co ma w głowie — odmrugnał Rybakowski. — Śmiali się z niego helscy szwabi, że oddryfuje i z kutrem, no i teraz im pokazał, jak się ryby łowi.

— Teraz się Niemcy boją — odezwał się Marian Bol- da. — Jeśli Instytut Rybacki pobuduje więcej kutrów, to będą mieć kłopoty ze sprzedaniem ryb.

Na razie sprzedawali wszyscy, ale po Nowym Roku już trudno było o nabywcę. Cena szprota spadła do sześciu złotych za sto kilogramów i jeszcze niełatwo było go sprzedać.

Pewnego dnia, gdy Rybakowski ze swą załogą wpłynął do portu helskiego, zobaczył molo zastawione skrzynkami ryb, a kupców ani śladu.

— Co my teraz zrobimy? — martwił się młody szyper. — Nikt od nas szprota nie kupi.

Po godzinie próżnego oczekiwania na nabywcę Rybakowski zdecydował się popłynąć z ładunkiem szprota do Gdańska i tam spróbować szczęścia. W gdańskim porcie przy zakładach “Centrali Rybnej” dostrzegli kilka kutrów stojących na cumach. Wszystkie obładowane były szprotami. Rybakowski dobił do ostrogi. Po dwu godzinach czekania w kolejce na wyładunek kierownik “Centrali” oświadczył młodemu szyprowi, że ma szprota dosyć, że “Centrala” jest nim zawałona i że on więcej nie przyjmuje.

— Od helskich Niemców wzięli, a od nas nie — rzekł Piotr.

— To prawda, helscy Niemcy są bliżsi gdańskiej “Centrali Rybnej” jak my — powiedział Miłosz.

— Nie ma co, popłyniemy do Gdyni. Może tam od nas wezmą, w Zjednoczeniu Rybaków — zdecydował szyper.

Ale zerwał się sztorm i musieli zanoć w Gdańsku.

— Masz, Franek, pieniądze? Daj mi zaliczkę. Kupię sobie nieprzemakalne ubranie — prosił

Mroch. — Jeszcze nie ma siódmej, interesy są otwarte.

— Czy sto złotych starczy? — zapytał szyper Rybakowski.

Gdy dobili do kei niedaleko kapitanatu, Piotr się wymknął do miasta nie czekając nawet na kolację.

— Gdzie to, drehu? — zagadnął go jakiś znajomy głos* gdy się znalazł na ulicy.

Mroch się obejrzał. Ujrzał niskiego, krępego człowieka w granatowej czapce. Poznał Wojciecha Kubisza. Wojciech dawniej był czeladnikiem młynarskim i mieszkał; pod Rozewiem, a od kilku lat pływał na statkach handlowych.

— Jesteś pierwszym rodakiem, którego spotkałem od kilku miesięcy — cieszył się Wojciech. — Co słychać? Ożeniłeś się?

— Tak, Wojciechu, mam dwoje dzieci. Chłopaka i dziewczynkę. A ty?

— Ja? — zaśmiał się Kubisz. — Ja mam w każdym porcie żonę. Bawię się na fest. Chodź, postawię.

— Zrozum, Wojciechu, mam bardzo przykrego szypra. Zagroził, że zwolni mnie za picie.

— Jeden, dwa kieliszki, szyper nie pozna.

— Ale chciałem sobie kupić nieprzemakalne ubranie — tłumaczył się Piotr.

— Jutro sobie kupisz. Z rana będzie jeszcze sztorm — namawiał Kubisz.

— Jakżeśmy się już spotkali — westchnął Piotr — ta przewrócimy po jednym. Gdzie wstąpimy?

— Tu, do “Zur Ost See”. Właściciel tego lokalu pochodzi spod Pucka.

— Dobrze, wstąpimy tu — zgodził się Piotr.

Weszli do knajpy.

— To jest ten właściciel — kiedy usiedli, Kubisz wskazał Piotrowi człowieka za bufetem. — Byłem tu już raz. Lepiej do swego jak do Niemców. Poznałem, że to dobry człowiek. Zapoznał mnie z dziewczynami. To mnie kosztowało, ale nie żałuję, ubawiłem się dobrze.

— Ja tego człowieka znam. Widziałem tę twarz u nas w kościele. Modlił się jak święty, wyglądał jak Amerykanin.

— Nie pomyliłeś się wcale. Przebywał w Kalifornii: przez trzydzieści lat, a na starość wrócił w swoje strony i kupił tę knajpę.

— Idzie do nas!

— Smutno wam, koledzy — rzekł szynkarz — przyśle wam towarzyszki, dobrze?

— Dla wszystkich stawiam — rzekł Kubisz.

— Ja jestem żonaty — zastrzegł się Piotr. \

— To co, czy masz tu ze sobą swoją kotwicę? Zaraz nie udryfujesz.

Promiński, bo tak się nazywał właściciel knajpy portowej, wszedł za bufet i nawet nie policzywszy gości łał do kieliszków przezroczyście wódkę. A jego pomocnik, nieco łysawy, o zajęcej gębie roznosił wódkę dziewczętom i matrosom.

— Jest tu około piętnastu marynarzy. Przeważnie Szwedzi — zwrócił uwagę Piotr.

— Niech będzie choćby dwudziestu, wszystkim funduję.

— Na jakim statku teraz pływasz? — zapytał Piotr Kubisza.

— Na gdańskim, frachtowcu, zwie się “Prezydent Del- bruk”. Stoimy teraz przy nabrzeżu w Nowym Porcie. Powiadam ci, drehu, u nas to jest dopiero robota. Przez dzień postoju załadowaliśmy tyle zboża, że przez miesiąc ^Tkiedyś tyle nie zmieliłem. Mieliliśmy z owym zbożem płynąć do Londynu, ale gdański kapitanat portu wstrzymał wyjazd z powodu sztormu. No, i wyszedłem na miasto, i spotkałem ciebie.

Gdy tak rozmawiali, podeszły do nich dwie kobiety. Jedna od razu usiadła Kubiszowi na kolanach, druga przysunęła sobie krzesło bliżej Piotra, ale ten się odsunął. Tymczasem na wszystkich stołach znalazła się zafundowana przez Wojciecha wódka. Partnerka hojnego marynarza wzniosła toast za pomyślne wiatry dla marynarzy, druga, siedząca koło Piotra, wyjęła jakieś zdjęcia. Mroch myślał, że dziewczyna chce mu pokazać swoje fotografie czy też rodziców albo rodzeństwa, przysunął się więc bliżej. Tymczasem dziewczyna podsunęła mu zdjęcie i rzekła:

— Tak marynarze kochają kobiety.

Piotr ujrzał na zdjęciu marynarza, który trzymał w objęciach niewiastę w bardzo skąpym stroju. Stropił się mocno, bo jeszcze czegoś takiego nie widział. Na szczęście wybawił go Kubisz mówiąc:

— Teraz ty zamawiaj. Twoja kolej.

Piotr rozejrzał się po knajpie.

— Przybyło trochę, ale pieniędzy starczy.

Promiński znów nie licząc gości jał nalewać w kielisz

ki. Wypili nowy toast. Tym razem za zdrowie poczciwego szynkarza.

— Jeszcze jedną kolejkę! — zawołał rozochocony Wojciech. — Tym razem już nie dla wszystkich,

tylko dla naszego stołu.

— Pijemy bruderschaft. Luiżę — rzekła Niemka.

Piotr nie wiedział dobrze, o co jej chodzi, ale wyręczył go Kubisz.

— Peter — powiedział — prawdziwie morskie imię.

Gdańszczanka wychyliła wódkę i objęła Piotra. Gdy

maszop uwolnił się z jej ramion, zobaczył, że przy stole nie ma już Wojciecha. Nie było też dziewczyny Kubi- sza. Piotr usiłował się dopytać u swojej partnerki, dokąd tamci poszli. Ale ta, również wstała zmierzając ku wyjściu. Piotr zrozumiał, że idzie po tamtych, żeby przyprowadzić ich z powrotem.

Pocziwa kobieta — pomyślał.

Jednak po pewnej chwili zamiast kobiety pojawił się przy stole szynkarz. Podał rybakowi rachunek.

— Trzydzieści guldenów — powiedział, gdy Piotr wpatrywał się w świstek papieru.

— Za co mam tyle zapłacić? — dziwił się Kaszuba.

— Fundowałeś wszystkim obecnym w restauracji, teraz płac — rzekł szynkarz.

Piotr pomyślał, że nie starczy mu na nieprzemakalne ubranie, lecz wsunął rękę do kieszeni po portfel. Portfela nie było. Gorączkowo obszukał pozostałe kieszenie. Zajrzał pod stół, pod krzesła w nadziei, że mu może wypadł i leży na podłodze. Na próżno. Wtedy zrozumiał.

— Gdzie dziewczyna? — zapytał szynkarza.

— Nie pytaj o dziewczynę, tylko płac!

— Skradziono mi pieniądze! To ona! Co to za restauracja, gdzie okradają klientów?! — krzyczał po polsku Piotr.

— Nie wrzeszcz tak, tylko powiedz, na którym kutrze pływasz? — powiedział Promiński.

— Na kutrze “Hel 90” — odrzekł Piotr.

— Nie wierzę. Pokaż kartę rybacką.

Piotr wyjął kartę i podał szynkarzowi, na dowód że mówi prawdę. Ten szybko wsunął ją do kieszeni.

— Kapitanat was prędzej w morze nie wypuści, aż nie zapłacicie rachunku — rzekł Promiński.

— Oddajcie moją kartę! Zawołajcie dziewczynę! ona wzięła moje pieniądze! — krzyczał Piotr.

— Kto ci tu pozwolił mówić po polsku?! — wrzasnął obrzydliwy małopolud, który znalazł się przy stoliku na wezwanie szynkarza.

— Jestem okradziony! — krzyczał dalej Piotr.

Wtedy małopolud uderzył z całej siły Mrocha w twarz.

Mrochowi zatkało dech w piersi, ale nim zdążył cokolwiek powiedzieć czy zrobić, oprawca chwycił rybaka za kark i tyłek i wyrzucił go na ulicę zatrzasnąjąc za sobą drzwi.

— To jest herszt bandy. To są złodzieje, piekielnicy nie ludzie — wołał Piotr podnosząc się z bruku.

Ledwo podniósł się z ziemi, a tu nad nim stanęło już dwóch schupów z gdańskiej policji z gumowymi pałkami w dłoniach.

— Marsz! — ryknął jeden z nich i przyłożył Kaszubie pałką.

Tymczasem Rybakowski wraz z resztą załogi siedzieli na kutrze w kubryku i martwili się, gdzie też się Piotr podział.

— Chyba do wody nie wpadł — mówił Miłosz.

— Tu przy kutrze na pewno nie wpadł, bo byśmy go usłyszeli — odparł szyper. — Przecie kuter opiera się

o keję, niemożliwe żeby tu wpadł.

— Czy aby nie wlaźł gdzie do knajpy? — domyślał się Marian Bolda.

Była już godzina dwunasta, a Piotr wciąż się nie zjawiał.

— Nie ma rady, pójdziemy go szukać — zdecydował szyper.

Poszli.

— Może tu wstąpimy — rzekł Rybakowski, gdy przechodzili koło tawerny “Zur Ost See”.

— To jest jakaś mordownia — szepnął Bolda, gdy weszli do środka. — Pręczek tu więcej jak szprota w morzu, ale Piotra nie ma. Zresztą co on by tu robił, przecież jest żonaty i dzieciaty.

— Tu nie ma się czego dopytywać — przytaknął Miłosz — tu ma Purtk swoją siedzibę.

— A może zaszedł do krewnych? Mówił mi, że ma tu kogoś — domyślał się szyper.

Wrócili tedy na kuter z nadzieją, że może Piotr rychło nadejdzie. Ale minęła noc, a młody Mroch nie przyszedł. Rano sztorm ustał i mogliby wypłynąć, gdyby nie to, że Piotra nie było. Poszli jeszcze raz

go szukać.

— Wstąpimy do Sternfelda — rzekł szyper — zapytamy go czy Piotr kupił u niego wczoraj rybackie ubranie.

Szli wzdłuż portu patrząc, jak holowniki manewrowały przy ogromnym statku.

— To polska bandera — rzekł Miłosz. — “Premier”.

Naraz zauważyli jakąś niską krępą postać idącą im naprzeciw.

— Kubisz. Młynarz z wiatraka — poznał Bolda. — Pływa teraz na statkach.

— Co masz taką zwieszoną głowę? — zapytał Rybakowski, gdy się przywitali.

— Statek mi uszedł w morze — żalił się Wojciech.

— Z workiem?

— Nie, oddali moje łachy w kapitanacie. Do tego gangstera więcej nie zajrzę. Pójdę na feshmark do Laksa, poproszę go, by mnie przygarnął, nim nie zamustruję * na jakiś statek. Zapłacę mu, jak wrócę z rejsu! Teraz nie mam ani szylinga. Ten gangster mnie oszukał, czy jego łachudra mnie okradła. Wiem tylko tyle, że gdy chciałem zapłacić drugi rachunek, nie było w kieszeni nic. A przecież zanim tu wpłynęliśmy, miałem trzy funty, jedną stumarkówkę i sześćdziesiąt naszych złotych.

— A gdzie ciebie okradli?

— W “Ost See” — odpowiedział Kubisz.

— To jest ta mordownia, cośmy wczoraj w niej byli — rzekł Rybakowski. — Powiedz nam, czy ty czasem nie spotkałeś Mrocha? To jest nasz maszop.

— Był tam wieczorem, ale spotkał go taki los jak mnie. Wyrzucono go na ulicę. Schupo go zbili i zamknęli. Wracał teraz razem ze mną z aresztu. On poszedł na kuter, a ja po swoje łachy na Urząd Celny.

Pożegnali się z Kubiszem i wrócili na kuter.

— Ja bym tam nie wszedł, gdyby mnie nie namawiał ten wagabunda Kubisz — tłumaczył się Piotr szyprowi. — Nie lepszy on od tego gangstera, do którego mnie zaprowadził. To on chyba moje pieniądze skradł.

— Kubisz mówił prawdę — zaprzeczył szyper. — A tobie trzeba było mieć swój rozum. Wypływamy stąd co prędzej.

— Oni nas nie wypuszczą, zanim nie zapłacę rachunku. Ten diachel zabrał mi kartę rybacką i telefonował do kapitanatu.

— Ile masz zapłacić? — zapytał Franek.

— Trzydzieści guldenów.

— Chodź, Marian, zajdziemy do tego purtka — rzekł szyper.

Szyper z Marianem zastali już knajpę otwartą. Gdy weszli do środka, ujrzeli owego małpoluda, o którym opowiadał Piotr. Sprzątał potłuczone szkło.

— Poproś szynkarza — rozkazał Rybakowski.

— Co chcecie od niego?

— To już nie twoja rzecz, jak ci szyper powiedział, to idź po niego — rzekł groźnie Marian.

Małpolud spojrzał spode łba na barzystego rybaka i bez dalszego gadania usłuchał.

— Prawdziwa gangsterska twarz — mruknął Marian do Franka, gdy Promiński wszedł z podkasanymi rękawami.

— Przyszedłem uregulować rachunek mego rybaka. Tu jest gotówka. Proszę pokwitować.

Zaskoczony Promiński pokwitował rachunek. Przeliczył sprawiedliwie walutę polską na gdańską i zwrócił kartę rybacką Mrocha.

Małpolud, który na krok nie odstępował swego pana, przez cały czas spode łba przypatrywał się rybakom.

— Ty sługusie piekła, czy ty się nie wstydzisz tak oszukiwać swych rodaków — nie wytrzymał Marian. — Nie jesteś nawet wart, żebyś w piekle zginął.

Szynkarz mrugnął na swego pomocnika. Ten się cofnął

o dwa kroki, pochylił się i dał susa, chcąc uderzyć ma- szopa kudłatym łbem w żołądek. Ale wysoki rybak podał napastnikowi czubek buta. Małpolud przewrócił się, zalewając się krwią.

— Dziś, Marian, nie byłeś bokserem — rzekł Rybakowski, gdy wyszli z knajpy.

— Nie wart był pięści. To hitlerowiec. Widziałeś, on miał wytatuowany na dłoni mały hakenkreuz.

— Zrzućcie cumy, a ty, Miłosz, pójdziesz nas odmel-

dować. Jak najprędzej odpływamy, bo ten zdrajca może zaalarmować gdańską policję — rozkazał szyper, gdy znaleźli się już na kutrze.

Gdy minęli koniec falochronu, kuter się rozkołysał. Nie było wielkiego wiatru, ale po nocnym sztormie toczyły się wysokie bałwany ku gdańskim brzegom. Kiedy dopłynęli już za cypel helski od strony zatoki* szyper rozkazał cały ładunek szprota wyrzucić za burtę.

— To szkoda tyle ryb marnować — lamentował Piotr.

Dzień był mroźny i słoneczny. Wielkie chmary mew

z całego morza zleciały się, by wyciągać z wody wyrzucone szproty.

— Zrobimy nowy połów i spróbujemy złowione szproty sprzedać w Gdyni — rzekł szyper. — Chyba Zjednoczenie Rybaków będzie skupować. Kierownikiem skupu jest Leon Budzisz z Chałup o przydomku “Ameryka”. To bardzo obrotny człowiek, może coś wymyśli.

— Co, znowu jakiś Amerykanin? — przeraził się Piotr.

— On nie był nigdy w Ameryce. Nazwano go tak dlatego, że w czasie udanych połowów mawiał: “Dresze, u nas jest, lepiej jak w Ameryce”.

Ciągnęli w głąb zatoki.

— Tą nordą szprot będzie aż pod Jastarnią — mówił szyper.

Ledwie godzinkę ciągnęli, gdy Marian krzyknął do szypra:

— Mewy mają wesele nad naszą siecią, jest już pewnie pełna, bo stalówki się schodzą.

Szyper pospiesznie wyskoczył z kubryku.

— Ruszaj się, Piotrze! — przynaglił Mrocha. — Coś taki zamyślony?

— Myślę w tej chwili, kto mi zabrał te pieniądze? Przecież taka ładna kobieta...

— Taka ładna jak ty mądry. Więcej tam nie idź, bo łachy z ciebie ściągną. A teraz włącz windę! — rozkazał.

Niewód na wodę wypłynął pełen szprota. Podciągnęli sieć do burty, a Marian kaszorem zaczął wyciągać z niej szproty, wsypując je do ładowni.

Wybieranie szprota trwało przeszło trzy godziny. Zapadał już wieczór, gdy dobili do gdyńskiego portu.

— Ile, dresze, macie? — spytał ich kierownik skupu, który wyszedł na spotkanie wracającym z morza.

6 — W pogoni za ławicami

— Dziesięć ton — szyper wychylił się przez reling.

— To dobrze — powiedział “Ameryka”. — Zaraz będą skrzynie i ludzie do wyładunku.

— Jaką macie cenę? — dowiadywał się szyper.

— Dresze, chceme le so zażec? Sześć groszy za kilo.

— Spadły mocno.

— Inaczej my ich nie sprzedamy. Ludzie w kraju nie mają pieniędzy. Tak czy owak macie sześćset złotych. Kto dużo złowi, zarobi nieźle, a kto nic nie złowi, będzie biedować. Szkoda, że tak mało kutrów wypłynęło dzisiaj. Trochę tu handel rozkręciłem. Przyjadą samochody z pobliskich miast. Nie mogę ich zawieść. Muszę też część szprotów dać wędzaczom. Nie wiesz czasem, czy Piechocki jest w morzu?

— Chyba tak, miał płynąć do takli.

— Chłop jest od Kutna, a co z niego za rybak — chwalił “Ameryka” Piechockiego.

— Jutro też mamy wypłynąć? — zapytał szyper, gdy Budzisz podawał mu kwit.

— Wypływajcie i łówcie tyle, ile tylko wasz kuter dowiezie — rzekł. — Był tu Hryniewiecki i po cichu mi powiedział, żeby naszych rybaków, którzy osiedlili się w Helu, specjalnie mieć w opiece. Naczelnik okropnie się cieszył, że kutry rybackie wybudowane przez Instytut łowią lepiej od niemieckich. Dam znać Janowi Nadolskiemu, że tyle szprota jest w samej głębi Zatoki.

— Co społem, to społem — zatarł ręce Marian, gdy szyper powtórzył swym maszopom rozmowę z Budziszem. — My będziemy łowić, a “Ameryka” rozprowadzać ryby.

— Byleby Instytut Rybacki mógł jak najwięcej kutrów wybudować — rzekł Piotr. — Ja sobie też bym jednego wziął.

— Dlaczego nie? — odparł szyper. — Jeżeli będziesz unikał knajpy, to mogą ci kuter przyznać. Spłacisz i będzie twój.

Olbrzymia ławica szprota przy brzegach Helu trzymała się aż do końca kwietnia i powoli zaczęła się wysuwać na Wielkie Morze. Rybacy jednak już wcześniej zaprzestali łowić szproty. Choć “Ameryka” dwoił się i troił, jednak wszystkich ryb ni potrafił odebrać. Znow wyrzucano ryby za burtę.

— Dresze, jedźcie pod Bornholm na dorsze — namawiał Budzisz rybaków. — Zjednoczenie Rybackie będzie dorsze zamrażać.

Wypłynęli więc na Głębię Bornholmską.

— Helscy Niemcy robią propagandę, że Polacy te dorsze kupują od duńskich rybaków i tu je sprzedają — żalił się Rybakowski Budziszowi, gdy powrócili z naładowanymi kutrami.

— Niech popękają ze złości, a wy łowcie dalej. Naczelnik Hryniewiecki wie o tym, że łowicie sami, bo przecież kuter “Ewa” z Instytutu Rybackiego badał tamte łowiska.

Ale pewnego dnia, był to początek maja, gdy wrócili z Głębi Bornholmskiej z pełnym ładunkiem dorsza, Budzisz przywitał ich słowami:

— Teraz, dresze, koniec. Dorsza pełna chłodnia.

— Ale te weźmiesz od nas? — zatroszczył się szyper.

— Wezmę, bo was sam wysłałem, ale po pięć złotych cetnar.

— Pięć złotych? — zafrasował się Piotr. — Co to jest za takie wyczyszczone dorsze.

— Choćby i po pięć złotych, to i tak jeszcze zarobimy — wtrącił Marian Bolda. — Ale boję się, że do jesieni nic nie będziemy mogli już łowić.

— Z czego będziemy żyć?! — zaczął lamentować Piotr.

— Trzeba było oszczędzać — odezwał się Miłosz. — Śmieli się z ciebie we wsi, że gdy zarabiałeś, to wyprawileś urodziny nawet dla psa. Szyper płacił za ciebie rachunki w Gdańsku, Gdyni, a nawet w Nekso. Teraz będziesz głodował.

Budzisz obiecywał rybakom, że będzie od nich kupował flądry, ale strapieni maszopi nie bardzo już mu wierzyli.

— Chłopie, z głodu umrzemy — jeżeli trzeba będzie czekać na połowy do jesieni — zmartwiła się Agata, żona Piotra, kiedy mąż jej powiedział, że nastąpiła przerwa w połowach. — Co za czasy? Myślało się, że zarobek na kutrze będzie przez cały rok naokoło.

— Szyper obiecuje, że jesienią, gdy rozpocznie się sezon szprota, przyjmie mnie z powrotem na kuter. Teraz spróbuję łowić na łodzi, a ryby sprzedawać letnikom.

Piotr zamustrował się ze swoim ojcem i młodszymi braćmi, Ludwikiem i Władkiem.

Było bardzo gorąco, choć dopiero zaczynał się czerwiec. Lekki wiatr dmuchał od wschodu. Zastawiali razem haczyki na flądry. Od czasu do czasu przy zdejmowaniu haczyków szarpał się jakiś ogromny dorsz, który zwykle, tuż przy samej łódce, zrywał się ze słabego flądrowego haczyka.

— Zastawimy dorszowe haczyki, są mocniejsze od tych, może uda nam się złowić dorsza — powiedział Tona do synów.

Na głębokości dziesięciu, piętnastu metrów zastawili cztery tysiące haczyków z nadzianymi żywymy dobij aka- mi jako przynętą.

— Co za ogromne dorsze, a ile ich! — dziwił się Tona, gdy zdejmowali haczyki.

— Tatku, tu jest więcej jak w Norwegii — zapewniał Piotr.

— Chyba przyplłynęły z Morza Północnego — zastanawiał się Tona. — Bo takich olbrzymich dorszy nie było tu już trzydzieści lat. Kręcą się u nas dorsze od 1914 roku, ale drobne. Takie wielkie to widziałem, jak byłem chłopcem.

Przyszła jesień i Rybakowski znów przyjął Piotra na kuter.

— Jak nie będziesz pił, a dętki będziesz odkładał na PKO, możesz sobie nabyć kuter z Instytutu Rybackiego — zachęcał Rybakowski. — Jest was trzech braci, możecie razem łowić, tylko musicz uzyskać dyplom szypra.

— Jo, jo, święta prawda — potakiwał Piotr. — Już mówiłem o tym swojej białce. Mamy nawet książeczkę.

Zima tego roku była łagodna. Często dmuchał wiatr z północy. Taka pogoda sprzyjała połowom szprota w zatoce. Toteż kutry Instytutu Rybackiego zawijały do Gdyni z pełnymi ładunkami ryb. Byłby raj dla rybaków, gdyby szprot miał lepszą cenę. Jednak niespodziewanie szprot znikł i już do wiosny się nie pojawił. Kutry przestawiły się teraz na łowienie dorszy i fląder. W kwietniu pojawiły się łososie. Ale te gatunki ryb nie mogły zastąpić w ówczesnych latach szprota. W Gdyńskiej Stoczni Rybackiej budowano teraz kutry całymi seriami. Każdy z rybaków, jeśli był tylko oszczędny i pracowity, mógł dostać kuter na raty. Helscy Niemcy odgrywali coraz mniejszą rolę w polskim rybołówstwie. W następnym ro

ku, kiedy znów stocznia zwodowała całą serię kutrów, dostał kuter i Piotr Mroch.

— Widzisz, Piotrze, masz lepszy kuter ode mnie — rzekł Rybakowski, gdy młody Mroch dobił po raz pierwszy do burty "Hel 90".

— Powiem ci coś lepszego — rzekł Piotr. — W Wielkiej Wsi budują port.

— A słowo stało się ciałem! — zawołał Miłosz.

— Przeniesiemy się tedy do Wielkiej Wsi, skoro tylko oddadzą port do użytku — ucieszył się Rybakowski. — Tu szprot zginął do reszty, a tam są lepsze łowiska i bliżej jest do Bornholmu, choć na Głębi Gdańskiej też już można nieco złowić.

Zimą 1937 roku, choć port w Wielkiej Wsi nie został jeszcze oddany oficjalnie do użytku, zgromadziło się już tu za pozwoleniem kapitana portu około pięćdziesięciu kutrów. Przybyły na tutejsze wydajne łowiska dorszowe z Gdyni, z Helu, Jastarni i Kuźnicy.

— Port dobry i spokojny — cieszyli się rybacy.

Wiosną, gdy dorsz w Zatoce Gdańskiej nie dopisywał,

rybacy ruszyli na żyzne wody bornholmskie. Wyłąywali juź w południe, by stanąć nazajutrz rano na łowisku.

Pewnego dnia wyruszyli jak zwykle. Kuter Piotra płynął kilwatrem za kutrem Franciszka Rybakowskiego. Nagle za Rozewiem pojawiła się gęsta mgła.

— Gdzie Rybakowski?! — wrzasnął Piotr na brata Ludwika. — Jak ty sterujesz?!

— Trzymam dwieście siedemdziesiąt pięć stopni. Tak jak kazałeś. Nie mam pojęcia, jak mógł mi zginąć.

— Sam nie rozumiem. Przecież tym kursem zawsze sterowaliśmy, gdy rybaczyłem u Franka.

— Zbłądzimy — przestraszył się Ludwik.

— Nie ma Bornholmu, a musiałyby już być. Władek, wyciągnij log i policz dobrze mile — rozkazał Piotr.

— Łowisko minęliśmy — powiedział najmłodszy brat.

— Skręcamy na trzysta stopni, tam musi być ląd — zdecydował Piotr.

Całe szczęście, że mgła się rozeszła.

— Tam jest Bornholm — rzekł pewien siebie szyper, gdy dostrzegł ląd.

Wpatrywali się w wysoki brzeg.

— Widzę jakiś kuterek — zauważył naraz Władek. — Zapytajmy go.

Gdy podpłynęli bliżej do stateczku, zaczęli wołać po polsku i po niemiecku wskazując na widniejący w dali ląd.

Szwedzi zrozumieli, o co im chodzi.

— Sandhammaren! — wołali. — Sandhammaren!

Rybacy zrozumieli, że widziany ląd to nie Bornholm,

tylko zupełnie inna wyspa.

— Zobaczę na mapie — rzekł Władek. — Musimy z powrotem płynąć — zdecydował, gdy sprawdził na mapie, gdzie się znajdują.

— Dokąd?

— Do Bornholmu.

— Jaki kurs? — zapytał szyper.

— Sud-ost.

— Musisz, Władek, iść na kurs szyprów, bo inaczej nie damy sobie rady — westchnął Piotr.

— A czy nenka się zgodzi?

— Musi się zgodzić. Sam teraz widzę, że bez wiedzy nie damy sobie rady. Na pewno byłbym szyprem, gdyby nenka posyłała mnie do szkoły, a nie kazała krowy pasać.

Po pewnym czasie znowu dostrzegli ląd.

— To Bornholm, a te małe wysepki to Christianso — rzekł Władek.

Naraz przed nimi wyrósł jakiś jednomasztowy kuter.

— “Hel 90”! — zawołał Ludwik. — Na pewno nas szukają.

— Jednak nie dałbyś nam zginąć — pochwalił Piotr swego dawnego szypra, gdy już zawinęli do władysła- wowskiego portu. — Sterowaliśmy tym samym kursem co na twoim kutrze i nie wiem, jak mogliśmy zabłądzić.

— Ale nie wzięłeś pod uwagę dewiacji, która jest u ciebie inna niż na moim kutrze.

— Nigdy nic nie mówiłeś o jakiejś dewiacji, to skąd miałem wiedzieć?! — oburzył się Piotr. — Co to w ogóle jest?

— Nie mówiłem, bo kiedy miałem mówić? Czas na morzu przeznaczony jest na łowienie, a nie na uczenie. Ale zawsze mówiłem, żebyś poszedł na kurs szyprów.

— Przecież wiesz, że byłem, tylko co tam gadali, nie było do nauczenia się dla ludzi.

— Wiem, wiem — zaśmiał się Rybakowski — anioły innym pomagały. — Ale ty, Władek — zwrócił się do najmłodszego Mrocha — jesteś zdolny chłopak. Kapitan Borakowski organizuje kurs nawigacyjny. Zapisz się. Na pewno zdasz egzamin.

— Jest tak samo głupi, jak my — odezwał się Ludwik. — Ja już więcej z wami nie wypłynę.

Ludwik dotrzymał słowa i zszedł z kutra. Nie wypłynął więcej z nimi na połowy, choć Władek ukończył kurs i zdał egzamin. Nie wierzył w umiejętności nawigacyjne najmłodszego brata. Piotr i Władek łowili nadal na Głębi Bornholmskiej. Połowcy były obfite, ale ze zbytem było coraz trudniej, gdyż coraz więcej kutrów wypływało na łowiska. Były to jednak ostatnie tygodnie intensywnych połowów. Nad polskim wybrzeżem zaczęły krążyć nieprzyjacielskie samoloty. Władek został powołany do wojska. A Piotr musiał się stawić ze swym kutrem do Marynarki Wojennej.

Pierwszego września 1939 roku rozpętała się krwawa nawałnica, która trwać miała do maja 1945

roku.

Najmłodszy syn Mrocha już nigdy nie wrócił. Poległ nad Wartą. Walczył w osiemdziesiątym trzecim pułku piechoty.

Gdy hitlerowcy zajęli wybrzeże i Hel skapitulował, Piotrowi udało się wpłynąć z kutrem do portu Władysławowo i uszkodzić pompę wtryskową silnika.

— Teraz go szwabi nie uruchomią — rzekł i wrócił do rodzinnej wsi.

Rozdział VII

[orze opustoszało. Kutry rybackie wybudowane przez Instytut Rybacki i przekazane rybakom I zarekwirowały władze Wehrmachtu. Samoloty iLuftwaffe nisko szybowały nad wodą. Na poi-*skie wybrzeże doszła wieść, że polska łódź podwodna internowana w jednym z portów państw bałtyckich wyłamała się spod straży i krążyła po Bałtyku.

— Chyba na nią polują — mówił Piotr do swego ojca. — Ale nie zdołają nic zrobić. Rychło bowiem stanie się cud. Nadejdzie ogromna ciemność, palić się będą tylko poświęcone przez księdza zapałki i świece. Kto będzie trzymał w dłoni zapaloną święconymi zapałkami świecę, przeżyje, aż ciemność przejdzie. Wszyscy już dają sobie święcić świece, tylko że księży jest coraz* mniej, bo hitlerowcy mordują ich bezlitośnie. Hitlerowcy nie przeżyją tej ciemności. Zginą.

— Synu — perswadował Tona — to są bajki.

— Musi być cud — kręcił głową Piotr. — Przecież Bóg nie może pozwolić, żeby ci mordercy mogli tu panować. Zobaczysz, co stanie się z Niemcami. Święconych świec nie będą mieli!

— Chciałbym, żeby tak Bóg pokarał naszych i swoich wrogów, ale to co ty mówisz, to są bajki, w które nikt rozumny nie uwierzy. Zabobonami Hitlera się nie pokona. Cud będzie, jak my tę wojnę przeżyjemy. Żeby Anglia i Francja zaraz uderzyły, to byśmy go razem pokonali. Przyszli, że nam pomogą i co? Figa. Stchórzyli.

Rzeczywiście przepowiadana ciemność zawiodła, podobnie jak pomoc Anglii i Francji. Natomiast któregoś dnia w Władysławowie pojawił się hitlerowski dyrektor rybołówstwa z Gdyni, niejaki Stahlenberg, i kazał zwołać wszystkich rybaków, których kutry zarekwirowały władze niemieckie.

— Będziecie mogli uprawiać połowy — mówił do zebranych Kaszubów. Wydierzawimy wam kutry. Złowione ryby odstawiać będziecie do Fischzentrale. Dwadzieścia procent otrzymanej gotówki za połów będziecie musieli wpłacać do Oberfischereiamtu za dzierżawę. Kto się całkowicie nie podporządkuje, dla tego znajdziemy miejsce w Stutthofie! Znajdzie się też miejsce w Stutthofie dla tych, którzy będą się posługiwali polską mową. Zrozumiano? — zakończył krótkie przemówienie Stahlenberg.

— Będziemy łajać jak psy, gdy przyjedzie ten człowiek do naszego portu. Po niemiecku niewielu z nas tu umie — gadali rybacy.

Na szczęście tej pierwszej wojennej zimy przyszedł taki mróz, że morze na długo zamarzło. Hitlerowski dyrektor nie miał po co przyjeżdżać do portu.

Niech mrozi chociażby do świętego Jaiia — mów/ili między sobą rybacy. — Hitlerowi zboże nie urośnie, przegra wojnę.

Wiosna jednak nadeszła, choć bardzo spóźniona. Wraz z nią pojawił się w władysławowskim porcie w czarnym jak kruk mundurze Lachmund. Natychmiast zwołał zebranie rybackie w hali rybnej w porcie. Przysłał go tu w porozumieniu ze Stahlenbergem sam Forster, gdański gauleiter.

— Ten Purtk, Lachmund — mówił Augustyn Ryba- kowski do maszopów — to podobno jeden z pierwszych bojowników Hitlera. Walczył u jego, boku w stolicy Bawarii już w 1923 roku.

— Po co tu przysłali tego psa? — zastanawiali się rybacy. — Nasze wybrzeże musi być dla nich ważne.

— Wyduszą z nas “fur den Sieg”, co się da, a potem nas zniszczą, gdyż nie będziemy już Hitlerowi potrzebni. Będzie nas prześladował za polski język — rzekł Ryba- kowski.

— Dobrze nas pocieszasz, Auguście — odezwał się Franciszek Jeka, wysoki rybak liczący około trzydziestki. — Ale my będziemy mieć swoje sposoby na obronę.

Dnia 4 kwietnia znów zwołano wszystkich rybaków do portu. Słońce już ’piekło, ale w porcie leżała jeszcze gruba pokrywa lodu, a na morzu dryfowały całe pola kry lo- dowej.

— Schnell! Schnell! — ryczał Lachmund. — Wziąć siekiery i rozrąbać lód!

— Nie odzywajcie się do niego — powiedział Jeka. — Chwyćmy za siekiery i udawajmy, że chcemy rąbać. I tak do jutra nie zostanie tu śladu po lodzie, jeśli słońce tak będzie piekło.

— Kto z was mówi po polsku?! — ryczał hitlerowiec.

Rybakom kazano rąbać lód aż do późnego wieczora.

— Darł się, aż ochrypl — rzekł stary Józef Myślisz z Wielkiej Wsi, gdy już szli do domów — a wolnej drogi z portu nie ma.

Nazajutrz rano, gdy rybacy spotkali się przy kutrach, nie zastali już tam okruszynki lodu. Wszystko zlizalo słońce. Na Bałtyku, jak daleko okiem sięgnąć, widniała czysta woda. Tylko przy samym porcie pozostały wielkie zwały grubii dochodzące do dziesięciu metrów grubości.

Rybacy wypłynęli na połów. Ale choć na władysła- wowskie łowiska podpłynęła olbrzymia ławica dorszy, zrobili zaledwie po jednym zaciągu.

— Tak róbcie, dresze, jak ja — rzekł pewnego dnia Piotr, gdy wrócili z połowu. — Zrobiłem w swoich skrzyniach podwójne dna. Zamiast dziesięć, każda waży teraz trzydzieści kilo. Dorsza

nakładam zamiast czterdzieści kilo — tylko dwadzieścia. Resztę dowąży skrzynia. Połowę ropy wylewam w morze. Hitler przeze mnie zbankrutuje. Sieci nie remontuję. Ledwo jest podarta, wyrzucam za burtę i udaję się natychmiast po nowe jadro. Ojciec mówił, że Hitler nie ma w swoim kraju bawełny.

— Patrzcie, patrzcie — kręcił głową Augustyn Rybakowski. — Sprytnie to wymyśliłeś. Kiedy my wszyscy choć po tonie ropy miesięcznie wylejemy za burtę, to wiecie, ile to może być?

— Rocznie trzydzieści kutrów, to je, dresze, aż trzysta sześćdziesiąt ton — policzył szybko Jeka.

— Wielkiej roli ten nasz sabotaż nie odegra — mruknął Alojzy Gojka z Kuźnicy.

— Jakby tylko my sabotowali, to nie, ale jak cały kraj nasz będzie to robił i inne podbite kraje, to już będzie coś znaczyło — zaprotestował Rybakowski.

— Jeśli tak, to co innego — zgodził się Gojka.

— Piotr ma rację — zatarł ręce Marian Bolda. — W naszym porcie może się to udać, bo jesteśmy tu sami swoi ludzie.

Nadchodziły coraz groźniejsze wiadomości. Radio nie przestawało ryczeć: Holandia zajęta! Belgia pokonana! Zwycięstwo pod Dunkirchen! Francja skapitulowała!

Dnia 9 sierpnia 1940 roku Lachmund nie pozwolił kaszubskim załogom zejść z kutrów. Wszystkie wyjścia z przystani zostały zamknięte. “Feszmajster” mobilizował kutry na inwazję do Anglii.

Pomimo ścisłego nadzoru Lachmunda kilka kutrów nie wypłynęło z władysławowskiego portu. Augustyn Rybakowski zdołał się ukryć wraz ze swoją załogą. Mrochowi popsuł się silnik, kutry Franciszka Jęki, Franciszka Rybakowskiego, brata Augustyna, i Pawła Boldy dryfowały po morzu.

Reszta kutrów wypłynęła. Posuwali się jednak naprzód w żółwym tempie. Rybakom co chwila psuły się silniki

albo też siadali na mieliznach i trzeba ich było stamtąd ściągać. A i samo morze sprzyjało rybakom. Wiatr i fala utrudniały rejs. Nie zdążyli na czas stanąć w Calais.

Niemiecka inwazja dostała w łeb. Rybacy wrócili, ale nie wszyscy na swoich kutrach. Oddano im tylko co mniejsze kutry. Część kutrów odesłała marynarka wojenna zimą. Część odzyskali rybacy dopiero w rok po zakończeniu wojny.

Zimą z czterdziestego na czterdziesty pierwszy rok kra lodowa wstrzymała połowy na dwa miesiące. Na próżno Lachmund złościł się i ryczał, i groził obozem, rybacy nie mogli wypłynąć na połów.

Któregoś sztormiastego dnia Piotr Mroch zaszedł do mieszkania Józefa Boldy, o przydomku “Modroczk”, mieszkańca Augustyna Rybakowskiego.

— Życ się nie chce — rzekł siadając ciężko na ławie. — Hitlerowcy trzymają świat w okowach niczym ta kra nasze morze. Słyszałeś, że prują teraz w głąb Rosji?

— To nie jest koniec wojny — odpowiedział Modroczk.

— Nasz koniec nastąpi rychlej niż koniec tej nawałnicy. Ten niemiecki Purtk, Lachmund, wiedno tylko grozi nam obozem.

— Zaraz coś ci pokażę — Józef wstał i podszedł do pieca, z którego zdjął jakąś zapisaną kartkę. — Widzisz, to jest przepowiednia napisana przez pewnego zakonnika w klasztorze nad Odrą, siedemset lat temu, gdy Odra jeszcze należała do Polski. Kilka lat przed pierwszą wojną światową przystąpiono do remontu klasztoru. Wtedy znaleziono w ścianie przepowiednię. Była tam przez siedemset lat. To jest jej odpis.

— Kto to odpisał? — zapytał Piotr. — Gwesno Ryba- kowski, on zna wszystkie kąty świata.

— Jakbyś wiedział. To on. Tylko tego nikomu nie mów. To co tu pisze, to tylko wyjątek wielkiej przepowiedni

o naszych czasach.

Józef zaczął czytać:

— “Runą monarchie Germanów, z gruzów powstanie moja ojczyzna, ziemia nadrzeczna nadal trzymana w niewoli.” Ten zakonnik był Polakiem, bo pisze, że moja ojczyzna powstanie, ale nie nad Odrą.

— Czytaj dalej — niecierpliwił się Mroch.

— “Powstanie wódz, który szybko odbuduje Germany, zabarwi kraj nasz nad Wisłą i Wartą krwią. Rozszalały zwycięstwem wzniesi ogień na całym świecie. Będą go podziwiać i mali, i wielcy. Ale gdy ze swymi hufcami ruszy na wschód, tam się rozkruszy. Uciemienzeni dotąd w jego stolicy zawieszą sztandary. Gryfa — biały orzeł okryje czule skrzydłami.”

— Nie bardzo rozumiem — odezwał się Piotr.

— Widzisz, tak to trzeba rozumieć z tym białym orłem: całe Pomorze, aż po Odrę, wróci do swej ojczyzny, Polski.

Piotr pokręcił z niedowierzaniem głową.

— Nie wierzysz przepowiedni? Zaraz ci coś innego pokażę.

Modroczk wyciągnął spod łóżka Biblię, przewertował kilka kartek i rzekł:

— To jest “Objawienie świętego Jana”, napisano tu tak: “A dozwolono jej, aby ożywiła posąg bestii, tak aby posąg bestii przemówił, i aby sprawiła, że wszyscy, którzy nie złożą czci posagowi

bestii, zabici będą.” Patrz, tu: “kto ma rozum, niech zliczy liczbę bestii. Bo jest to liczba człowieka, a liczba jego sześćset sześćdziesiąt i sześć.”

Józef Bolda znowu przewertował kilka kartek:

— “Bestia, którą widziałeś, była, a nie ma jej, wyjdzie z przepaści i pójdzie na zagładę.” Te wszystkie wyjątki, co tu ci przeczytałem, dotyczą Hitlera. Rybakowski pokazał mi, jak się oblicza liczbę bestii.

Józef wziął kartkę, napisał literę “a”, a obok postawił liczbę sto, potem “b”, obok — sto jeden. I tak kolejno napisał cały alfabet z odpowiednio wzrastającymi liczbami. Wybrał potem wszystkie litery tworzące nazwę Hitler, potem podsumował liczby odpowiadające poszczególnym literom. Wyszło sześćset sześćdziesiąt sześć.

— Daj mi tę kartkę i przepowiednię. Dam ojcu, on to przepisze — poprosił Piotr.

— Jeśli tylko chcesz, to ci dam, ale pod warunkiem, że innym o niej powiesz.

— Wszystkim będę głosił, że Hitler musi zginąć z tymi, którzy przyjęli jego znak. Tak jak tu stoi napisane — przyrzekł Mroch. — Matce też powiem, ona to dalej rozniesie, jak pójdzie z karznią.

— Twoja matka nienawidzi Niemców jak mało kto — przytaknął Józef.

Odtąd co wieczór Tona Mroch czytywał żonie i synowi przepowiednię. I Weronika, i Piotr znali już ją na pamięć, ale wciąż prosili, by Tona wolno i dokładnie czytał i objaśniał słowa pisane siedemset lat temu.

Pewnego późnego wieczora, gdy jak zwykle w skupieniu słuchali objaśnień Tony, naraz do ich uszu doszło jakieś stukanie. Tona zgasił naftową lampkę, odsunął firanki. Dostrzegł za swą checzą kilku mężczyzn.

— Co też to za jedni?! — zastanawiał się głośno. — Maryja, Józef! Rozbierają kaplicę! — jiangle krzyknął przeraźliwie.

Weronika zerwała się z łóżka, na którym leżała, i w koszuli tylko wyskoczyła na podwórze. Chwyliła siekierę wbity w pień i pobiegła w kierunku oprawców.

— Stój, stój! — biegł za nią Tona.

Ale Weronika była szybsza. Tona usłyszał jakieś krzyki i tupot nóg. Gdy dopadł żony, w pobliżu już nikogo nie było. Podeszli do kaplicy. Ze szczytu wieżyczki wyrąbano kilka cegieł. Statua Matki Boskiej leżała na ziemi. Weronika podniosła figurę i jeszcze raz się obejrzała. Nie dostrzegłszy nikogo wrócili do checzy.

— To byli hitlerowcy z Besarabii, co po wysiedlonych gburach zajęli gospodarstwa. Poznałam ich po wysokich mucach. Mieli szczęście, że uciekli. Rozrąbałabym im wszystkim łby.

— Myślę, że musiał być razem z nimi Blockleiter, tutejszy szkolny, który przyszedł do nas z Nadrenii — domyślał się Tona.

— Może być, bo jeden z nich był w szarym ubraniu, a szkolny zawsze nosi szary garnitur.

Tej nocy Mrochowa nie spała do samego rana. Siedziała z siekierą przy oknie czatując na faszystów, ci jednak nie odważyli się więcej pojawić przy kaplicy. Kaplica przetrwała aż do wyzwolenia. Rybacy ładnie ją odnowili i wstawili z powrotem statuę Matki Boskiej.

Tak nadszedł rok 1943. Lachmund zmusił wielu rybaków do przyjęcia trzeciej grupy listy niemieckiej. Opornych wywożono tam, gdzie po każdym ślad ginął. Piotr

należał do tych, którym się poszczęściło. Lachmund uważał go za najgłupszego rybaka i nie kwapił się, by takiemu jak on dać grupę. Ale po klęsce stalingradzkiej Hitler potrzebował coraz więcej mięsa armatniego, toteż w końcu i Piotrowi Lachmund wcisnął kartę, owo nieszczęście Kaszubów.

— Chłopie, musisz iść do Lachmunda, jak będzie łośoś, wepchnąć mu rybę w gardło i do tego poczęstować jeszcze butelką wódki — radziła żona Piotra, Agata. — Inaczej wciągną cię do wojska, zabiją za tych morderców, a ja zostanę wdową.

Piotr długo myślał nad całą sprawą, ale niczego nie wymyślił.

— Muszę się zapytać Franciszka Jęki, jak on to załatwia — powiedział wreszcie do żony.

— Łososie Lachmundowi już z gardła idą — rzekł Franciszek Jeka, kiedy Piotr pytał go o radę. — Żebyś miał dobrą gęs i ze dwa litry bimbru w butelkach z naklejką Machandel. On się tak rozpił ze swą rodziną, że nie wie już, co pije. Jego żona daje nawet dzieciom bimbru zamiast herbaty. Ile razy tylko wyjedzie do Kuźnicy, to go Aleksanderk tak spoi, że leży trzy dni pod płotem. Inni też pamiętają, by mu trunku nie zbrakło. Jak pije, to nie przychodzi do portu. Zobaczysz, nie potrwa rok czasu, jak się zapije na śmierć. Dostarcz tedy i ty mu bimbru. Byle z naklejką. Rób, jak ci radzę.

— Ale ja nie umiem po niemiecku.

— Ty nie potrzebujesz mówić, za ciebie mówić będzie gęs i bimber. On już będzie wiedział, że należy ciebie zatrzymać na kutrze. To jest jego interes.

Piotr postarał się o gęs i bimber, tak jak radził Jeka, i któregoś dnia zapukał do drzwi feshmajstra. Usłyszał wrzask dzieci, a po chwili drzwi otworzyła kobieta o bujnych blond włosach, średniego wzrostu, w ciemnej sukience. Miała około trzydziestu pięciu lat. Jak się Piotrowi zdawało, musiała być kiedyś bardzo ładna.

— Męża nie ma w domu — rzekła widząc rybaka i już chciała zatrzaskać drzwi, gdy dostrzegła, że Piotr trzyma okazałą paczkę pod pachą.

— Bitte, bitte — poprosiła Kaszubę do pokoju.

Piotr wszedł i podał Niemce paczkę. Chciał powiedzieć, tak jak go Jeka uczył, że w środku jest

gęś, ale zapomniał

na amen wyuczonych słów. Niemka na szczęście nie czekała na żadne wyjaśnienia, tylko czym prędzej odwinęła zawiniątko. Uśmiechnęła się do Piotra.

— Ryby nie chcą już nam przechodzić przez gardła. Węgorze są takie tłuste, a po łososiach wszystkie dzieci mi zachorowały. Wyleczyłam je sznapssem. — Położyła paczkę na stole. — Męża nie ma. Pojechał wczoraj do Kuźnicy i jeszcze dotąd nie wrócił, i już dziś chyba nie wróci, bo ostatni pociąg przyjechał.

— Ich gut — odpowiedział Piotr bez sensu, zafrasowany wielce, że nie zastał fieszmajstra! w domu.

— Gut, gut — mówiła Lachmundowa, zapalając tymczasem światło.

W świetle żarówki Piotr zobaczył aż ośmiu chłopaków w wieku od czterech do czternastu lat. Wszyscy byli w czarnych ubraniach z odznakami hitlerowskimi na rękawach.

Piotr wyciągnął dwie butelki z kieszeni i postawił na stole.

— Dla pana fieszmajstra — bąknął.

— On ma już tej wódki dosyć. To studnia bez dna. Nie ma dnia, żeby nie wypił pół litra. To zatrzymam dla siebie.

Czy abym na próżno nie przynosił? — pomyślał ze strachem Piotr. — Muszę to jej jakoś wytłumaczyć, bo wszystko przepadnie. — Ale nie wiedział, jak to zrobić.

— Ich nicht Militär — rzekł w końcu.

Niemka uśmiechnęła się do rybaka, przyniosła korkociąg i dwa kieliszki. Wskazała rybakowi, by otworzył jedną butelkę.

Co? Ja mam z tą babą pić wódkę? — zdumiał się Piotr, ale butelkę otworzył, jak kazała.

Tymczasem chłopcy obstąpili stół wszczynając niesamowitą wrzawę. Matka na próżno ich uciszała i wypędzała. Uspokoił się dopiero wtedy, gdy pozwoliła im przynieść kubki i wszystkim naląła bimbrowa.

Gdyby tak mieli po kilka lat więcej, żywy bym stąd nie wyszedł — myślał Piotr, przyglądając się małym Niemcom zachłannie pijącym bimbrowa.

Gdy wypili swoją część, bez słowa wynieśli się z pokoju. Niemka kazała otworzyć rybakowi drugą butelkę. Naląła dwie setki i jednym haustem wypić swą bimbrowa.

Piotr nie chcąc się ośmieszyć, też wychylił na raz cały kieliszek. Wstrząsnął się. Ale nim ochłonął po pierwszym kieliszku, "gościnną" gospodyni naląła drugi. Wychylili. Niemka naląła po raz trzeci.

Gadała przy tym bez przerwy. Piotr nic nie rozumiał, o czym mówi. Wódka szumiała mu już dobrze w głowie i trapiły go własne myśli.

Wódkę wypiję z tą babą, co gada trzy po trzy, gęś zeżrą suchym pyskiem i nic z tego nie będzie — rozmyślał smętnie. — Muszę ubijać swój interes — zdecydował — bo inaczej zginę za tych purtków.

— Ich kann nich zur Wehrmacht — obmyślił sobie takie zdanie i powiedział je głośno.

Ucieszył się, że tak gładko mu się powiedziało. Spojrzał na Niemkę, czy baba aby jeszcze rozumie, co do niej ludzie mówią. Spojrzał i zdębiał. Niemka bowiem ściągnęła już z siebie sweter i zaczęła ściągać spódnice.

— Maryja, Józef! — szepnął, gdy ściągnęła koszulę. — Jakby on tu wpadł, to ją i mnie zastrzeli.

Cichaczem, czym prędzej wysunął się jak duch na korytarz.

Co za banda ci hitlerowcy! — myślał biegnąc prawie drogą. — On pijak i babiarz, a ona nie lepsza. On pies, a ona suka przy nim. Żeby wreszcie przegrali tę wojnę. Żeby to wszystko się skończyło. Żeby ci na zachodzie raz się ruszyli.

— Jak załatwiłeś, chłopie? — zapytała Agata, gdy zdyszany wpadł do domu.

— E, szkoda, że tam poszedłem.

— Ty jesteś pijany, chłopie! Podpiłeś sobie, czy co?

— Jego nie było w domu. Musiałem sobie z babą wypić. Niech ta pijawka przyssie się do kogo innego, ale nie do mnie. Nalewała mi, więc piłem, ale ją przepiłem. Ona już jest pomieszana w głowie. Franciszek Jeka ma rację, że mówi, że hitlerowców można na śmierć zapoić. Jak postawiłem butelkę, to ci młodzi zrobili taką wrzawę, jakby dęta orkiestra szczerom zagrała.

— Idź, chłopie, spać, pijany jesteś i bredzisz. Jutro mi wszystko opowiesz.

— Wcale nie jestem pijany. A do opowiadania nic nie ma, bo nic nie załatwiłem. Szkoda gęsi! Jego nie było w domu. Leżał chyba pijany gdzieś w Kuźnicy pod płotem. A ona najpierw chlęła, a potem zaczęła opuszczać

zagle. Więc sobie pomyślałem: Piotrze, teraz w nogi. Wymknąłem się z pokoju. No, i przyszedłem do domu, bo mogłabyś zostać wdową, gdyby ten zbir wszedł na ten moment.

— Język ci się płacze w gębie — zagniewała się Agata. — Idź spać.

— Byleby Ruski tu wnet przyszedł — ciągnął dalej Piotr. — A jutro pójde do tatka i mu wszystko opowiem. Co to za baba!

Zniecierpliwiona Agata zaczęła ściągać z męża ubranie i położyła go do łóżka.

Mijała łagodna zima z 1943 na 1344 rok. Wielka ławica dorsza jak co roku podpłynęła pod brzeg. Tylko wyjazdy na połowy były rzadkie, bo Anglicy minowali morze. Na wiosnę alianci wylądowali w Normandii, Armia Czerwona wypierała wojska niemieckie ze swych terenów. Lachmund wyjechał do Berlina, a Lachmundowa z dziećmi jeszcze jesienią przeniosła się do Bawarii. Teraz co tydzień w porcie władysławowskim pojawiał się sam Stahlenberg.

Mijały dni i miesiące. Coraz pomyślniejsze wieści ze wschodu i zachodu dochodziły na kaszubski brzeg.

— Trzymajmy się, dresze — mówił Rybakowski do Kaszubów — hitlerowcy mogą chcieć nas i nasze kutry wykorzystać teraz do swoich celów.

Przewidywania Rybakowskiego były trafne. Gdy ucichły ostatnie fanfary hitlerowskie a ofensywa radziecka była coraz bliżej, gdy wyzwolono Warszawę, Łódź i Kraków, a drogi i szosy zawałyły się hitlerowskimi uciekinierami, admiralicja niemiecka wezwała wszystkie kutry, by ewakuowały esesmanów ze Stutthofu.

Żaden z kutrów władysławowskich nie dopłynął do celu. Wjechali na dryfującą krę i nie ruszyli dalej, udając że są zakuci w lodzie. Rybakowskiemu, jnimo groźby rozstrzelania, udało się uniknąć wyjazdu z portu.

Hitlerowcy byli w owych dniach wściekli, jak Lachmund po bimbrze. Stahlenberg spakował walizy i rozkazał trzymać dla siebie kuter w pogotowiu, by w każdej chwili odpłynąć na zachód.

— Wszystkie kutry wypływają do Łeby, a stamtąd

7 — W pogoni za ławicami

97

przywiozą wojsko i urzędników do Helu — dał rozkaz któregoś dnia Stahlenberg.

— Dresze, teraz w nogi — rzekł Augustyn Rybakowski do Kaszubów.

— Dokąd? — zapytał Piotr.

— Lasami na zachód! Wojska radzieckie stamtąd nadchodzą.

— To mamy tak jak łososie pod prąd, pod Niemców uciekać?

— To jest jedyny nasz ratunek. Niemcy w rozsypce uciekają, nadeszła dla nich krytyczna chwila. Wysłali gestapowców po opornych rybaków. Rozstrzelają każdego, kto będzie stawiał opór.

— Daj znać rybakom na Kolonii Rybackiej w Wielkiej Wsi — zatroszczył się Piotr.

— Posłałem już tam żonę Feliksa Bui. Dałem też znać swoim braciom i innym rybakom, że spotkamy się na Bielawskich Błotach. Już się tam pewno udali.

12 marca nad polami Tupadeł, Strzelna i Łebcza zahuczały pociski wojsk wyzwolńczych. W wieczornym mroku zaroily się Bielawskie Błota. Bataliony radzieckie prowadzone przez kaszubskich partyzantów przechodziły mokradła bielawskiej puszczy. W Mieroszynie zorganizowano obronę przyczółka mostowego. Dowództwo niemieckie na próżno starało się zepchnąć wojska radzieckie z Kępy Swarzewskiej. Nie pomogły nawet cztery karne kompanie wspierane działami lądowymi i morskimi. W zamienionym na punkt oporu pałacu Hanemanna karne kompanie wywiesiły białą flagę. Faszyci jeszcze raz próbowali szczęścia i rzucili kilka kompanii do Chłapowa, by powstrzymać posuwające się na Hel wojska wyzwolncze. Tu się rozegrał ostatni dramat na wybrzeżu rozewskim.

Po całodniowym zmaganiu hitlerowcy zo*stali pokonani. Brzeg rozewski został wyzwolony.

Rybacy hurmem udali się do władysławowskiego portu.

— Dresze, nasze kutry zatopione! — wołał Alojzy Jeka, gdy weszli do portu.

Gestapowcy chodzili od checzy do checzy szukając załóg kutrów, by zawiozły hitlerowców na Hel. Gdy nikogo nie znaleźli, trotylem wysadzili kutry w powietrze. Wśród strasznych wybuchów, jeden za drugim szły kutry na dno. Z kutra Rybakowskiego uniósł się wysoki na sto metrów

dym i statek poszedł jak kamień na dno. W bezsilnej wściekłości hitlerowcy pod kuter przywódcy zbuntowanych rybaków podłożyli największy ładunek trotylu.

Kaszubi stali nad zatopionymi wrakami. Słońce świeciło z błękitnego nieba, wiatr wiał z północnego wschodu, fale przelewały się przez wyrwy w falochronach, które w ostatniej chwili wojny hitlerowski okręt podwodny zburzył czterema torpedami.

— Kutry nam zatopili i port rozwalili, ale uciekli — powiedział Rybakowski. — Ulotnili się i hitlerowcy, i junkrzy pruscy z Rodenhakerem i Hanejmannem na czele, którzy za Hohenzollernów i Bismarcka najechali nasze ziemie, zagarnęli polskim chłopom gospodarstwa. Ulotnili się i nigdy więcej nie wrócą, a my zostaliśmy.

Rozdział VIII

■^^■jj^idy ucichły ostatnie huk armat, Tona wybrał /flHUsię na poszukiwanie swej łodzi. Ale nie znalazł ta jej ani na wybrzeżu gdańskim, ani gdyńskim.

Nabył więc w Białej Górze nową.

— Zabierzemy się do połowów — namawiał Chłapowskich rybaków Rybakowski, który wydzierżawił czółno w Karwi.

W przeddzień Zielonych Świątek, 19 maja, pierwsze trzy łodzie wypłynęły na morze zastawiać haczyki.

— Ale gdzie my sprzedamy dorsze? — martwił się Tona. — Jeszcze nie pojawił się na wybrzeżu żaden kupiec.

Rybakowski był jednak dobrej myśli.

— Nie martw się, Tona, kupiec się zjawi. W drugi dzień Zielonych Świątek odbędzie się zebranie organizacyjne Spółdzielni Rybackiej. Już coś tam wymyślą, żebyśmy ryb z powrotem do morza nie wyrzucali.

Zebranie odbyło się w szkole w Wielkiej Wsi.

— Spółdzielnia, którą my dziś założymy, będzie miała wyłączne prawo skupu ryb na terenie od Białej Góry po Gdynię — mówił do rybaków starosta morski, Odorowski z Wejherowa.

— Nie będziemy przeszkadzać narodzeniu się tej pierw

7*

99

szej spółdzielni rybackiej na Wybrzeżu, będziemy ją popierać tym bardziej, że mój ojciec jest inicjatorem — szeptał Leon Budzisz Rybakowskiemu.

Gdy Odorowski skończył, o głos poprosił Rybakowski.

— Zastawiliśmy już w trzy łodzie haczyki dorszowe. Połowy zapowiadają się bardzo dobrze, dlatego chcemy zobowiązać nowo powstałą spółdzielnię, żeby od nas przyjęła złowione ryby i je rozprowadziła. To jedno. Po drugie, spółdzielnia musi udzielić nam pomocy przy wydobyciu naszych kutrów zatopionych przez okupanta. Jeśli będziemy mieć na powrót swe jednostki, to i spółdzielnia będzie mieć obroty. Te kutry mogą odłowić dwa tysiące ton ryb rocznie.

— Obywatelu, rzuć tu wprost astronomicznymi cyframi, ale my najpierw zbudujemy szkielet tej spółdzielni, a potem pomyślimy o wydobyciu kutrów i skupie ryb. Poza tym musimy uzyskać na ten cel dotacje od państwa — powiedział Czajka z Pucka.

:— Nic potem. Jutro musimy wziąć z tych trzech łodzi złowione ryby i rozsprzedać je w Pucku, Wejherowie czy Gdańsku — poparł Rybakowskiego stary Budzisz. — Nie możemy czekać na dotację czy pożyczkę. Musimy sami radzić. Rybacy, jako członkowie spółdzielni, przekażą nam złowione ryby, my zaś zajmiemy się ich rozprowadzaniem. Gdy zorientujemy się w zbycie, wtedy wspólnie ustalimy ceny dla towaru.

— Najlepiej jest, jak kto kupi rybę i zaraz zapłaci, a potem idzie swoją drogą — odezwał się Piotr Mroch.

Ale rybacy go zakrzyc^{eli}:

— Mało to razy wyrzuciłeś ryby za burtę przed wojną?

— Tak to będzie dobrze. Jedni będą łowić, a drudzy rozprowadzać ryby, a dla darmozjadów nie będzie miejsca!

— Kto się nie zna na tych sprawach, niech lepiej siedzi cicho!

Rybacy wybrali radę nadzorczą zarządu. Weszli do niej między innymi Augustyn Rybakowski i Leon Budzisz, przewodniczącym rady został Gliwicz.

— Widzę, że z tego nic nie będzie — mówił Piotr Mroch do Rybakowskiego, gdy wracali do domu. — Każdy sobie kieszenie napcha i potem w nogi.

— Źle myślisz, Piotrze. Wspólnota to siła.

— Z tobą się nie dogadam. Ja tam, jak tylko swój kuter wyciągnę, to będę ryby sprzedawał, komu zechcę i koniec. Co mam na innych pracować.

Nazajutrz z rana wiał wiatr z południowego wschodu. W promieniach słońca zieleniły się wszystkie przybrzeżne mielizny. Na morze wyruszyły trzy łodzie, by zdjęć zastawione haczyki.

— Co za gęsta ławica dorsza! — zdziwił się Piotr Mroch, gdy dobili do brzegu. — W czasie okupacji było go też dosyć, ale nigdy tyle. Całe szczęście, że powstała ta spółdzielnia, bo tak kto by go kupił od nas?

— Twoja matka i żona lepiej od ciebie docenią spółdzielnię, bo nie będą musiały chodzić z karznięmi.

Każda z łodzi przywiozła po tonie ryb. Były to pierwsze dorsze złowione w wolnej Polsce.

Za kilka dni w Chłapowie wypływało na morze już trzynaście łodzi. Dorsza było w bród. “Morska Ryba” — bo tak nazwali rybacy swą spółdzielnię — radziła sobie z odbiorem. Pojawili się i inni kupcy. W Gdyni powstała spółdzielnia “Łosoś” i “Jedność Rybacka”. Przyjeżdżano samochodami po ryby pod same łodzie. Przybywali też i prywatni kupcy podbijający cenę, tak że dorsz podskoczył od dwudziestego drugiego czerwca na dwadzieścia złotych za kilogram.

— Dresze, raj jest na ziemi — powiedział do rybaków Mroch, kiedy gdyński kupiec Strumski prócz zapłaty za ryby wręczył mu litr wódki. — Po co mamy nasze kutry wyciągać z wody, gdy na łódkach zarobek lepszy jak w Ameryce.

— Kiedy ty, Piotrze, zaczniesz mówić mądrze? Zarobek na łodziach jest teraz dobry z początku lata, gdy się jeszcze woda dostatecznie nie zagrzała. Na lato dorsz odpłynie na głębie, a my go na krypach nie dosięgniemy — tłumaczył Rybakowski.

— Sami przecież tych kutrów nie wyciągniemy.

— Zwrócimy się do Instytutu Rybackiego. Instytut dostarczy nam stalowych lin i materiałów potrzebnych do remontu kutrów.

— Lepiej do nich nie jedź — radził Piotr — bo się im przypomni, że mamy od nich kutry i każą nam za nie płacić.

— Co ty za głupstwa pleciesz, człowiecze? Oni tam ma

ją dokładne dane, ile kto jest winien za kuter — wtrącił Bolda.

Nadszedł lipiec. Skończyły się dobre połowy. Kapitanem portu we Władysławowie został Dźwiękoński. Doktor Lubecki już od wiosny urzędował w Gdyni. Bardzo się ucieszył, gdy Rybakowski go zawiadomił, że rybacy władysławowscy przystąpili do wyciągania kutrów.

Po trzech tygodniach ciężkiej pracy osiem wraków stanęło na suchym lądzie.

Okazało się, że kutrowi Rybakowskiego Niemcy dali nie tylko wielką dawkę trotylu, ale na jego burcie zawiesili jeszcze bombę głębinową.

— To zemsta za to, że zbuntowałeś rybaków, żeby nie udzielili im pomocy przy ewakuacji — rzekł Bolda. — Cbcieli, by z twego kutra nie pozostał ani jeden wiór.

— Tak by się też stało, gdyby bomba wybuchła. Kuter jednak osiadł na pięciu metrach głębokości, a wybuch nastąpiłby pod ciśnieniem znajdującym się na dziesięciu metrach głębokości. Takiej na szczęście we władysławowskim porcie nie ma — odpowiedział uradowany Augustyn Rybakowski.

Łaraz tey sprowadziũ skutników, którzy wyremontowali jego kuter w przecięgu miesiřca. Inne, mniej uszkodzone kutry wcześniey juý zaczęuy wypųywaã w morze* Od tego czasu rozpoczęũ się w porcie ruch. Dziesiřtki samochodów przyjeżdżało do Władysławowa po ryby. Była to w Polsce Ludowej pierwsza flotylla, która uprawiała połowy, nie licząc trzech kutrów łowiących na Zatoce Gdańskiej.

Prócz dorsza podpłynęła pod sam Hel ogromna ławica śledzi. Rybakowski przeniósł się z całą rodziną do Helu, skąd został wysiedlony w trzydziestym dziewiątym roku.

Gdy przycumował kuter do helskiego nabrzeża, poszedł do swego starego przyjaciela Józefa Kosteckiego. Kostecki pochodził z Łodzi i był zasłużonym działaczem partii socjalistycznej. Przybył na Kaszuby dopiero w 1931 roku i od razu zdobył uznanie tutejszej ludności, bo okazał się dobrym rybakiem. W czasie wojny siedział w Stutt-hofie, skąd wyszedł ze zmiążdżoną ręką, jeden z esesmanów tak go urządził.

— Słyszałem, że tu podpłynęła wielka ławica śledzi — rzekł Rybakowski.

— Jest, braciszku, tyle śledzia, że kosztami można go łapać prosto z mola. Tylko chętnych nie ma, no, i nie ma gdzie zbyć ryb, choć Gdynia jest przepełniona kupcami. Linia kolejowa uszkodzona, statku nie ma, te purtki potopiły wszystkie jednostki transportowe.

— Ile już jest kutrów w Helu?

— Beki i mój. Ściągnąłem sobie kuter z mielizny, gdzie został porzucony przez Niemców. Nie jest co prawda duży, ma dwanaście metrów długości. Nie wiem tylko, jak mam z nim załatwić.

— Musisz go zarejestrować w Morskim Urzędzie Rybackim na swoje nazwisko. Jeśli ty będziesz go już eksploatował, przyznają ci na pewno prawo pierwokupu.

— Jak się dowiedziałem, że wracasz, to sobie obmyśliłem taką sprawę — rzekł Kostecki. — Jesteś znanym rybakim, zwołaj zebranie i ciebie wybierzemy na prezesa rybaków. Rozmawiałem z Sobczykiem, inspektorem rybackim, czeka na ciebie. Chce cię też widzieć kapitan portu, dawniejszy kapitan marynarki wojennej, Kossakowski.

Jeszcze tego samego wieczora Józef Kostecki zwołał zebranie rybackie, na które przyszło około stu dwudziestu rybaków. Następnego dnia morze naokoło cypla helskiego zaroilo się łodziami. Kutry Rybakowskiego i Kosteckiego odwoziły złowione ryby do Gdyni. Również spółdzielnia “Łosoś” przysłała swój kuter po towar. Ruch się zaczął na całego.

Drugiego listopada już dwanaście kutrów uprawiało połowy. Siedem było z Władysławowa, z Helu trzy, dwa z Jastarni.

Któregoś dnia Rybakowski i Kostecki wybrali się do Władysławowa. Rybakowski koniecznie chciał odwiedzić starego ojca.

— Wiesz, Guście — mówił Kostecki, gdy siedzieli już w pociągu — jak nadejdą mrozy, skończą się połowy dla rybaków łodziowych. Gdzie oni się podzieją? Chyba będą pić w “Laleczce” i w “Lwiej Jamie”.

— Zarobili bardzo dobrze — rzekł Rybakowski — będą mieli za co. Trzeba tamu zapobiec.

— Jest sposób — rzekł Kostecki — urządzimy świetlicę, mam na oku starą elektrownię.

— Ta by się raczej nadawała na wędzarnię. Rozma-

wiałem z prezesem spółdzielni “Łosoś”, mają chęć na ten lokal. Nie trzeba im w tym przeszkadzać, bo to wyjdzie

i na naszą korzyść. Ja myślę, że świetlicę można zrobić w starej szkole. Urządzi się tam salę, bibliotekę i mieszkanie dla nauczyciela, który mógłby być od razu kierownikiem tej świetlicy.

— Tak, ty masz rację — potakiwał Józef. — Tam byłoby najlepiej.

Rybakowski coraz więcej zapalał się do pomysłu.

— W takiej świetlicy, Józefie — mówił — można by urządzić nawet kurs nawigacyjny. Na szkolenie rybacy chętnie przyjdą. Trzeba koniecznie porozmawiać w tej sprawie z wójtem, władzami szkolnymi i generalnym inspektorem rybołówstwa.

— Najlepiej będzie, jak urządzi się składkę wśród rybaków na ten cel — snuł plany Kostecki.

Ani się spostrzegli, kiedy dojechali do Władysławowa.

— Jak ci się, ojczy, powodzi? — zapytał August serdecznie przywitawszy się ze starym Rybakowskim.

— Wszystkim teraz dobrze się tu powodzi. Boję się tylko, żeby nasi ludzie tego nie nadużywali. Wielu rybaków nie wie, co zrobić z pieniędzmi. Rozpijają się.

— A co słyhać u Budziszka? — zagadnął August.

— To mądry chłop — odrzekł stary Rybakowski. — Ten nie zmarnuje swojej pracy. Parcelę kupił, dom chce budować. Paweł Bolda też chce się budować.

— To dobrze — ucieszył się August. — A Piotr Mroch?

— Jak był głupi, tak pozostał —* mruknął niechętnie stary. — Przykro słuchać, co o nim mówią. Jak pójdziesz do niego, to sam zobaczysz.

— A jak tu jest ze zbytem? — zapytał syn.

— Tylko łowić! Chętnych na ryby jest dosyć. A ile tu łososia podpłynęło pod brzeg! Przypłynęli Duńczycy z ta-klami, łapią prawie na każdy haczyk po jednej sztuce. Nasi też wypływają. Raj dla rybaków. Kolej na trasie Hel — Gdynia naprawiona, nie potrzeba kutrów do komunikacji.

— Tak, takich połowów łososia nigdy nie było — przytaknął August. — Moi synowie nie mieli kiedyś lekcji w szkole, zastawili przy brzegu sześć pławnic na łososie. Następnego dnia rano przybiegł mój najstarszy synek Kazimierz z okrzykiem, że mają pół łodzi łososia. Oczom

u

nie wierzyłem: mieli na dnie łodzi dwadzieścia pięć pięknych sztuk. Znalazł się zaraz kupiec. Zapłacił czterdzieści pięć tysięcy złotych. Kupiłem sobie za piętnaście tysięcy nową łódź pięknie ozaglowaną.

— To oni zarobili na trzy łodzie, w jeden dzień, a są przecież jeszcze dziećmi — ucieszył się stary.

— Ale są obeznani z rybołówstwem — Kostecki pochwalił synów przyjaciela.

— Łowiłem sześćdziesiąt lat łososie, ale jeszcze na raz tyle, i to na łodzi, nie złowiłem. Jak tylko pozdrowię, bo coś trochę niedomagam, przyjadę do ciebie na Hel

i zastawię sobie sieci z wnukami. Naczelnny redaktor "Gazety Grudziądzkiej", Roinuald Wasilewski, jeszcze za czasów zaborów pruskich mówił, że w takiej Polsce będzie dopiero dobrze, która będzie ludowa. Miał rację.

— Ojciec twój ma dobrą pamięć — powiedział Kostecki, gdy się pożegnali z seniorem rybaków. — Pamięta Wasilewskiego.

— Ten wielki działacz ludowy, redaktor "Gazety Grudziądzkiej", bojownik o polskość tej ziemi i o

prawo ludu — rzekł Rybakowski ■— zasłużył sobie na to, by nasi ludzie o nim pamiętali.

— Gdzie teraz idziemy? — zapytał Kostecki.

— Wstąpimy, Józek, do Tony Mrocha, jestem ciekaw, jak teraz sobie radzi.

Tona szybko zapalił światło i poprosił gości, by usiedli na ławie przy piecu.

— Ale dobrześ mu wrzucił — rzekł Kostecki, dotykając kafli.

— To żona pali. Teraz nie potrzebuje chodzić po drzewo do miososzyńskiego lasu, jest za co kupić węgiel.

— Az karznią żona jeszcze chodzi? — zapytał Rybakowski.

— Też coś! Kto by teraz z karznią chodził! Kupcy

i spółdzielnie przyjadą po ryby aż na sam strąd, pieniądze pobiera się w soboty.

— Widzę, że wam Polska Ludowa nakryła stół — powiedział Kostecki.

— Takich czasów nie pamiętam. Ryb jest w bród, zbyt dobry, bez chleba nie będziemy.

— A jak tam waszemu Piotrowi idzie? — zapytał Rybakowski.

— Jak się stanie z dziada pan, to jest diabeł sam — odrzekł Tona. — Nie zna biednego ojca ani matki. Bawi się, pije, rozpycha łokciami. Meble ponemieckie od szabrowników kupuje. Trzysta tysięcy za nie dał. A długu fca kuter nie spłaca, podatków nie reguluje. Jak długo to się mu będzie udawać? Agata nie lepsza. Jak suknię sobie kupiła, to jej przez te koronkowe dziury całe biusty widać. Obraza boska i tyle. Tylko Janka, mojego wnuka, rozpiją, a to dobry chłopak, tylko trzeba mu trochę nauki.

— Ty jeszcze wciąż mówisz o tej nauce! — wrzasnęła Weronika na Tonę. — Piotr się nie uczył, a ma pieniędzy w bród! Grunt że tych pasibrzuchów Hanemanna i Rodenhakera nie ma. Jak oni tu byli, to nie była tu żadna Polska!

— Jeszcze sobie zażejemy — rzekł Tona, gdy goście odchodzili.

— Pewnie teraz zechcesz zejść do Piotra Mrocha i przemówić mu do rozumu — rzekł Kostecki, kiedy znów znaleźli się na drodze.

— Na wiele to nasze mówienie się nie zda, ale chodźmy — zgodził się Rybakowski.

— Agata, dajno nam wódki i coś do wódki — zawołał Piotr, gdy zobaczył dobrych znajomych.

— Widzę, że jesteś gościnnie — rzekł Józef.

— Tak, dresze, żeby nie było, ale jest.

— Widzę też, że urządziłeś się po pańsku — ciągnął dalej Józef, spoglądając na nowe meble w pokoju.

— Tak, dresze, teraz my sobie dobrze żyjemy. Kupiliśmy nowe meble, jadalnię i sypialnię. Pieniądzy mamy dosyć, a ryby w morzu są.

— Cieszę się, że wam dobrze idzie — odezwał się Rybakowski. — Od kogo kupiliście meble?

— Przyjechał tu ze Starzyna jakiś elegancki pan. Dobry człowiek, postawił cały litr i rzekł: Mam piękne meble na sprzedaż. O, takie wysokie. Z pięknie szlifowanym szkłem.

— Wypij ta, chłopie — Agata postawiła na stole butelkę wódki i zakąskę.

— Na zdrowie nowych panów — zażartował Kostecki.

— Jo, jo, jo — roześmiała się Agata — starych nie ma, za to są nowi.

— Jak ten człowiek się nazywał, co te meble u niego kupiłeś? — dopytywał się Rybakowski.

— Nazywał się Heine. Moja białka jak postyszała

o tych meblach, zaraz do mnie mówi: jo, chłopie, takie meble chcę mieć. Jeśli są wysokie i z pięknie szlifowanym szkłem, to je sobie kupimy — rzekłem. Niech kosztują, co chcą.

— I ile żeście za nie zapłacili? — pytał Rybakowski,

—> Heine jak zaczął liczyć, to naliczył sto dwadzieścia tysięcy.

— Jo, jo. Sto dwadzieścia tysięcy — wtrąciła Agata. — Ale piękne.

— Gdy je zobaczyłem, to pomyślałem sobie, że i graf z Krokowa piękniejszych nie miał — zaśmiał się triumfalnie Piotr. — Ale pijcie, dresze. Za pomyślność — wychylił kieliszek nie czekając na gości, — Gdyśmy już je wstawili, wtedy Heine rzekł, że ma jeszcze piękną sypialnię, tylko droga: sto osiemdziesiąt tysięcy.

— Ty im, chłopie, wszystkiego nie opowiadaj, tylko pokaż te nasze meble — przerwała gospodyni.

Piotr wprowadził gości do pokoju, który nie był już chyba od dwudziestu lat malowany, ale za to tak zastawiony meblami, że nie można się było w nim poruszyć.

— Te były droższe, kosztowały sto osiemdziesiąt tysięcy — wyjaśnił gościom Mroch.

— Za wiele zapłaciłeś, Piotrze — odezwał się Rybakowski spojrzawszy na olbrzymią szafę z

lustrem i rozłożyste, nie pierwszej nowości łożka.

— Wcale nie za wiele, bo w nich się miękko śpi — oburzyła się Agata.

Goście nic nie rzekli.

— Pokażę wam jeszcze sukienkę, którą mi Heine przyniósł — mówiła dalej Agata. — Jesteśmy na Sylwestra zaproszeni do Gdyni, sam Strumski, nasz kupiec, nas zaprosił. Zresztą był zobowiązany, bo ile my mu dorsza sprzedali! — pochwaliła się rybaczką.

Wyciągnęła z szafy czarną koronkową sukienkę.

— Patrzcie, jaka ładna, kosztowała sześćdziesiąt tysięcy, ale Heine mówił, że będę lepiej wyglądać od księdza gospodyni.

— Czy ta sukienka nie jest szanownej pani za ciasna? zauważył Kostecki.

— Trochę jest obcisła. Mój mąż śmiał się ze mnie, że przez te dziurki będzie trochę biusty widać, ale Heine mówił, że najlepsze damy takie sukienki noszą.

— Nie znasz przypadkiem tego Heinego? — zapytał Kostecki Rybakowskiego.

— Ależ znam go, przed wojną nosił jakieś inne nazwisko, był sługusem hitlerowców. Miałem go w czasie okupacji na oku. Dziwię się, że nie siedzi.

— Czy ty, Piotrze, zgłosiłeś deklarację podatkową od dochodu? — zapytał Józef Mrocha.

— Co za deklarację? — oburzył się Piotr. — Co za podatki? Nie wiem, kto taką rzecz wymyślił!

— To jest twoim obowiązkiem. Widzisz, wyrzucasz gwałtem pieniądze, dajesz je szabrownikowi, byłemu hitlerowcowi za skradzione graty, a podatków nie płacisz. To się może skończyć niedobrze.

— Nie były skradzione, Heine mówił, że to są jego meble!

— On cię oszukał, chłopie. Przeplaciłeś za nie strasznie. Trzeba było zamówić sobie meble u Barana w Redzie, tak jak ja to zrobiłem. Za komplet do sypialni, jadalni i kuchni zapłaciłem razem osiemdziesiąt tysięcy. A ty za takie przestarzałe graty dałeś trzysta tysięcy! Możesz się dowiedzieć u tego stolarza, ile naprawdę kosztują takie meble. Heine to zwykły złodziej. Takich jak on, zwie się szabrownikami. Ogłupi rybaków i czmychnie za Łabę, a ty będziesz jeszcze raz płacił za meble. Przecież nie kupiłeś ich od prawowitego właściciela.

— Teraz już przestań! — rzekł Mroch. — Wódka zakręciła ci w głowie. '

— Za sukienkę żony zapłaciłeś tyle, co w państwowym interesie kosztują trzy garnitury męskie z setki — dodał Kostecki.

— Co ty gadasz, takiej sukienki nikt nie ma! — oburzyła się Agata. — Moja matka powiedziała,

że nawet . miosroszyńskie “frelny” nie mogły sobie na taką pozwolić.

— Piotrze, zajrzyj sobie w sumienie i idź wpłacić choć trochę za kuter — radził Rybakowski — inaczej ci go odbiorą. I złoż deklarację na podatki, bo jak zaczną ściągać zaległości, to wtedy zbankrutujesz.

— Chceme le so wepic! I nie opowiadajta mi bajek

o bankructwie — rzekł Piotr i trącił w szkło.

— Chowaj się, braciszku, dobrze i opamiętaj się — rzekł Kostecki, gdy wychodzili od Piotra Mrocha.

— Takich jak Piotr i na Helu nie brakuje — mówił Rybakowski do Kosteckiego. — Musimy koniecznie pośpieszyć się z tą świetlicą. Trzeba pokazać chłopom, że są przyjemniejsze i pożyteczniejsze sposoby spędzania czasu niż picie wódki.

Następnego dnia prezes rybaków zwołał zebranie, aby wyłonić komitet budowy świetlicy. Wszli do niego między innymi Kostecki, Konkol i “Ameryka”. Dostali trochę pieniędzy z Inspektoratu, pewną sumę uzyskali ze składek i robota przy urządzaniu świetlicy ruszyła na całego. W przeddzień otwarcia włamał się do niej właściciel restauracji “Laleczka”, oblał ściany oraz portrety dostojników państwa wściekając się, że świetlica odbierze mu klientów. Ale szynkarz nie tylko stracił pijaków, miał jeszcze za to sprawę w sądzie.

Zima tego roku nie była ciężka. Rybacy wyjeżdżali na łososie przez cały czas. Starsi mówili, że łososia tyle, co śledzi w beczce. Nie było też dnia łowczego, żeby kutry, których w Helu znajdowało się cztery, nie przywiozły pełnych ładunków dorsza. Wiosną przy cyplu helskim aż się mrowiło od łososia. W tych dniach przybyło piętnaście kutrów z UNRRA.

— W Zatoce Gdańskiej obecnie łowi już więcej kutrów niż przed wojną — cieszył się Rybakowski. — Mam nadzieję, że niedługo wszyscy rybacy znajdą zajęcie na kutrach, bo na stocznjach zakładają już stępki pod nowe jednostki.

— Żeby się twoje słowa spełniły — rzekł Kostecki. — Nie ma co, Gust — trzeba teraz pomyśleć, jak tu na Hel sprowadzić lekarza.

— Myślałem już o tym, Józefie. Ale nikt z nas rybaków prywatnych nie jest w stanie sprowadzić na Półwysep Helski lekarza, bo tu potrzebne narzędzia, no, i pomieszczenie. Może byśmy tak spróbowali urządzić rybacką spółdzielnię zdrowia. Są już takie dwie w Polsce, a w Jugosławii, słyszałem, jest ich moc.

— Żebyśmy tylko znaleźli udziałowców — powątpiewał Kostecki.

— Znajdziemy. Dobra sprawa zawsze znajdzie grunt pod nogami — zapewniał Rybakowski. — Trzeba tylko

zwołać zebranie organizacyjne. Wybierzemy radę nadzorczą i zarząd.

— A kogo masz na oku na przewodniczącego rady nadzorczej?

— Leona Budzisz, “Amerykę”, on miał zawsze ducha spółdzielczego.

Następnej niedzieli zebrało się około stu rybaków.

Na zebranie przyszli też przedstawiciele rybołówstwa morskiego, powiatu, gminnej rady oraz morskiego ośrodka zdrowia. Władze spółdzielni zostały wybrane, statut uchwalony, a ówczesny Urząd Rybacki poparł z wielkim Entuzjazmem inicjatywę rybaków helskich. Rybacy hurmem wykupywali udziały.

— Co to znaczy, Gust, poderwać rybaków! — cieszył się Kostecki.

W ciągu roku powstał w Helu ośrodek zdrowia, w którym urządzono gabinet lekarski i gabinet dentystyczny. Rybacy patrzyli z zadowoleniem na utworzone dzieło. Leczono ich prawie za darmo. Tylko o dwieście tysięcy ówczesnych złotych poprosił zarząd spółdzielni władze rybackie. Spółdzielnia istniała cztery lata. Dopiero, gdy jej inicjatorzy przeprowadzili się do Władysławowa, spółdzielnia została oddana władzom powiatowym bez długów i z pewnym kontem w banku.

Coraz więcej kutrów zawijało do portów rybackich rozległego polskiego wybrzeża. Porty jeden za drugim powstawały z gruzów, ożywiały się. Wioski na Półwyspie Helskim odbudowywały się, w samym Władysławowie w ciągu trzech lat wolności wyrosło aż czterdzieści nowych domków wybudowanych przez rybaków.

Rozdział IX

W roku 1947, rok obfitych połowów i tęgiej zimy, kiedy to cała Zatoka Gdańska pokryła się k Alu szeroką taflą lodową, w której utknęło wiele statków handlowych. Kutry jak stanęły w porcie od 7 lutego, to wznowiły połowy dopiero 20 marca, gdy w przeddzień lodołamacz szwedzki wynajęty przez rybaków uutorował drogę do portu helskiego.

W 1947 roku powstało w Gdyni kierowane przez Hebla i Szuchiewicza państwowe przedsiębiorstwo połowowe “Arka”. Wielu rybaków przystąpiło do gdyńskiej “Arki” jako szyprowie: Augustyn Kreft — senior rybacki z Rewy wraz z synami, Józef Glembin — nieustraszony rybak z Jastarni, Hubert Konkol — dzielny patriota i rybak, młody Franciszek Borna z Rewy, Albin Konkol — bojownik o wolność i demokrację z czasów okupacji, Jan Mroch — syn Piotra, któremu Morska Centrala Zaopa-, trzenia miała zabrać kuter na licytację za niespłacenie długów.

Kutry “Arki” uprawiały na razie połowy na Głębi Gdańskiej, wysłano też pięć zespołów kutrów na przebadanie dalszych łowisk bałtyckich. Najlepsze rezultaty próbnych połowów osiągnięto na Ławicy Środkowej, Rynnie Słupskiej i Głębi, Bornholmskiej. Wkrótce się jednak przekonano, że Bałtyk dla polskich kutrów staje się za ciasny. “Arka” postanowiła wysłać pierwszy zespół kutrów na próbne połowy śledzia na Morze Północne. W skład zespołu wchodził jeden dwudziestoczworometrowy superkuter drewniano-stalowej konstrukcji i dwa stalowe siedemnastometrowe kutry zbudowane już po wojnie. Szyprem jednego kutra był Józef Glembin mający za sobą kilka kursów rybackich i praktykę na Lofotach, szyprem drugiego — doskonały rybak

LecK Jakubowski. Kierownictwo zespołu powierzone Hubertowi Konkolowi, który zwrócił na siebie uwagę dyirekcji w czasie próbnych połów na Bałtyku.

Wśród załogi superkutra “Wła 23”, gdzie szyprem był Konkol, znalazł się Jan Mroch. Kierownik zespołu niemało miał kłopotu z młodym Mrochem, który podobnie jak jego ojciec, Piotr, nie stronił od wódki. W dzień wyjazdu na morze Hubert Konkol stracił parę godzin, nim odnalazł z Albinem Jana w portowej knajpie śpiewającego pieśni o “okrutnej obojętności w krąg”.

— Człowiecze, ceż ty robisz? — oburzył się Konkol zobaczywszy smętnego pieśniarza. — Tylko na ciebie czekamy.

— “Nikt nie jest sobą, czas rządzi tobą” — mamrotał pijany Mroch.

— Wódka rządzi tobą, a nie czas! — zagniewał się Konkol. — Zbieraj się zaraz, jeśli chcesz z nami płynąć.

Gdy zbliżali się już do portu, zobaczyli przed sobą jakąś młodą kobietę.

— Obejdźmy ją, bo przyniesie nam nieszczęście — zawołał Jan. I obszedł dziewczynę wielkim kręgiem. — Nie powinniśmy dziś wypływać — zaczął, gdy się już zrównał z Hubertem i Albinem. — Spotkać kobietę przed wypłynięciem na połów, to wielki pech! Lepiej zaczekajmy do jutra. Może spotkamy pierwszego chłopca i zapewnimy sobie dobry połów. Tak mówiła moja babka i ja w to wierzę.

— To są zabobony — wzruszył ramionami Hubert. — Chłop ci nie da ryb, jeśli sam nie będziesz umiał ich złowić.

Gdy zespół trzech kutrów minął helski cypel, zerwał się zachodni wiatr. Kuter zaczął się kiwać. Hubert co chwila oglądał się za resztą zespołu.

— Świateł na morzu, jak gwiazd na niebie! — zauważył Mroch.

— Jesteśmy już na trawersie Ustki — rzekł Hubert. — To kutry Ustki i Darłowa.

— Przepływałem tu z ojcem przed wojną, kiedy te ziemie były jeszcze pod zaborem niemieckim, ale tylu kutrów tu nie widziałem — dodał Janek.

— Tutejsze porty szybko się ożywiły. Pierwsi przybyli tu rybacy z Kaszub. Oni byli pionierami. Polska Ludowa dba o kształcenie rybaków i o to, żeby mieli odpowiednie warunki do pracy, stąd tyle nowych szyprów i tyle nowych kutrów.

O świcie dopłynęli na łowisko bornholmskie.

— I tu same polskie kutry — rzekł Albin. — Polska eksploatuje cały południowy Bałtyk.

— Bałtyk południowy to nasze morze — odezwał się Hubert — choć mogą łowić i inne narody.

— Pewno, że mogą — dodał Mroch — bo mój dziadek mówi zawsze: nie ma nad zgodę.

Zespół kutrów płynął między Bornholmem i Chris- tianso.

— Znam tę wyspę z opowiadania. Mój ojciec błdził tu przed wojną na kutrze — przypomniał sobie Mroch.

Minęli latarniowiec “Gedser”, a potem latarnie Hylle- krog i Marienleuchte.

— Niedługo będziemy w Zatoce Kilońskiej — powie

dział Hubert oparty o stół nawigacyjny i wpatrzony w mapę odcinka morskiego, na którym się obecnie znajdowali.

— Jak kapitan może wiedzieć z tego papieru, że już jesteśmy w Kilonii? — zapytał Mroch.

— Od pytania i uczenia to jest szkoła — zaśmiał się Albin. — Zapisz się, chłopie, na kurs nawigacyjny, to nie będziesz błdził jak twój ojciec.

Ciemno już było, kiedy wpłynęli do Holtenau.

— Co to za kutry? — zapytał w służbie jeden z niemieckich cumowników swego towarzysza.

— Polen — rzekł krótko ten drugi.

— Jeszcze nigdy nie widziałem tu polskich kutrów — zdziwił się Niemiec.

— Jeszcze nieraz będziemy tędy przepływać — rzekł Hubert po niemiecku, żeby tamci zrozumieli.

Gdy wpłynęli do kanału w Brunsbüttel, postanowili nie brać pilota.

— Przeprowadzę nasze kutry sam — rzekł Hubert do Albina.

Na maszcie ostrzegawczym w Brunsbüttel wisiał trójkąt wierzchołkiem do góry.

Przy ujściu Łaby z pogodą było jeszcze jako tako. W Cuxhaven, dokąd zawinęli po ropę i świeżą wodę, również wisiał ostrzegawczy sygnał.

— Jest w tej chwili odpływ. Będziemy mieli ułatwiony wyjazd, musimy podpłynąć do Helgolandu.

Ledwie szyprowie porozumieli się z kierownikiem zespołu, gdy runął huragan. Fala szybko wzrosła. “Wła 23” przez dziób nabierał ogromne masy wody.

— Czego leżysz?! Wstawaj! Może cię fala zmyć z pokładu! — krzyknął Albin na leżącego za sterówką, zupełnie obojętnego Mrocha.

— Nie trzeba było wypływać, gdyśmy spotkali kobietę! Jest mi wszystko jedno, czy mnie fala zmyje z dziobu, czy z rufy. I tak z tego piekła nie wyjdziemy. Widzisz, jak morze ryczy!

— Co ty gadasz? — oburzył się Albin — toć to była młoda i ładna dziewczyna, nawet uśmiechnęła się do ciebie bardzo mile.

Mroch zerwał się na nogi.

— Mówisz, że ładna i młoda?

8 — W pogoni za ławicami

113

— Tak, ładna i młoda — odrzekł. — Popatrzyła na ciebie z politowaniem.

— Dlaczego z politowaniem? Chyba nie zrobiłem nic złego?

— Przecież widziała, że obchodziłeś ją z daleka, jak diabeł niewinną duszę.

— Obchodziłem ją, bo nie chciałem sztormu!

— No, i co ci z tego? I tak nas spotkał sztorm.

— Uważajcie na resztę kutrów zespołu! — Hubert ryknął ze sterówki przez tubę.

— Jeden z nich zawrócił w kierunku Cuxhaven — odkrzyknął Albin — drugi płynie za nami!

— To Glembin — rzekł Hubert. — Patrzcie jak go sztorm stawia na sztorc, może go przewrócić przez rufę.

— Siedemnastki są na tutejsze morza i sztormy za krótkie. Trzeba o tym powiedzieć dyrektorowi. Nasz su- perkuter trzyma się dobrze, tylko trochę za wiele wody bierze na dziób.

— Na takiej fali i pięciotysięcznik nabierałby wody — odrzekł Hubert — ale nasz superkuter jest na takie warunki odpowiedni — dodał. — Krzyknij, Albin, Glembi- nowi, żeby też zawrócił.

— Nie opuszczę naszego zespołu — odpowiedział Glembin na wezwanie Albina.

Obserwowali, jak Glembin raz po raz zapadał w przepaść, by za chwilę znowu wypłynąć na wysoki grzbiet pędzącej fali. Helgolandska latarnia długą smugą świetlną zamiatała wzburzone morze. Fala się jednak nie zmniejszała, tak jak Hubert przepowiadał.

— Glembin zawraca! — krzyknął Albin do Huberta.

— Czy ty, Józef, żyjesz? — wołał Hubert w mikrofon.

— Żyję, żyję, bracie! Ale muszę się poddać. Zawracam! Zawiadomcie o tym “Arkę” w Gdyni.

— A gdzie Mroch? — zwrócił się Hubert do Albina.

T- Jest jeszcze tutaj i knuje zemstę na kobietę, którąś-

my spotkali. Według niego to ona spowodowała sztorm — odrzekł Albin.

— To raczej tamta jest winna, która podawała mu wódkę w “Bristolu” — rzekł Hubert.

— Co kapitan powiedział? — zapytał zaciekawiony Janek Albina.

— Nie słyszałeś?

— Nie, bo akurat w tej chwili bałwan mi ryczał koło ucha.

— To ta kobieta spowodowała sztorm, która ci podawała wódkę w knajpie, gdzie śpiewałeś wronie nieszpory.

— Kapitan chyba prawdę mówi. Więcej nie wezmę kieliszka do ust, pójdę na kurs i będę się uczył, bylebym jeszcze raz nogą stanął na lądzie.

— Chodź do środka, bo zamarzniesz na pokładzie — rzekł Hubert.

— Nie będę więcej pił wódki z kobietami — zaklinał się Mroch.

— Ale tamtej, którą spotkaliśmy przed wypłynięciem, też nie obchodź. To sieciarka, uczciwie zarabia na życie swoje i matki.

— Może ją spotkam — rozmarzył się Janek — to ją przeproszę. Ty się śmiejesz, ale to była, jak Albin mówił, ładna dziewczyna.

— A ty sam na nią nie spojrzełeś? — zapytał Albin.

Powoli mijał pochmurny i sztormisty dzień. Samotny

kuter walczył z rozszalałym morzem. Hubert zrobił przed wieczorem namiary i stwierdził, że odpłynęli dopiero około siedemdziesiąt mil na zachód od Helgolandu. Cały czas utrzymywali łączność z Gdynią przez dalmorowski trałowiec, który sztormował niedaleko nich.

— Walczymy ze strasznym sztormem — nadawał Hubert. — Dwie mniejsze jednostki zawróciły i są w drodze do Gdyni.

Następnego dnia fala się nieco uspokoiła, ale wiatr dalej dął z tego samego kierunku.

— Podpłynęliśmy pod Grimsby. Łąd blisko, dlatego fala się zmniejszyła. Przyszykować się do wyrzucenia włoka — rozkazał Hubert załodze.

Ciągnęli przez jakiś czas, ale przekonali się, że z siecią jest coś nie w porządku. Liny stalowe raz po raz się naprężyły i podnosiły, potem znowu opadały.

— Coś haczy na dnie, no, i nasze deski rozporowe są za lekkie — rzekł Albin.

Wybrali włok z powrotem.

— Trzeba wracać — zdecydował Hubert — brak nam odpowiedniego sprzętu.

— Więc nasz przyjazd był chybiony — triumfował Mroch — od razu mówiłem...

— Wcale nie chybiony. Stwierdziliśmy, że taki kuter jak nasz jest odpowiedni na te wody i że sprzęt musimy mieć inny. W przyszłym roku znowu się tu zjawimy.

— Teraz, dresze, idę się zapisać na kurs — rzekł Janek Mroch, gdy przycumowali do mola.

Przyjmą czy nie przyjmą? — usiłował wróżyć sobie po spotkanych kobietach. Nagle ujrzał młodą, smukłą dziewczynę przed sobą.

Czy to znowu pech? To ta sama! Hubert wprawdzie mówił, że to głupstwo, a on jest przecież mądry człowiek. Taki sztorm przetrzymał i szczęśliwie doprowadził nas do kraju — szybko przelatowały mu myśli przez głowę.

Dostrzegł uśmiech na twarzy nieznajomej.

Było, nie było. Podejdę do niej — zdecydował.

— Pani dokąd? — zapytał nieśmiało.

— Wracam z pracy — odrzekła dziewczyna. —■ A pan? — dodała po chwili.

— Na kurs szyperski — odrzekł młody rybak i wyprostował się dumnie.

— To się chwali. Chce pan być szyprem? Na takim kutrze jakim wypływaliście na Morze Północne?

— Chciałbym bardzo, tylko nie wiem, czy to mi się uda.

Janek spojrzał na dziewczynę. Uśmiechnęła się do niego.

- — Widziałam, jakeście wypływali na kutrze "Wła 23". Jak się udało?

— To był połów próbny. Badaliśmy sprzęt i przydatność naszych kutrów. W przyszłości będziemy tam wypływać. Spotkał nas bardzo silny sztorm, ale wróciliśmy szczęśliwie. U nas się mówi, że spotkana przed połowem kobieta przynosi pecha. Przekonałem się, że to nieprawda.

— A więc nie przyniosłam wam pecha? — zaśmiała się dziewczyna.

— Nie, nie — zaprzeczył gorąco Janek. — Przeciwnie. Przynosi pani szczęście — rzekł i westchnął.

— Mówił pan, że właśnie idzie pan się zapisać na kurs szyprów.

— Tak, tylko nie wiem, gdzie się ten kurs odbywa.

— Zaprowadzę pana — zaproponowała dziewczyna — kurs jest na Grabówku, w Szkole Morskiej.

— Na pewno? — powątpiewał Janek.

— Na pewno, mieszkam w hotelu robotniczym “Arki”, a chłopcy z hotelu tam właśnie chodzą na kursy.

— Zna ich pani?

— Znam.

— A stamtąd nie wybrała sobie pani żadnego? — zainteresował się Janek.

— Nie starczyło dla mnie! Przyszli szyprowie są rozchwytywani.

— Nie mogą nam kutra zabrać — zapewniał Piotr Mroch.

— Nie zabraliby wam, gdybyś spłacał zadłużenie, a tak państwo ma do niego prawo. Tak wynika z tego pisma — tłumaczył Tona swemu synowi Piotrowi.

— Nie odbiorą, tylko straszą, aby im pieniądze dać — oponował Piotr.

— Sprawa jest poważna — zmarszczył czoło Tona. — Jak masz pieniądze, to choć część zapłać, a na resztę wystaw weksle, bo na takie warunki M.C.Z. się zgodzi.

— Gwiżdżę na nich. Niech M.C.Z. poczeka, aż nadejdą lepsze czasy.

— Już lepszych czasów się nie doczekasz, jak były w ostatnich latach: tyle ryb i wszystkie się sprzedało.

— O, idzie nenka — zawołał Piotr — ona będzie innego zdania jak tatk.

— Janek zamknięty! — wrzasnęła Weronika od drzwi.

— Jak to zamknięty? Gdzie zamknięty? — zdumiała się Agata, żona Piotra.

— W Gdyni!

— Za co? Kto mówił? — poderwał się Piotr.

— Mówił mi rybak z Władysławowa, gdy kupowałam płótno żaglowe. A za co? Kto to może wiedzieć.

— Nie może to być — zaczęła lamentować Agata.

— Może być, bo tak jest. A jest za jego sprawą — Weronika wskazała na męża. — Ty, stary, do

grzechu go namawiałeś, żeby szedł do “Arki”, żeby zapisał się na kurs, żeby został szyprem. Teraz masz. Masz kurs. Masz szypra.

Tona milczał.

— Zgnoją mi chłopca w więzieniu — rozpaczała Agata.

>— Mogą mnie kuter odebrać, ale syna nie dam wykończyć! — zawołał Piotr.

— Musicie zabrać pieniądze i zaraz jechać do Gdyni — radziła Weronika. — Tam, komu trzeba, kilka kawałków podsuniecie i wydostaniecie chłopca z więzienia. Sama bym jechała, ale nie mam teraz czasu, muszę iść do Strzelna, żeby tam to płótno, com je kupiła, sprzedać.

— Co ty, białko! Żaglowym płótnem handlujesz?

— Kupiłam i sprzedam, bo na tym można zarobić.

— Ale nie masz prawa handlować, mogą ciebie za to zamknąć.

— Ty mnie nie potrzebujesz uczyć, wy star czy, że Janka uczyłeś. Ja mam swój rozum. Pieniądz jest pieniądz, kto go ma, wszystko sobie załatwi.

— Nenka ma prawdę — przytaknął Piotr. — Pieniądz jest pieniądz, załatwi nim się wszystko. Weźmiemy dziesięć kawałków, pojedziemy do Gdyni i Janka z więzienia wydostaniemy.

— Czy on w ogóle siedzi? — powątpiewał Tona. — To mogą być tylko plotki.

— Ten rybak by kłamał? — oburzyła się Weronika.

— Nie ma co, chłopie, weźmiemy dziesięć tysięcy i pojedziemy do Gdyni — powiedziała Agata.

— Mało, białko, weźmiemy piętnaście kawałków. Żeby nie było, ale są.

— A jak ja sprzedam płótno, to wam dopożyczę — odezwała się Weronika.

Piotr i Agata pojechali do Gdyni. Wysiedli na dworcu i stanęli bezradnie, nie wiedząc dokąd iść.

— Kogo by tu zapytać, gdzie tu zamykają ludzi? — zastanawiała się głośno Agata.

— Czekaj, białko, może nam się ktoś trafi, kto będzie wiedział.

— O co państwu chodzi? — zagadnął Mrochów młody, przystojny mężczyzna w kapeluszu, z płaszczem na ręku.

— Panie, może pan wie, gdzie tu w Gdyni zamykają ludzi? Syna naszego zamknęli. Rybaka. Chcielibyśmy mu coś pomóc, może by się go udało wydostać — wyjaśnił całą sprawę Piotr.

— Proszę państwa — odrzekł nieznajomy — mam w Gdyni brata prokuratora. Z nim by się dało

sprawę obrobić, tylko że to by was trochę kosztowało.

— A pan by mógł nam pomóc u brata? — zapytał nieśmiało Piotr.

— Niech kosztuje, co chce, pieniądze mamy ze sobą — dodała szybko Agata, bojąc się, że młody człowiek nie zechce zająć się ich sprawą.

— Kogoś zamknąć do więzienia to łatwa sprawa, ale wydostać gorzej — rzekł nieznajomy. — Z moim bratem prokuratorem to bajka, ale gorzej z sędzią: i temu trzeba będzie większą gotówkę podsunąć.

— A ile by tak było potrzeba?

— Pogadam z nim, to może się zgodzi na dziesięć kawałków.

— Jaki pan jest miłosierny — wychwalała nieznajomego Agata. — Niech panu Bóg wynagrodzi.

— A i my za taką przysługę odwdzięczymy się panu — dodał Piotr. — Drugie dziesięć kawałków będzie dla pana.

— Ludzie muszą sobie pomagać — rzekł z powagą nieznajomy zagarniając niespracowaną ręką plik pięćsetek.

— A kiedy pan nam syna przyprowadzi? — dopytywała się Agata.

— Przyjdźcie w czwartek rano o godzinie dziewiątej, tutaj na to miejsce, to przyprowadzą wam syna.

— Jeszcze jedno chciałem zapytać pana — zagadnął nieznajomego Piotr. — Pan długo w Gdyni mieszka?

— O jeszcze przed wojną tu mieszkałem. Sam nawet pracuję w branży rybackiej, jestem dyrektorem sieciami.

— To pan znał może Jana Nadolskiego i Feliksa Wesserlinga?

— Dlaczego bym nie miał znać, przecież to sławni rybacy.

— Teraz widzę, że pan prawdę mówi.

— Ja bym miał nie mówić prawdy? — oburzył się młody człowiek. — Przekona się pan o mojej uczciwości w czwartek, kiedy tu przyjdę z waszym synem.

— Tylko taki może nam pomóc — rzekł Piotr, kiedy nieznajomy pożegnawszy się z nimi zniknął w tłumie.

Zadowoleni wrócili do domu.

— Czy znaleźliście Janka? — zapytał Tona następnego ranka syna.

— Wszystko załatwione. W czwartek rano Janek będzie już w domu — odpowiedział Piotr. — To nas koszt

towało dwadzieścia kawałków, ale wiemy, że odzyskamy syna.

— Komu wpłaciłeś te pieniądze?

— Jednemu panu, który ma brata prokuratora i zna sędziego.

— Jak się nazywał ten, komu dałeś te pieniądze? — zaniepokoił się Tona.

— Agata, jak się ten pan nazywał, co Janka przyprowadzi?

— On chyba rzekł. Czy ty nie pamiętasz?

— Nie pamiętam.

— Ja też nie wiem.

Oj, ludzie, jacy wy jesteście naiwni. Lepiej żebyś wpłacił te pieniądze do M.C.Z. na poczet długu. Wstyd mi za ciebie, synu, że tak postąpiłeś.

— Co ojciec wygaduje?! — wrzasnęła Agata. — Tamten człowiek tak uczciwie wyglądał. Janka na pewno nam przyprowadzi.

— Ale kto on jest?

— Dyrektor sieciami — odpowiedziała Agata — i ma brata prokuratora.

— A ja wam powiem, że to zwyczajny złodziejaszek.

— Ojciec nie rozumie — oburzył się Piotr. — Ten człowiek za dobrze wyglądał, żeby słowa nie dotrzymał. W czwartek Janek będzie w domu. Na to konto sobie wypijemy.

Tona smutny wracał do domu.

Głupi ten mój syn, a i Agata nie mądrzejsza. Aż wstyd przed ludźmi — myślał. — Wnuk mi się wprawdzie udał, ale i jego mogą zmarnować, jeśli się chłopak nie weźmie do nauki.

W czwartek długo stali Mrochowie na gdyńskim dworcu. Zegar dworcowy wskazywał już dwunastą, a dyrektor sieciami nie pojawiał się jakoś. Ani z Jankiem, ani sam. Agata była tak zajęta dociekaniem: przyprowadzi czy nie przyprowadzi, że nawet nie zgodziła się na wróżbę cyganki, która podeszła do niej.

— Może ojciec miał rację, że pieniądze wziął i tyle go zobaczymy — zaczęła powoli trzeźwieć

Agata.

— Znajdziemy go — rzekł Piotr. — Powiedział, że jest dyrektorem sieciami, pójdziemy tam i znajdziemy.

Na ulicy Waszyngtona Piotr wskazał czerwony dom.

— Ty poczekaś tu na mnie — zwrócił się do Agaty — a ja wejdę do środka.

Na próżno jednak wypytywał o młodego przystojnego dyrektora. Nikt tu oczywiście nie znał takiego. Piotr wrócił do żony.

— Białko, to je kant — rzekł patrząc na nią, jakby się dopiero przebudził.

Gdy szli ze spuszczoneymi głowami ulicą Star o wiejską ku dworcowi, nagle przed nimi stanął Janek.

— Jednak ów człowiek mu pomógł — rzekła Agata, zażawionymi oczyma patrząc na syna.

— Wypuścili ciebie? — zawołał Piotr.

— Skąd wypuścili? — zdziwił się młody Mroch.

— Z więzienia.

— Z jakiego więzienia? Przecież nie byłem w więzieniu. Kto wam głupstw naopowiadał?

— Mówiła twoja babcia, synku, że siedziałeś. My daliśmy jednemu panu dwadzieścia tysięcy złotych, żeby ciebie wypuścili — powiedziała Agata.

— Przecież wiecie, że chodzę tu na kurs szyprów. Za co mieliby mnie zamykać?

— Twój dziadek też mówił, że to plotka — westchnęła Agata. — Ale babcia mówiła, żeby cię ratować.

— Trzeba było słuchać dziadka. On zawsze mądrze radzi.

Janek pożegnał się z rodzicami, bo spieszył się na zajęcia. Mrochowie powlekli się na dworzec.

— Maryja, Józef, tyle pieniędzy po prostu w ogień wrzucić! — lamentowała przez całą drogę Agata.

— Cicho, białko, cicho, bo ludzie na nas patrzą — uspokajał Piotr żonę.

Gdy wysiedli z pociągu, poszli od razu do Weroniki i Tony.

— Co z Jankiem? — zapytała Weronika syna.

— Jest na wolności.

— Widzisz, chłopie, pieniądze nie poszły na marne —■ wrzasnęła Szczuka na Tonę.

— Jakby je w ogień rzucił — podniosła znów lament Agata. — Janek nie był zamknięty, · trzeba było ojca słuchać, bo jest mądry człowiek.

Rozdział X

H» rzez cały Wielki Tydzień wiał silny wiatr za-

■^jjgchodni. Helscy rybacy obiecywali sobie dobre

■Ul połowy łososia, nie mogli jednak z powodu wia- tru wypłynąć na morze. Dopiero wieczorem w Wielką Sobotę wiatr ustał. Na Zatoce Gdańskiej zrobiła się głada. Pierwszego dnia Wielkanocy wiatr jeszcze raz ruszył i dmuchał do samego wieczora. Potem ucichł. W drugi dzień Wielkanocy Kazimierz, najstarszy syn Augustyna Rybakowskiego, poszedł do portu.

— Byłem aż przy latarni wjazdowej — mówił po powrocie. — Na morzu głada jak lustro. Tylko od czasu do czasu pojawiają się pluski na wodzie, a w promieniach słońca błyszczą skaczące łososie.

— Dzisiejszej nocy złapałoby się łososia, ale załoga rozjechała się do domu — rzekł ojciec. — A łososie nie mają dzwonek, trzeba czuwać.

— My wypłyniemy z tatusiem, potrafimy zastawić sieci — rzekł najmłodszy syn Rybakowskiego, Zygmunt, który liczył sobie dopiero dwanaście lat.

· — Młodzi jesteście, to dla was za ciężkie.

— Podołamy — odezwali się Kazik i Janek jednocześnie.

— Ale nas WOP nie odmelduje — rzekł RybakowskiL

— Niech się tylko tatuś zgodzi, a ja resztę załatwię — prosił Kazik.

Rybakowski jeszcze się wahał.

— Dobrze — zgodził się wreszcie. — Poproście mamę, niech nam uszykuje prowiant na nocny połów.

Chłopcy aż podskoczyli z radości.

— Tak mnie prosili, że musiałem się zgodzić — usprawiedliwiał się potem Rybakowski przed żoną. —* Zresztą Kazik to już doświadczony rybak.

Rzeczywiście, najstarszy syn Augustyna Rybakowskiego, choć miał dopiero siedemnaście lat, ukończył już kurs nawigacyjny na Helu i kurs motorniczy w Gdyni i jako mechanik pływał od dwóch lat na ojcowskim kutrze.

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy ojciec z synami udał się na kuter. Kazik po drodze wszedł do strażnicy WOP-u.

— Kuter “Hel 3” wypływa na nocny połów łososia. Załoga: Rybakowski August, Rybakowski Bernard, Rybakowski Kazimierz, Borowik Stanisław i Konkol Kazimierz — powiedział Kazik bez zająknięcia.

— Co to, załoga nie rozjechała się na święta? — zapytał żołnierz, bo znał ludzi z kutra “Hel 3”.

— Nie pojechali, bo łosoś nie ma dzwonek. Czuwają.

— No, dobrze, życzę dobrych połowów.

— W porządku? — zapytał ojciec, gdy syn wrócił na kuter.

— W porządku — rzekł Kazik.

— To zapuść motor. Cumy zrzucić!

Płynęli kursem w kierunku Śpiewowa do Wisłoujścia. Rybakowski spodziewał się, że po kilku dniach wiatru powinna tam się pojawić ławica łososia. Biały kuter szybko zbliżał się do Wisłoujścia. Chłopcy przygotowywali na pokładzie latarnie naftowe do oświetlania sieci, gdy naraz najstarszy syn spojrzął za burtę i krzyknął:

— Tu jest jakaś zielona woda!

— To tu nie możemy zastawiać — odpowiedział ojciec, kierując kuter ku Wisłoujściu.

— Teraz tu ciemna woda — zakrzyknął znów Kazimierz.

— Dobrze, jesteśmy na miejscu. Zastawimy, gdzie ciemna woda. Tu będzie łosoś.

— Dlaczego w zielonej wodzie nie ma łososia? — zapytał Janek.

— Bo tam jest tylko plankton roślinny, nie ma zwierzęcego. A gdzie nie ma planktonu zwierzęcego, nie ma ani szprot, ani śledzia. Bo pokarmem tych ryb jest plankton zwierzęcy. Musicie zaś wiedzieć, że śledź i szprot są pokarmem łososia.

— Teraz rozumiem — powiedział Kazimierz.

— Przed zielonkawą wodą ostrzegał mnie nieboszczyk Franciszek Gojka i wasz dziadek — dodał Rybakowski. — Tylko że oni jeszcze nie znali przyczyny tego zjawiska.

— Ale w tej czarnej wodzie żadnych raczków nie widać — dziwił się Janek patrząc w wiadro z zaczerpniętą wodą.

— To są zwierzątka gołym okiem ledwo dostrzegalne. Dopiero wieczorem plankton zwierzęcy

wypłynie pod powierzchnię, a za nim śledź ze szprotem i łoś. —

Chłopcy wypuścili na linie bojkę, do niej przywiązali pierwszą sieć łośosową. Kiedy przywiązali dziesięć sieci, zarzucili bojkę z chorągiewką. Dzięki niej łatwo byłoby znaleźć sieci, gdyby przeciął je przejeżdżający statek. Teraz zastawili następną dziesiątkę. Po piątej dziesiątce zastawili bojkę z latarnią, a potem następną pięćdziesiątkę. Na koniec zarzucili bojkę z latarnią i przywiązali do niej linkę przymocowaną do dziobu kutra.

— Nie zauważyliśmy, żeby jakiś łoś wyskoczył z wody — mówił Kazimierz.

— Są teraz na dnie. Musimy czekać, aż się ściemni. A teraz idźcie, chłopcy, do kubryku i zróbcie sobie przyzwoitą kolację. Zasłużyliście na to. Łososie będą, bo one w tym miejscu muszą być. Słyszałem od starych rybaków, że po sztormach łoś się tu gromadzi.

Chłopcy weszli do kubryku, a Rybakowski zapalił przepisowe światła na kutrze i pilnie obserwował, jak dryfują pławnice. Wiedział, że tu przy ujściu Wisły powstają wiry prądu, które by mogły poplątać sieci.

— Teraz tata niech idzie coś zjeść, a ja będę uważał na sieci — rzekł Kazimierz wróciwszy na pokład.

— Te trzy światła rzędem, to są nasze sieci — rzekł ojciec. — Tamto migające światło to latarnia w Nowym Porcie, a daleko na północy to latarnia helska. Posuwające się światło to statek płynący do Gdańska. Ten nam nie zagraża.

— Taki długi płot sieci w wodzie. Chyba złapiemy w niego kilka pięknych łośosi — cieszył się Kazimierz.

Ojciec wszedł do kubryku. Synowie mieli zastawiony stół jak u mamy w domu.

— Teraz się połóżcie, jesteście zmęczeni — radził ojciec.

— Niech tata nam powie, dlaczego tu akurat mają być łośosie? — zapytał Janek. — Bo ja wiem ze szkoły, a i w tych książkach, które tata przyniósł od profesora Mańkowskiego, wyczytałem, że łoś wchodzi do rzeki i mętne wody nic mu nie przeszkadzają. A tu miałyby stanąć przed wiślaną wodą? Wiadomo przecież, że gdy przebija się w rwących strumieniach, przeskakuje tamy, groble i inne przeszkody, by dojść do celu. To i morski prąd nie mógłby nim kierować.

— Słusznie — odrzekł ojciec. — Morski prąd kieruje nie łośosiem, tylko planktonem, który zepchnął aż tutaj.

Za owym planktonem ciągnął szprot i śledź, bo to prawdziwe morskie ryby, nie znoszą rzecznej wody. No, a za śledziem i szprotem przybył łoś.

— Teraz rozumiem — rzekł Janek.

— Dobrze, synku, że cię tak te rzeczy ciekawią — ucieszył się Rybakowski. — Musisz iść do

liceum ogólnokształcącego, a potem jeszcze dalej. Może w przyszłości będziesz mógł badać morze i uczyć innych rybaków, gdzie lepiej jest łowić — rozmarzył się. — Gdybyś poszedł na ichtiologię, byłoby ci nawet łatwiej niż innym, bo będziesz znał praktycznie rybołówstwo.

— Ciekaw jestem, czy nam już jakiś łosoś wszedł do sieci — odezwał się najmłodszy syn, Zygmunt, chłopak rostry, bardzo pracowity i zdradzający duże zdolności rybackie. — Może byśmy kawałek pociągnęli i zobaczyli?

— Teraz idźcie już spać — zdecydował ojciec. — A jutro rano się przekonacie, czy trafiliśmy na dobre łowisko.

Chłopcy posłusznie ułożyli się do snu. Rybakowski wyszedł na pokład.

— Jak tam? — zapytał najstarszego syna.

— Nasze latarnie świecą, ten statek wszedł do Gdańska, a poza tym nic nie widać. Trzymałem cały czas za linę od pławnic, by wyczuć, czy łosoś nie szarpie się w sieciach, ale nic.

— Idź, Kazik, spać. Jutro rano się dowiemy, jak z łososiami będzie w sieciach.

— Żeby choć dziesięć było, bo jak nie, to wujek Bernard, pan Borowik i Kazik Konkol będą się z nas śmiać — rzekł Kazik schodząc do kubryku.

Rybakowski sam został w sterówce. Wpatrywał się w szeroką płaszczyznę morza, czy się nie pokaże jakieś światełko statku na trasie Piława — Nowy Port, gdzie "Hel 3" dryfował z długim szeregiem pławnic. Ale morze było czyste. Nocnej ciszy nie zakłócał najmniejszy plusk fal. Gdy wzeszedł księżyc, Rybakowski zauważył, że wschodnie skrzydło sieci zaczęło dryfować na środek pławnicy.

— Poplączą się — mruknął szyper. — Chłopcy, wstawać! — krzyknął wchodząc do kubryku. — Musimy zdjąć sieci, bo nam zdryfują i poplączą się.

— Będą już w nich łososie? — zapytał Zygmunt.

— Na pewno — odrzekł ojciec.

Chłopcy poderwali się natychmiast. Wciągnęli boję z latarnią, a potem zaczęli wciągać pławnice.

— Nie ma nic! — zawołał Janek, kiedy wciągnął pierwszą sieć.

Ruszył słaby wiaterek. Rybakowski musiał uruchomić motor, by podjeżdżać do sieci.

— Nie ma nic! — krzyknął znów Janek, gdy już pierwsza dziesiątka była wciągnięta.

— Nie krzycz, bo jeden się bieleje — skarcił Kazik młodszego brata. — Ty byś chciał, żeby w każdym oczku łosoś się uczepił. Przecież łososi nie ma tyle co śledzi. Dobra ryba, ma z piętnaście kilogramów.

— Co to jest jedna ryba na tyle pracy — skrzywił się Janek.

Nagle przy końcu czwartej dziesiątki ukazał się znów okazały łosoś.

— Może te sieci zostawimy do rana, to jeszcze jakiś łosoś wejdzie — zauważył Zygmunt. — Z dwoma wracać, to wstyd.

— Tak — rzekł ojciec, wyłączył śrubę i podszedł na dziób do synów. — Miałem raz takie zdarzenie: Zastawialiśmy koło Rozewia obok wujka Franciszka. Przejeżdżał koło nas wracając do portu. Słońce już weszło. Mówił nam, że przez całą noc złapał siedem łososi. A my dopiero zaczęliśmy zdejmować swoje. Zebraliśmy wtedy sześćdziesiąt cztery. Okazałe. Jeden w jeden. Byłem przekonany, że te łososie weszły w sieci dopiero nad ranem. On miał więcej sieci od nas, to musiałby mieć i więcej łososi, ale zdejmował po ciemku. Wyśpijcie się, chłopcy. Obudzę was, kiedy wzejdzie słońce. Niebo czyste, bezchmurne, będzie ciepła pogoda.

Chłopcy szybko wypuścili bojkę z latarnią, kuter uwiązali za dziób i weszli do kubryku.

Wiatr znów całkiem ustał i zrobiła się glada. Rybakowski wszedł do kubryku, rozpałił ogień, by synowie nie marzli.

Że też tak mało łososia. Taki korzystny wiatr, a w czterdziestu pławnicach tylko dwa łososie — głowił się. — Zobaczymy, co będzie rano.

Księżycowa noc mijała bardzo wolno. Pławnice resztę nocy dryfowały pięknie rozwinięte. Gdy świtało, Rybakowski stwierdził, że prąd morza ciągnął z zachodu na

wschód, bo Swibno pozostało daleko na zachodzie. Weszło słońce srebrząc morze swymi promieniami. Rybakowski wyszedł na pokład, przeciągnął kości, ziewnął, naraz usłyszał pisk mewy nad pławnicami. Podszedł szybko do dziobu. Oczom nie chciał uwierzyć. W pierwszej pławnicy bielity się trzy okazałe łososie. Nad dalszymi sieciami zbierały się chmary piszczących mew. Jak daleko mógł sięgnąć okiem, widział w pławnicach uwięzione łososie. Na niektórych odcinkach pływaki były zanurzone w wodzie. W tych miejscach musiało być dużo ryb.

— Chłopcy, wstawać! Pławnice toną z łososiami! — krzyknął wpadając do kubryku.

— Czy my je dostaniemy? — zatroszczył się Janek.

— Dostaniemy. Jest cisza.

Chłopcy wybiegli na pokład. Wciągnęli szybko bojkę, a potem pierwszą dziesiątkę pławnic z łososiami.

— Wspaniałe łososie! — cieszył się Janek. — Mniejszego jak dziesięć kilo nie ma.

Kazik z ojcem wciągnęli ciężkie sieci, a Janek z Zygmuntem składali je na kupę z zaplątanymi rybami.

— Całe szczęście, że nie ma wiatru — mówił ojciec.

— W tych sieciach są większe łososie — zauważył Kazimierz, kiedy wciągali ostatnie dwie dziesiątki.

— Bo w tych sieciach są większe oczka — wyjaśnił ojciec. — Tamte sieci miały po dziewięćdziesiąt milimetrów rozpiętości od węzła do węzła, a te po sto.

— A dlaczego tatuś wszystkich takich rzadkich pławnic nie kupuje? — zapytał Kazik.

— Bo trafiają się ławice łososia o mniejszych rozmiarach, w rzadkie by się tylu nie złowiło. Duńscy rybacy i Szwedzi mają jeszcze mniejsze oczka, po sześćdziesiąt milimetrów.

— To jest rabunkowe rybołówstwo — oburzył się Kazimierz.

Najlepiej się spisała ostatnia dziesiątka pławnic. W tej jednej dziesiątce Kazimierz naliczył aż sześćdziesiąt łososi. A w jednej pławnicy, która zatopiła boję z latarnią, aż szesnaście.

— Całe szczęście, że nie było wiatru — odetchnął ojciec, gdy wszystkie sieci były już na pokładzie. — Policzcie, ile mamy wszystkich łososi.

Chłopcy rzucili się do liczenia.

— Dwieście sześć — zawołał pierwszy Janek.

— Nie — zaprotestował Zygmunt. — Jest sto dziewięćdziesiąt sześć sztuk. Liczyłem dokładnie.

— Może się pomyliłem — zgodził się Janek.

— Czy tatuś miał już kiedy taki połów łososia? — zaciekawił się Kazik.

— Nigdy jeszcze nie złowiłem naraz tylu sztuk. Ale słyszałem od starego Franciszka Gojki, który już dawno nie żyje, że miał tyle łososia. To się działo przy Helu. Naliczył wtedy sto dwadzieścia sztuk, a miał tylko sześćdziesiąt pławnic.

— Ale my też mieliśmy tylko sześćdziesiąt pławnic, bo resztę zdjęliśmy nocą — rzekł Zygmunt.

— To my mamy połów większy niż ktokolwiek. Takiego nawet najstarsi rybacy nie pamiętają — ucieszył się Janek. — Tatuś nas dobrze zaprowadził.

— Łososie nie mają dzwonek — dorzucił Kazimierz — trzeba czuwać.

— Tak, trzeba czuwać przy połowach łososia — potwierdził ojciec. — Chłopcy, połóżcie się teraz spać, a łososie wypłacze załoga, chyba już po świętach wróciła.

— Ja położę się koło tej góry łososi — rzekł Zygmunt.

— Ja nie jestem gorszy — zawołał Janek.

— Ja też nie — powiedział Kazik.

— Jest ciepło, możecie tu spać — zgodził się ojciec.

Była absolutna cisza, gdy bielusieńki kuter “Hel 3”

pruł w kierunku Helu. Chmara mew, widząc na pokładzie bielejące ryby, ciągnęła za kutrem. Latarnia Hel zbliżała się szybko. Przed wjazdem do portu Rybakowski obudził synów. Chłopcy przeciągnęli się.

— Na przystani stoi porucznik WOP-u z dwoma żołnierzami — zauważył Janek.

— Porucznik się ucieszy, że mamy tyle łososia — rzekł najmłodszy syn.

— A może was każe zamknąć — straszył Kazik — bo nie macie kart rybackich.

— To ciebie, bo ty odmeldowałeś — zawołał Janek.

— Nikogo nie zamkną — uspokoił ich ojciec — takich rybaków jak wy, co tyle łososia potrafią złowić, nikt nie zamyka.

Gdy kuter “Hel 3” dobijał do przystani, porucznik spojrział na olbrzymią kupę łososi.

— Ile żeście złowili? — zapytał.

— Sto dziewięćdziesiąt sześć sztuk.

— Toście dzisiaj państwu przysporzyli wiele dewiz, bo łososia wysyłamy za granicę.

— Cieszę się z tego, panie poruczniku — odpowiedział Bybakowski.

— A młoda załoga dobrze się spisała?

— Dobrze, to ich zasługa, oni mnie namówili do wypłynięcia na połów, gdyż prawdziwa załoga rozjechała się na święta. Ale pan nam wybaczy takie małe przestępstwo.

— Co z wami robić — zaśmiał się porucznik. — Poprawimy w liście, że wypłynęli z ojcem.

— Za ten dzisiejszy zarobek prawie dom się pobuduje — rzekł ojciec do synów.

— A ile przed wojną tata by za to dostał? — zaciekawił się Kazik.

— Nie pamiętam, żeby kiedy kto taki połów łososia zrobił, a gdy ktoś złowił większą ilość, to cena zaraz spadała.

Rybakowskiemu tego roku udał się jeszcze niejeden obfity połów. Cena na łososia się utrzymała.

Starczyło Rybakowskiemu na uregulowanie wszystkich wydatków kutrowych, wniósł jeszcze pokaźną sumę na konto Spółdzielni Zdrowia w Helu, a najstarszemu synowi kupił parcelę. Była to pamiętna wiosna 1948 roku, wiosna olbrzymich połowów.

Rozdział XI

kilku godzin wiała norda — dziewiątka. Załoga kutra “Wła 23” spieszyła z wciąganiem wło- by zawrócić do portu władysławowskiego. Nareszcie! — cieszył się Piotr Mroch, który wypłynął na kutrze Huberta Konkola zamiast swego syna Jana, gdyż ten zamustrował jako szyper na spółdzielczy kuter.

Hubert, szyper kutra “Wła 23”, wszedł właśnie do sterówki.

— Steruj zyd zyd-ost — rzekł do Piotra stojącego przy sterze i włączył radioodbiornik.

9 — W pogoni za ławicami

129

Wśród trzasków i gwizdów usłyszeli słowa: — “Michał Siedlecki”. Tu kuter badawczy “Michał Siedlecki”. Mówi kapitan Lipski. Potrzebujemy pomocy! Włok wkręcił się w śrubę, motor stanął, ster nieczynny. Wieje sztorm z północy, fala ogromna, rzuca bezwładnym kutrem. Mamy straszne przechyły. Może nas rzucić na wschodni brzeg Bałtyku i tam nas rozbić. Ratujcie, koledzy! Nasza pozycja: 18°5' długość, 56°9' szerokość. Kto nas słyszy, niech przyjdzie z pomocą. Statek badawczy “Michał Siedlecki” wzywa pomocy!

— “Michał Siedlecki”. “Michał Siedlecki”. Tu “Wła 23”. Tu “Wła 23”. Czy nas słyszycie? Czy nas słyszycie? — zawołał Hubert.

— Słyszemy was — rozległ się głos w aparacie.

— Płyniemy do was. Czekajcie, jesteśmy na Ławicy Środkowej, dzieli nas przeszło sto mil. Jesteście od nas na północno-wschodnim kursie.

— Co ty mówisz? Pójdziemy z pomocą przeszło sto mil w takim sztormie i przy takiej fali?! — przeraził się Piotr.

— Cicho, przecież ciebie słyszą — rzekł Hubert i wyłączył nadajnik. — Mamy obowiązek iść mu z pomocą, rozumiesz? Na tym kutrze jest liczna załoga i naukowcy badający morze.

— Badają morze — mruknął Piotr. — Przecież każdy wie, że woda jest mokra, po co aż tam popłynęli. Zresztą czy my sami jesteśmy na morzu? Dlaczego inni nie idą im na ratunek?

— Może ci inni są tak koleżeńscy jak ty — wtrącił Albin Konkol.

Hubert pochylił się nad mapą.

— Dokładnie sto mil dzieli nas od “Siedleckiego”. Jutro rano o dziesiątej będziemy przy nim. Steruj kursem nord-ost.

— Maryja, Józef! Nord-ost to akuratnie rowem. Przewróci nas fala.

Hubert ^twierdził dokładną pozycję kutra i wywołał znów “Michała Siedleckiego”.

— “Michał Siedlecki”. Tu “Wła 23”, tu “Wła 23”, przechodzę na odbiór.

— “Wła 23”. “Wła 23”. Tu mówi “Michał Siedlecki”. Słyszemy was dobrze. Odbiór.

— Płyniemy do was. Kurs nasz jest dokładnie czterdzieści dwa stopnie w waszym kierunku. Dzieli nas sto mil. Jutro o dziesiątej będziemy przy was — mówił Hubert.

— O dziesiątej — zrzędził Piotr. — O dziesiątej nie będzie tam ani ich, ani nas. Neptun przyjmie wszystkich do swego królestwa.

— Uważaj, Piotrze, na ster — przerwał mu Albin — bo raz po raz schodzisz z kursu. Chcesz byśmy bładzili i nie znaleźli rozbitków?

— Nie schodzę z kursu, ale kto w takiej fali potrafi sterować?

— Znów, Piotrze, zszedłeś kilka stopni w prawo.

Hubert śledził przez szybę położenie kutra patrząc na

obraną gwiazdę na czystym wschodnim niebie. Dziób kutra odchyłał się od tego kierunku.

— Piotrze, daj no mnie ten ster. Tobie ręce się trzęsą — rzekł zniecierpliwiony Albin Konkol. — Nie martw się, do Neptuna ciebie nie zawieziemy, tylko do Gdyni.

— Tam Piotr będzie mógł iść swoją drogą, bo nikt mu nie będzie wyznaczał kursu — dodał z ironią Hubert.

— Bylebym tylko wrócił do brzegu, to zejdem z tego kurpa i będę na łodzi rybaczył — burknął Piotr i wyszedł trzaskając drzwiami.

— On nawet gotów wywołać bunt na kutrze, byleby nie płynąć kolegom na ratunek — rzekł Hubert po wyjściu Piotra. — Nie znałem tego człowieka przedtem, ale widzę, że to jeden z tych, dla których to, co było przed wojną, zawsze będzie najlepsze. Nawet dorsze były wtedy większe, i fale dłuższe, i lata cieplejsze.

— Ja znam dobrze Piotra i jego matkę — zaczął Albin, ale znów usłyszeli głos z “Michała Siedleckiego”.

— Słyszę was. Słyszę dobrze! — zawołał Hubert. — Płyniemy do was. Płyniemy do was. Rzućcie kotwicę. Opaszcie kuter liną i zróbcie hol, bo wysoka fala może wam wyrwać poler z burtą.

Czekajcie na nas. Czekajcie na nas.

Hubert odłożył słuchawkę.

— Mówiłeś coś o Mrochu — przypomniał Albinowi.

— Chciałem rzec — powiedział Albin — że aż dziw, skąd u niego i jego matki takie chwalenie dawnych czasów. Oni przedtem żyli bardzo biednie. Piotr krowy

u gbura pasał, matka nie puszczała go do szkoły. On ani pisać, ani czytać nie umie.

— Dlatego i wielu spraw nie rozumie — stwierdził Hubert.

— A nie rozumie — przytaknął Albin. — Jak Janek poszedł na kurs szyperski, to Piotr mu powiedział, że dorsz w to nie wchodzi, czy kto ma kurs, czy nie. I tak do sieci włazi.

— Nie wiadomo, czy głupi zawsze znajdzie dorsza w morzu, bo robi go się coraz mniej — rzekł Hubert.

Rozmawiali wpatrzeni przed siebie. Nagle gdzieś daleko rozbłysło białe światło rakiety.

— Wystrzelili z “Michała Siedleckiego” — rzekł Hubert. — Trzeba im odpowiedzieć.

Wyszedł na pokład, by również wystrzelić raketę.

Powoli posuwała się wskazówka zegara. Wicher jęklawie wygrywał swoje melodie na olinowaniu. Niebotyczne fale waliły na “Wła 23”, chcąc go zdruzgotać i zmiażdżyć, ale ten walczył dzielnie. Powoli zaczęło świtać.

— Dresze, daleko przed dziobem widać kuter! — zawołał Albin wpatrujący się w morze.

— To “Michał Siedlecki” — ucieszył się Hubert.

Nagle z kubryku wyszedł Mroch. Udało mu się mimo

prysków wody dojść do sterówki.

— Miałem dziwny sen.

— Pewno przyśniły się tobie krowy? — zażartował Albin.

— Nie krowy. Śniło mi się, że podeszliśmy do jakiegoś kutra, rozbiliśmy się i poszli na dno. Tylko sterówka była szczelna i woda się do nas nie dostała. Gdy, usiedliśmy na dnie, ukazał nam się Neptun i rzekł: “Musicie ten statek opuścić, bo on należy do mnie, a wy pójdziecie na poniewierkę”. Błądziliśmy na dnie morza i nie mogliśmy znaleźć żadnej żywności. Natrafiłem na jakąś błyszczącą rybkę. Okazało się, że to przynęta nadziana na haczyk. Rybak wyciągnął mnie z haczykiem na powierzchnię morza. Co stało się z wami, tego nie wiem, bo się obudziłem.

— Wiedziałeś, kiedy się obudzić — zaśmiał się Albin — inaczej by cię rybak wziął za rybę i usmażył na patelni.

— Nie śmieję się, drehu — rzekł ponuro Piotr. — Moje sny zawsze się spełniają.

— Tym razem się nie spełnią — powiedział Hubert. — Uwiązać koło ratunkowe do rzutki — rozkazał. — Podejdę do nich od strony nawietrznej. Wyrzucicie koło za burzę. Fala zanieś je do nich, wciągną koło na pokład, do rzutki przywiążą hol, wy wciągniecie hol na nasz kuter, założycie go mocno za sterówkę i maszt. Będziemy ich holować do portu.

Rozkaz został wnet wykonany. Albin Konkol wciągnął hol na “Wła 23” i umocował go bezpiecznie.

— Jeszcze, dresze, puścić na środek holu balast, bo< inaczej się lina zerwie — rozkazał Hubert.

Kiedy wszystko już było gotowe, Hubert wykręcił z wiatrem i falą i płynął bezpiecznie z kutrem na holu w kierunku Władysławowa. Rankiem następnego dnia Hubert zatrzymał się z “Michałem Siedleckim” na redzie władysławowskiego portu. Wicher dał wciąż z olbrzymią siłą, a potężne fale biły o falochrony. Kapitan Lipski zatroskany stanął na pokładzie swego statku myśląc, jak go też Hubert wholuje do portu. Teraz bowiem nadeszła najniebezpieczniejsza chwila. Ale Hubert pokazał, co potrafi.

— Hol podciągnąć krócej! — zakomenderował.

Następnie zrobił kilka manewrów. Chciał się przekonać, jak należy ustawić kuter rozbitków, by go fala nie wrzuciła na “Wła 23”. Potem zaczął holować kuter przez ogromny przybój. Gdy był już przy wejściu do portu, zwolnił bieg. Począł, aż “Michał Siedlecki” stanął od strony odwietrznej i od fal, tak że w żaden sposób kuter holowany nie mógł uderzyć swego ratownika. Weszli do portu i przycumowali do przystani. Lipski wbiegł na kuter ratowników i serdecznie uściskał Huberta.

— Ej, Piotrze, czy twoje sny zawsze się spełniają? — zapytał wesoło Hubert.

Ale Piotr zamiast odpowiedzieć na pytanie, krzyknął ze złością:

— Mam tego kutrowego rybaczenia dosyć! Sztorm nie sztorm trzeba wypływać, i jeszcze innych niedołęgów holować. Nie ma nawet czasu w karty zagrać i gardła wypłukać.

Następnego dnia pozatykał w swej starej łodzi szpary pozostałe po letnich upałach. Postarał się w porcie władysławowskim o kilka kilogramów świeżego szprota na przynętę haczykową. Sporządził nowe necki, bo stare jego

białka już dawno wyrzuciła, usiadł przy kominku, pokroił szproty na kawałeczki i natykał je na dorszowe haczyki, które układały równiuteńko.

— Po tej nordzie będzie na każdym haczyku dorsz — obiecywał sobie.

Naraz prześliznął mu się koło nogi szary kot. Piotr szarpnął haczyk, kopnął kota i wrzasnął:

— Bioj, Purtku!

Szarpnął przy tym niemiłosiernie za sznur, na którym w równych odstępach uwiązane były haczyki. Jeden wbił się w pysk kota. Kot miauknął rozpaczliwie i dał susa na kominek pociągając za sobą sznur z haczykami.

— Moje haczyki — krzyknął Piotr i chcąc chwycić za sznur, zaczepił palcem o haczyk, który wrył się mu głęboko aż do kości.

Piotr zerwał się, a wszystkie ułożone haczyki wysypały się na glinianą podłogę. Kot miauczał przeraźliwie. Piotr wył z bólu. Na odgłos tej muzyki przybiegł ojciec, a za nim matka.

— Kota zabić! — krzyczała Weronika. — Dосkoczyła do syna, wyrwała mu hak z palca. — Co z ciebie za ofiara! Dasz kotu ugryźć ryby na haku!

Piotrowi przypomniał się sen, jak to szukał na dnie morza pożywienia i rybak go wyciągnął z toni jak dorsza. Tyle że to kot był owym rybakiem, który Piotrowi się przyśnił.

— Trzeba jodyną nasmarować palec — radził ojciec.

— Nie, bo będzie róża — wrzeszczała matka — złoczyńca uciekł, bo go nie zabiłeś. Teraz trzeba palec zażegnać.

— Białko, zażegnanie nie pomoże, może być zakażenie.

— Wszystko przez to, żeś kota puścił — piekliła się Weronika.

— Haczyki masz już nadziane? — zapytał ojciec.

— Gdzie tam, ten kot przewrócił necki. Z haczyków zrobił się kołtun.

— To muszę sam wypłynąć — rzekł stary rybak.

— Nie będę na łódce rybaczył, zamustruję na kuter. TSTa kutrze rybaczy się lepiej — odgrażał się Piotr.

— Wszędzie dobrze, gdzie ciebie nie ma — mruknął ojciec.

Tona sam ściągnął łódź i zastawił długi rząd haczyków.

Nazajutrz rano, gdy stary rybak podpłynął do zastawionych haczyków, na każdej wędce szarpał się okazały dorsz. Tona wciągnął je do łodzi, która się coraz głębiej zanurzała. Dobił do brzegu, wciągnął nieco dziób łodzi na ląd. Do przystani podjechał ciężarowy samochód ze "Szkunera". Robotnicy przeładunkowi przetwórnicy przynosili skrzynie z dorszem do ciężarówki. Wagowy dał Tonie kwit na pół tony dorsza, bo tyle ważyły jego ryby.

— Co za dobre czasy — dziwił się Tona — przyjadą i dorsze wezmą prosto z łodzi, bez kłopotu.

Dziesiątego pobiorę pieniądze za połów.

Nadeszła żona Tony, Weronika.

— Nic nie złowiłeś? — wrzasnęła na niego.

— Pół tony złowiłem. Jak na taką łódź i na moje własne siły, dobry połów! Szkunerowski samochód zabrał wszystko. Pomyśl, biańko, jakie to teraz czasy. Z karznią nie musisz chodzić. Jak byś zresztą doniosła w karznię pół tony dorsza?

— To więcej jak jedna karznia te twoje pół tony dorsza?

— Przynajmniej mendel karzni, pół tygodnia trzeba by było je nosić.

— A ile “Szkuner” chce zapłacić?

— Zapłaci trzy złote dwadzieścia za kilo, bo taka jest urzędowa cena. Za całość będzie półtora tysiąca. Tyle pieniędzy już dawno w domu nie miałaś. Dziesiątego pójdziesz do “Szkunera” i pobierzesz pieniądze.

— Muszą dać więcej za te dorsze, - przynajmniej półtora- rasta złotych.

— Widzisz, żono, gdybyś umiała liczyć, byłoby lżej i mnie, i tobie. Twojemu synowi też nic nie wpoilaś do głowy. Przez jego głupotę zabrali mu kuter. Teraz się kula z łódki na cudze kutry i z powrotem. Człowiek bez nauki, jak roślina bez słońca — wygarnął nareszcie Tona żonie.

— Gadaj, co chcesz, musisz od tego “Szkunera” dostać co najmniej półtorasta złotych — zrzędziła Weronika.

— Dostaniesz półtora tysiąca złotych, to jest dziesięć razy tyle jak półtorasta. Za półtorasta złotych dostałabyś, na przykład, jednego barana, a za półtora tysiąca dziesięć. Rozumiesz teraz?

— Rozumiem.

— Myślę, że jeszcze dziś podpiszę ze “Szkunierem” umowę, że wszystkie złowione ryby będą im odstawać.

— To zakontraktujesz “Szkunerowi” ryby, które są jeszcze w morzu? — zdziwiła się Weronika.

— Tak jest, zakontraktuję. A gdy je złowię i dostarczę, dostanę pieniądze.

— Teraz rozumiem — powiedziała Weronika. — Jeśli .za dzisiejszy połów masz dostać tyle pieniędzy, żeby za nie aż dziesięć baranów kupić, to dobrze. Żeby tylko nasz Piotr mógł coś zarobić, bo będzie u niego bieda.

— Biańko, choć mu kuter wzięli, mógłby być szyprem na państwowym kutrze, gdyby miał dyplom. Ale on nie skończył szkoły podstawowej ani żadnego kursu, może więc pływać tylko jako młodszy

rybak i musi słuchać innych, a to mu nie w smak, bo kiedyś miał kuter i był szyprem, i wszystkim pokazuje, co to on jest. Gdybym był trochę młodszy, sam bym poszedł na państwowy kuter. Tam w kubryku jak w salonie. Łazienka, książki, radio i co za piękna kuchnia.

— Ty byś z niego uciekł jak ten nasz głupi Piotr.

— Widzisz, sama teraz mówisz, że głupi — rzekł Tona — a zawsze przyznawałaś mu rację, kiedy mówił, że dorsz w to nie wchodzi, czy kto ma kurs, czy nie. I tak do sieci włazi. Ale tak nie jest.

Weronika nic nie odpowiedziała mężowi, tylko westchnęła ciężko.

Rozdział XII

I¹ ■fcS^óżnym latem 1953 roku zespół kutrów arkowskich wypłynął na połowy śledzia na łowiska ■tffl Morza Północnego. Na czele zespołu stał Hubert ■H Konkol. Kutry miały swą bazę przeładunkową w Ijmuiden. Ale połowy na głębokich wodach, gdzie łowili, były marne. Mijały dni, a ładownie arkowskich kutrów świeciły pustkami.

— Morze Północne nie dla nas — mówił Jan Mroch, który był szyprem na jednym z kutrów zespołu, do swojej załogi. — Lepsze wyniki osiągamy na łowiskach bałtyckich. Zapytam Huberta, co tam u niego.

Ale Hubert nie mógł pochwalić się lepszymi wynikami w połowach. Siedź omijał i jego włoki.

— Lada dzień — mówił Hubert przez radio — nadciągnie na Morze Północne “Radunia” i kilka^ innych super- trawlerów, może im się lepiej poszczęści. A jak trafią na żyzne łowiska, to nam pewno o tym powiedzą.

I rzeczywiście, drugiego dnia z rana, gdy Hubert pił akurat herbatę, odezwała się “Radunia”.

— Ławica śledzia na Doggerbanku — mówił Jan Ne- cel. — Ale tu jest wysoka fala.

— To nas nie odstraszy — ucieszył się Hubert. — Zaraz tam do was ruszymy.

Tymczasem “Radunia” zarzuciła drugi zaciąg, a kutry arkowskie wciąż się nie pojawiały. Jan Necel stał w sterówce z lornetką przy oczach wpatrując się w dal, czy gdzieś na horyzoncie ukaże się arkowski zespół, którego się spodziewał z kierunku północnego. Wiała co najmniej siódemka z kierunku zachodniego, więc zespół płynął tak zwanym rowem, była to najgorsza żegluga w tak wzburzonym morzu.

Piętrzące się fale biły o kadłub “Raduni”, w sąsiedztwie pojawiły się trawlerzy należące do “Dalmoru”, ale Huberta Konkola i jego zespołu wciąż nie było.

— Widzisz ich? — zapytał Jana Necla Detlaf, szyper “Raduni”.

— Jeszcze ich nie ma.

— Ściągamy ich tu na swoją biedę — zażartował Detlaf. — Zobaczysz, że nas zawstydzą. ,

— Nie tylko nas — dodał Necel. — Zawstydzą wkrótce Francuzów, Holendrów i Niemców.

— Tutaj kutrom, z ich lekkim sprzętem łowczym, mogą się połowy lepiej udać niż trałowcom — przytaknął Detlaf.

— Ale czemu ich wciąż nie ma?

Zaniepokojony Necel znów przyłożył lornetkę do oczu i wpatrywał się w dal w kierunku północnym. Ale prócz spienionych grzywaczy niczego nie zauważył. Tylko pobliskie trałowce zapadały głęboko między fale, że ledwie było widać czubki kominów i maszty.

— Spróbuj wywołać ich przez radio — poradził Detlaf.

— “Wła 23”. “Wła 23”. Tu “Radunia”. Tu “Radunia”. Czy mnie słyszycie?

— “Radunia”. “Radunia”. Tu “Wła 23”. Tu “Wła 23”. Słyszę was dobrze. Słyszę was dobrze. Idziemy do was. Dzieli nas jeszcze piętnaście mil.

— Jakie dokładne pomiary ma Hubert — pokręcił głową z uznaniem Jan Necel.

Po chwili w aparacie znów odezwał się głos Huberta:

— Już jeden z trałowców widzimy — meldował — to chyba wy.

— To nie my, to “Orion” — wyjaśnił Necel. — Mają dobry zaciąg, bo zbiera się nad nimi chmara mew.

— No, to my chyba też złowimy — ucieszył się Hubert.

— Na pewno. Mamy na “Raduni” dwie tony z jednego zaciągu. Tylko że jest straszny sztorm.

— Sztorm nas nie odstraszy — zapewnił Hubert.

— Trzymajcie się tedy. Czekamy na was.

— Trzymamy się. Płyniemy — zakończył Hubert.

Necel nie odejmował lornetki od oczu. Naraz zawołał:

— Już ich widać. Płyną linią torową jak pancerniki do boju.

— Bo też i płyną na bój. Na podbój śledzia — rzekł Detlaf.

Teraz szyper wziął lornetkę. Na gęstych białych grzywaczach czerniały małe sylwetki kutrów.

Jan Mroch płynący nie opodal kutra Huberta śledził z napięciem zapis echosondy.

— Patrzcie, dresze — zawołał — echosonda pisze grubą ławicę śledzia od dna do powierzchni. Czarną jak smoła. Trzeba zawiadomić kierownika zespołu.

Nim zdążył jednak to uczynić, w aparacie rozległ się podniecony głos Franciszka Borna, drugiego szypra na “Wła 23”.

— Śledzia tu grubo — komunikował Borna. — Zarzucamy.

Zaroiło się na wszystkich kutrach. Włoki ciągniono po głębokim na trzydzieści metrów dnie. Echosondy nieprzerwanie zapisywały szerokie, czarne pasy. Wiatr podarł chmury. Słońce przebijało swe promienie oświecając wzburzone morze. Kutry zaczęły wyciągać włoki.

— Będzie trzydzieści beczek — meldował Hubert Detlafowi.

— Napelnimy przynajmniej czterdzieści — donosił szyper Folwarski.

%

— Liczę, że będzie chyba z trzydzieści pięć — wołał radośnie Jan Mroch.

— A nie mówiłem, że kutry złowią na tych płytkich wodach tyle, jeśli nie więcej, co nasze supertrawlerzy — triumfował Necel.

— Z tego wynikałoby, że powinniśmy budować kutry zamiast tych supertrawlerów — rzekł Detlaf.

— Nie zawsze ławica śledzia będzie koncentrować się; na płytkim Doggerbanku. Gdy ławice przesuną się na głębsze wody, to supertrawlerzy będą górą. Albo gdy tu ryb w ogóle zabraknie, wówczas supertrawlerzy popłyną, na dalsze łowiska. A na kutrach tam nie dopłyniemy.

— Masz rację — przytaknął Detlaf.

— Aby nasz start kutrowy udał się do reszty, należałoby śledzie przeładować na bazę śledziową. Płynąć do Ijmuiden z kilkudziesięcioma beczkami, to bardzo kosztowna sprawa.

— Spróbujmy tedy wywołać bazę — Detlaf podszedł do aparatu.

Ale statek-baza nie mógł przyjąć złowionych przez arkowskie kutry śledzi. Nie miał odpowiednich odbijaczy* fala była ogromna.

— Musimy w przyszłości zastosować odbijacze pływające przy burcie naszego statku. Tak że statek będzie się razem z odbijaczami podnosić na fali, bo na odbijaczach wiszących każda jednostka rybacka się rozbije — wyjaśniał Detlafowi kapitan Gogela.

— Nie taka to łatwa sprawa — rzekł Necel do Detlafa. — Trzeba jeszcze wielu prób, nim połowy na dalekich łowiskach zaczną się opłacać.

— Ktoś kiedyś musi zacząć i przetrzeć drogę — mówił Detlaf wpatrując się w morze.

Wiatr spędził do reszty chmury z błękitnego nieba. Toczące się wysokie fale zaokrąglają się.

— Będziemy wybierać — rozkazał szyper.

Przy “Raduni” zebrała się wielka chmara mew. Śledzia jednak niewiele było w matni.

— Trzy beczki — rzekł Detlaf. — Zobaczymy, co inne trawlerzy złowiły.

Ale inne trawlerzy miały podobne wyniki.

— Nasze kutry znów wybierają — zauważył Necel. — Ciekawe, co oni będą mieć.

Przyłożył lornetkę do oczu i przypatrywał się arkowskim kutrom.

— Mają więcej jak my — rzekł Detlaf patrzący gołym okiem. — Po dwa razy biorą talią na pokład.

Słońce oświecało chmury białych mew i albatrosów, które kołując spadały na wodę i wychwytywały śledzie, gdy tylko który przedostał się przez oczko. Wszystkie kutry jak jeden zarzuciły jeszcze raz. Już słońce zachodziło, gdy kutry wyciągnęły ostatnie tego dnia udane zaciągi. I trawlerzy miały w ostatnich zaciągach zadawalające wyniki. Nie był to jednak koniec pracy. Złowione śledzie należało jeszcze posolić. Na całym nieboskłonie «zaiskrzyły się już gwiazdy, gdy załogi ułożyły ostatnie warstwy śledzi. Przy kolacji gwarzyli o przeżytych sztormie i udanych połowach.

Następnego dnia, gdy Detlaf rano wyszedł na pokład, iala jeszcze toczyła się po morzu, ale błękitnego nieba nie plamiła ani jedna chmurka. Na wschodzie rdzawe słońce wypływało z morza. Detlaf obudził załogę “Raduni”. Po chwili z komina zakopcił się dym, a windy zawarczały. Kotwica poszła w górę. W ślad za “Radunią” zerwały się z drzemki inne polskie jednostki rybackie. Tego dnia połowy były jeszcze wydajniejsze. Po kilku dniach kutry “Arki” odpłynęły do Ijmuiden. Wkrótce potem wróciła do kraju “Radunia”, a wraz z nią pozostałe trawlerzy.

— Zobaczysz — mówił Jan Necel do Detlafa — na drugi* rok połowy na tych łowiskach jeszcze lepiej się nam udadzą. Nasze kutry nie będą musiały zawijać do obcych portów, co przecież jest bardzo kosztowne, tylko będą mogły wyładować swój połów na statek-bazę.

— Nie wiadomo, czy ty lepiej łowisz, czy lepiej przepowiadasz — zażartował Detlaf. — Ale ci wierzę, bo mówiłeś, że kutry będą miały lepszy połów niż my, i tak było. To i z tą bazą masz recht.

Któregoś dnia Jan Mroch po powrocie z Morza Północnego odwiedził swego dziadka Tonę. Stary Mroch siedział akurat na stołku przy oknie i naprawiał sieci, gdy w otwartych drzwiach stanął wnuk.

— Co u was słychać? — pytał Janek przywitawszy się serdecznie.

— Co słychać? Ano, dobrze słychać, knopie — rzekł Tona. — Wszyscy dużo łowią. Wszyscy jak panowie żyją. Samochody wciąż po rybę pod same kutry i łodzie przyjeżdżają. Nawet twoja babka już z karznią nie chodzi. Płacą dobrze. Ludzie parcele kupują. Budują się. Ale ty wracasz z wielkiego świata. Byłeś na Morzu Północnym, w obcych portach. Powiadaj, co widziałeś. Jak tam łowią? Jak

tam żyją?

— Ci znad Morza Północnego, Holendrzy, Francuzi — zaczął Janek — umieją łowić. Rybacki naród. Ale my nie gorzej. Jak zaczęliśmy wyładowywać nasze śledzie, to tylko gały wytrzeszczali, że tak łowić potrafimy. A żyją? Zwyczajnie. Może bogaciej niż my tu. Ale niedługo to i u nas nie będzie gorzej. Lepiej jeszcze. Ja bym tam zresztą nie chciał u nich żyć. Inaczej tam jakoś. Tu to wszystko znajome. I wydmy, i las, i ludzie, i mowa, i port...

— Redlinowi zegarki dawali. Samochód obiecywali i też nie chciał — wtrącił Tona.

— Redlinowi? Kiedy? Kto? — zaciekawiał się Janek.

— Toś nie słyszał, co się działo na kutrze Andrzeja Budzisz?

— Słyszałem co nieco, ale nie tak dokładnie. Niech dziadek opowie — poprosił Janek.

— Andrzej Budzisz — zaczął Tona — ten sam, co to łowił tylko w maszoperii, niby w ówczesnej spółdzielni, złowił raz ze swymi rybakami ponad pięć ton dorsza. Tyle dorsza nie daliby rady wypatroszyć we Władysławowie. Postanowili tedy jechać do Gdyni. Razem z Andrzejem na kutrze pływali: Jan Redlin, masywny siłacz, liczący sobie przeszło trzydzieści lat, Franciszek Gniewkowski i Józef Radkie, wszyscy z Władysławowa.

Gdy dobili do portu gdyńskiego, Budzisz naglił, by szybko wyładować i z powrotem płynąć na żywe łowiska władysławowskie. Była już północ, gdy dostali nowy łód. Budzisz podpłynął do mola odpraw.

— Wszystko w porządku? — zapytał porucznik WOP-u.

— W porządku — odpowiedział Budzisz.

Porucznik WOP-u miał zaufanie do takiego rybaka jak Andrzej Budzisz, toteż nie kazał żołnierzom robić żadnego większego poszukiwania na kutrze. Skończył szybko odprawę i “Gdy 27” odpłynął w kierunku błyszczącej hel

skiej latarni morskiej, by ominąć cypel i płynąć na władysławowskie łowiska. Budzisz sam stał przy sterze, a przy nim potężny Jan Redlin.

— Drehu, będziesz sterował w kierunku władysławowskiego łowiska — rzekł szyper do kolegi.
— Ja przedrzemię się dwie godziny, a potem mnie obudzisz.

— Dobrze, dobrze — rzekł Redlin i wziął ster od szypra.

Andrzej wyszedł ze sterówki na pokład, rozejrzał się po szerokich przestworzach morza i wszedł do kubryku.

Lekkie huśtanie kutra ukołysało wnet spracowanego szypra do snu. Redlin kręcił sterem, by prostym kursem płynąć na łowisko. Był już blisko Helu, gdy nagle usłyszał jakieś kroki na pokładzie.

Otworzył drzwi i zobaczył człowieka ze strzelbą. Redlin pochylił się i zajrzał podejrzanemu w oczy. Za nim stało jeszcze dwóch uzbrojonych w łomy żelazne. Redlin się zorientował, że chcą opanować kuter i czmychnąć na nim za granicę. Nagle rozległ się strzał.

— Zabili Redlina? — przeraził się Janek.

— Nie zabili, tylko zranili, w brzuch — wyjaśnił Tona. — Strzał nie powalił go jednak. Wtedy jeden z piratów podniósł łom i zamierzył się na Redlina. Ale Redlin błyskawicznie zasłonił się ramieniem, a drugiego opryszka uchwycił swoją potężną prawicą za gardło. Herszt wywalił jeszcze raz oślepiający wystrzał w brzuch rybakowi. Redlin poczuł teraz straszny ból, opadły mu ręce. Trzej bandyci spychali go do luku. Wreszcie wepchnęli go do ładowni. Redlin wpadł na lód. Niebawem usłyszał, że motor zaczął ciężko pracować. Ucieszył się, że wnet im stanie i nie dojadą daleko.

— A co z resztą załogi? — zapytał Janek.

— Zanim banda przyszła do sterówki obezwładnić Redlina, zamknęli i zabarykadowali resztę załogi w kubryku.

Redlin usłyszał przez ścianę, jak bandyci usiłovali zapuścić motor. Silnik dwa razy zakaszłał, zaszumiało sprężone powietrze, które w nadmiarze wpuścili do motoru. Motor nie ruszył.

Jeszcze jedna taka próba i motoru nie rozruszają — pomyślał uwięziony rybak. — Koledzy zobaczą nasz dryfujący kuter, przyjdą nam z pomocą.

Choć ranny, choć drętwiał na lodzie, ale był pełen dobrej myśli.

Bandyci zrobili jeszcze kilka prób rozruszania motoru, ale na próżno. Otworzyli więc luk, gdzie siedział zamknięty Redlin.

— Zapuść nam motor — rzekł ostro herszt bandy.

— Nie uruchomię silnika, bo nie jestem motorzystą, obudźcie sobie motorzystę, który śpi w kubryku, on wam uruchomi silnik.

Bandyci odeszli. Za chwilę usłyszał Redlin jakiś hałas w maszynowni, jakieś przekleństwa. Piraci jeden na drugiego zrzucali winę.

Zabierają się już do gardeł — ucieszył się.

Po chwili znów otworzyli luk do więźnia.

— Zabijemy ciebie — krzyczeli — ty potężny smoku, jeśli nam nie uruchomisz motoru.

Redlinowi dokuczał ból postrzelonego brzucha i boku, było mu też okropnie zimno. Rad, że może wyjść z lodowego posłania, wygramolił się i wylazł na pokład, spojrzął na zabarykadowany kubryk i rzekł:

— Tam jest motorzysta, on wam motor uruchomi, ja się na tym nie znam.

Jeden z bandytów podniósł łom, by zadać Redlinowi cios w głowę, ale rybak zdołał się zasłonić.

— Idź zaraz, bo cię wyrzucimy za burtę — groził herszt.

— Dobrze, pójdę — rzekł Redlin i wszedł do maszynowni.

— Prędeż, prędeż! — ponaglał herszt — nie guzdraj się tak!

Zaraz, zaraz — pomyślał sobie Redlin. — Już ja wam motor uszykuję, że go nigdy nie uruchomicie.

Otworzył nieco zawór w butli sprężonego powietrza. Wyszedł z maszynowni, zatarł ręce i rzekł:

— Tu nie da się nic zrobić, trzeba motorzystę obudzić.

Znów jeden z bandytów podniósł łom i zamierzył się na

rybaka, ale herszt go powstrzymał. Bał się, że gdy się rozjaśni, to zjedzie cała masa kutrów i wyprawia im piracki pogrzeb. Mewy będą się z nich śmiały kilka dni. Zaczął prosić rybaka.

— Damy tobie zegarki — mówił niby pokornie.

— Mamy zegar okrętowy — rzekł na to Redlin. — To nam wystarczy. Wasze zegarki nie są mi potrzebne.

— Gdy dopłyniemy do Szwecji, kupimy tobie samochód, dostaniesz dolarów tyle, ile zechcesz, będziesz tam sobie żył jak pan.

— Jest mi dobrze w rodzinnym kraju. Niczego mi nie brak. Od was niczego nie potrzebuję, motoru wam nie mogę zapuścić, uwolnijcie szypra i z nim pomówcie.

Redlin był pewien, że skoro Budzisz wydostanie się na pokład, rozrąbie siekierą łby piratom jak okrężnicy króla Zygmunta Wazy najeżdźcom szwedzkim. Spojrzał po bandytach i w pierwszych brzaskach dnia zauważył w ich oczach trwogę.

Jeszcze trochę poczekajcie, to ja was wypchnę za burtę — pomyślał czując, że wracają mu siły.

W tej chwili rozległ się jakby podwodny huk. Redlin zauważył, że z bulaja kubryku wyleciała rakietą przechodząc nisko nad relingiem. Zatoczyła łuk i wpadła do wody.

— Róbcie, co chcecie, nie jestem motorzystą, motoru wam nie uruchomię — rzekł zdecydowanie rybak. — Nawet nie dopłyniecie za Cypel Helski. Rybacy z całej zatoki zauważyli tę czerwoną raketę i zaraz tu się zjadą, bo już świta. Lepiej zrobicie, gdy zrezygnujecie z ucieczki i oddacie się dobrowolnie w ręce władzy, to wam zmniejszą karę.

— Ty nam chcesz rozkazywać? — rzekł jeden z bandytów i znowu podniósł łom.

Ale Redlin wyciągnął swoje potężne ramię, zasłaniając się od ciosu. W tej chwili wyleciały z dziobu aż trzy czerwone rakiety jedna za drugą.

— Patrzcie, widać światło od Gdańska. To patrolowy statek WOP-u, za kilka minut tu będzie. Widzieli te czerwone rakiety, wiedzą, że tu sprawa z bandytami. Gdy mnie zabijecie, albo, jak mówicie, wyrzucicie za burtę, za kilka dni sami zawiśniecie na szubienicy.

— Za burtę tego smoka i zatopić kuter — rozkazał herszt.

Nagle na dziobie zatrzeszczała przykrywa nadbudówki kubryku. Bandyci zdrętwieli. Drugi potężny rybak, Andrzej Budzisz, wyskoczył na pokład z kaperską siekierą, ale ujrzał, że statek WOP-u był już blisko kutra.

Nie warto rozrąbywać łbów zdrajcom-piratom, i tak dosięgnie ich sprawiedliwość — pomyślał.

Tyle że lunął swoją potężną dłonią w kark herszta. Strzelba wyleciała bandycie z dłoni i runął na burtę. Redlin zbliżył się do pokonanego, ale zwinny bandyta wymknął mu się spod potężnych pięści i z podniesionymi rękami wskoczył na statek WOP-u. Dwóch pozostałych bandytów również wskoczyło na statek WOP-u, chroniąc się przed twardymi dłońmi rybaków.

— A co robił Budzisz i inni rybacy, gdy Redlin siedział w luku? — dopytywał się Janek.

— W czasie gdy bandyci zabarykadowali kubryk i zaryglowali drzwi, szyper z resztą załogi spał snem niewinnych. Usłyszeli intruzów dopiero wtedy, gdy ci wrzucili Redlina do ładowni. Budzisz wyskoczył z koi, chcąc otworzyć kubryk, ale wnet spostrzegł, że są zamknięci.

— Napad, dresze — rzekł do kolegów. — Jacyś bandyci nas zamknęli i obezwładnili Redlina.

Gdy usłyszeli strzały z pistoletów, wiedzieli już, że bandyci są uzbrojeni.

— Dresze, jest siekiera — rzekł Budzisz. — Wyrąbimy dziurę do ładowni i dowiemy się od Jana, ilu bandytów nas napadło i jak są uzbrojeni. Jeśli nie będzie ich więcej jak trzech, czterech, damy im radę, choćby jeden z nich był uzbrojony w broń palną. Tylko trzeba umiejętnie do nich podejść. Wezmę w zanadrze ten długi nóż. Po ciemku przebiję uzbrojonego. Wielu ich nie może być, bo nas by nie zamykali. A ty, Franek, bierz topór. Nie możemy ulec zdrajcom. Tysiąc lat stali nasi przodkowie na straży Wybrzeża. Mój dziadek przewróciłby się w grobie, gdybym wywoził bandytów czy zdrajców naszej ojczyzny za granicę.

Andrzej Budzisz chwycił siekierę, uderzył nią w grube szkło buła ja, szkło się rozprysło.

— Józefie, bierz raketnicę i wal z niej czerwone rakiety — rozkazał szyper Radkiemu.

Rybak chwycił szybko raketnicę leżącą w kubryku na półce, nabił ją nabojem czerwonej rakiety i wysunął przez bułaj.

— Tak wyceluj, żeby rakietka przeszła przez reling, bo nadburcie jest przy oknie.

Radkie przez chwilę mierzył. Rakieta przeszła przez reling, zatoczyła niski łuk.

— Wal zaraz więcej — rozkazał Andrzej.

10 — W pogoni za ławicami

Radkie wystrzelił cztery czerwone rakiety. Budzisz spojrzął na pokład nadbudów^Tki nad kubrykiem:

— Dresze, uda nam się za pomocą siekiery odwalić pokład — rzekł. — Dalej wszyscy!

Podsadził siekiere w spojenie i nacisnął:

— Podnosi się — zauważył Franciszek Gniewkowski.

Reszta załogi podparła ramionami i nakrycie nadbudówki zaczęło wychodzić ze spojeń. Dwaj bandyci, których Budzisz zobaczył teraz przez wąską szczelinę, odskoczyli od kubryku na rufę. Herszt stał w dalszym ciągu koło Redlina, proponując mu coraz większą sumę dolarów. Budzisz zauważył statek patrolowy WOP-u.

— Dalej, dresze, jest ich tylko trzech, nauczymy ich rybaków napadać. Oj ruk, dresze! — zakomenderował.

Z wysiłkiem podnieśli nakrycie kubryku.

Szyper wyskoczył z siekiere w ręce i długim nożem w zanadrzu. Przerażeni bandyci jeden po drugim przeskoczyli na statek WOP-u.

Rybacy z radością ściskali oficera.

Marynarze zabrali Redlina na swoją jednostkę i zabandażowali mu rany.

— Zuch Redlin — powiedział Janek z uznaniem. — Myśleli, że trafili na judasza ojczyzny.

— Całe ich szczęście — rzekł Tona — że statek WOP-u przyjechał, bo Budzisz by tych piratów żywych nie zostawił.

— Więcej warci nie byli jak ścięcia siekiere — powiedział z przekonaniem Janek.

— I ja tak myślę — dodał Tona. — Choć całe życie mówiłem, że nie ma jak zgoda.

— My też mieli przygodę — rzekł Janek przypatrując się, jak kleszcza miga szybko w ręku dziadka. — Nie taką jak Budzisz i jego załoga, bo nikt nas nie napadł, ale stracha to mieliśmy pewno większego niż oni. Myśleliśmy, że już będzie po wis.

— To wtedy, kiedy wypłynęliście na “Gdy 142”? — zaciekawiał się Tona.

— Jo, dziadku.

— Jak się tam znalazłeś? Przecie to je kuter, na którym szyprem był Edward Kreft, z tych słynnych Kreftów z Rewy.

— Kreft na ten połów wziął sobie zwolnienie. Zastąpił

go Franciszek Borna. A Borna mnie domustrował do załogi. Za Helem — ciągnął Janek — zrobiła się wysoka fala, ale niegroźna, bo od rufy.

— “Gdy 142” to siedemnastka? — zapytał Tona.

— Tak, ten kuter ma siedemnaście metrów długości i jest stalowy.

— Bezpieczny — mruknął Tona.

— Sunęliśmy tedy szybko ku północnemu zachodowi. Minęliśmy Rynnę Słupską i znaleźliśmy się na łowisku darłowskim. Mieliśmy już zarzucać włok, gdy nagle motorzysta wyszedł z maszynowni i krzyknął:

— Ksenter od pompy chłodzącej pęknięty! Muszę zatrzymać motor!

— Tego nie da się tu naprawić — rzekł wówczas Borna do motorzysty. — Zatrzymaj motor, a ja dam znać do Gdyni. Potem będziemy prosić o pomoc sąsiednie kutry. Niedaleko stąd musi łowić Hubert Konkol. Weźmie nas na hol i zaciągnie do Gdyni.

Ale okazało się, że mieliśmy wyczerpane akumulatory. Radio nie mogło osiągnąć Gdyni ani żadnego kutra łowiącego w tych okolicach.

Na próżno wysilaliśmy oczy. Prócz kilku mew, które krążyły nad bezwładnym kutrem, niczego nie dostrzegliśmy. Mijała godzina za godziną. Fale biły w żelazny kadłub, który dźwięczał jak’ dzwon. Z kutra utworzyła się jedna bryła lodu. Mieliśmy węgiel, ale nie mieliśmy wiele żywności. Zaczęliśmy się bać, co będzie dalej. Borna wyszedł na pokład, wystrzelił kilka świetlnych rakiet na ratunek. Odpowiedziały mu tylko bryzgi niebotycznych fal. Mróz był srogi i noc wydawała się wiecznością. Borna wciąż próbował wywołać kogoś w radio. Usłyszał w odbiorniku, że ktoś nas woła, ale nie mógł rozeznaczyć, kto i skąd. Nie mógł też sam odpowiedzieć. Bałem się, że fala nas wyrzuci na strąd i zginiemy, Borna jednak pocieszał, że to żelaźniak i fala go nie rozbije.

Nadszedł ranek. Jeść za bardzo nie było co. Przegryźliśmy trochę i dalej czekamy. Nad nami zaczęła się gromadzić chmara mew.

Czyhają na nas, jak na swój łup — pomyślałem sobie. — Widzą, że dla nas nie ma ratunku. Fala zaleje kuter, zmarzniemy na bryłę lodową i pod jej ciężarem pójdziemy na dno.

Nadeszła ciemna noc. Zaczął prószyć gęsty śnieg. Białe płatki latały w świetle lamp pozycyjnych. Borna znowu wystrzelił kilka rakiet, ale nikt się do nas nie zbliżał.

Całą noc fale huštały kutrem. Zaczął się trzeci dzień dryfowania po morzu. Przed południem, gdy śnieżycą ustała, ujrzeliśmy bielejący z daleka kuter. Ucieszyliśmy się niezmiernie. Inny duch w nas

wstąpił.

— To duńczyk — poznał Borna. — Weźmie nas na hol.

Na próżno jednak wpatrywaliśmy się w zbawczy kuter.

Duńczyk nie miał zamiaru podpłynąć do nas, choć Borna kazał wywiesić do pół masztu chorągiew na znak, że potrzebujemy pomocy.

— I nie podpłynął do was? — dopytywał się Tona.

— Ani myślał, choć musiał widzieć nas tak dobrze, jak my jego. Własna skóra była mu droższa. Nie pokwapił się z pomocą.

— Postąpił tedy całkiem inaczej niż nasi rybacy, którzy nie zawahali się narazić swego życia, by ratować innych z niebezpieczeństwa. I to właśnie Duńczyków. Powiem ci, jak to było, kiedy skończysz.

— Niewiele już jest do końca. Duńczyk zostawił nas bez pomocy na sztormowej fali. Noc nadchodziła, gdy ujrzelśmy drugi kuter. Tym razem nasz. Było już zupełnie ciemno, gdy rzucili nam hol.

Jak dobiliśmy do portu, każdy z nas myślał, że wołu zje, tacy byliśmy głodni. A jak to było z tymi Duńczykami, o których dziadek wspominał?

— Działo się to w kilka miesięcy po przygodzie z bandytami, co to chcieli uciekać za granicę — zaczął Tona. — Sztorm był wtedy taki, że schroniło się do nas wiele kutrów. Niemcy, duńczyki, szwedy. Schronił się też we władysławowskim porcie i Budzisz ze swoim kutrem. Morze szalało kilka dni. Czwartego dnia na wzburzonych falach rybacy ujrzeni jakiś kuter. Z jego pokładu unosiły się płomienie i dymy.

— Ten kuter jest w niebezpieczeństwie — rzekł Budzisz do swojej załogi — kieruje się ku wjazdowi. To duński kuter — zawołał po chwili. — Pójdziemy tam, może będzie potrzebował pomocy.

Na wschodnim moło zeszło się wielu rybaków. I naszych, i obcych, którzy tu się schronili przed sztormem. Byli wśród nich i Duńczycy. Wszyscy patrzyli, jak fale

miołały duńskim kutrem. Nagle gdy kuter zrobił zwrot, by wpłynąć do portu, porwał go wysoki grzywacz i wyrzucił na strąd.

— Pewnie im motor nie działał, tak jak nam — wtrącił Janek.

— Zebrani na brzegu patrzyli bezradnie, jak giną ludzie. Nikt nie mógł im pomóc.

Wtedy Budzisz zawołał:

— Uratujemy ich, dresze. Niech się tylko zgłosi kilku łodziowych rybaków. Kto pójdzie ze mną? Na ochotnika!

Akurat nadszedł Kuchnowski. Stary rybak łodziowy, który nieraz przebijał się na łodzi przez przybój, by wypłynąć na morze. Bez wahania dołączył się do Budzisz. Też chciałem iść, ale przede mną zgłosiło się jeszcze dwóch łodziowych i Budzisz rzekł, że dosyć.

Pod komendą Budzisz wypłynęli w przybój. Widok był straszny. Kuter zakrywały wysokie bałwany, a tu z brzegu przebijała się mała, skacząca na fali łupinka z czterema rybakami. Powoli łódź zbliżała się do ginących.

Na kutrze znajdowało się czterech rozbitków. Łódź była za mała, by wziąć wszystkich od razu. Toteż rybacy za pierwszym razem zwieźli tylko połowę załogi, po czym wypłynęli znowu.

Gdy uratowani Duńczycy stanęli na brzegu, uścisnęli z radości ratowników. A wszyscy rybacy, którzy schronili się przed sztormem do naszego portu — było ich ponad stu — wznieśli okrzyk na cześć wybawicieli. Następnego dnia przyjechał do Władysławowa duński konsul, by podziękować naszym rybakom.

— Budzisz postąpił z nimi całkiem inaczej niż tamten kuter z nami — powiedział Janek.

— Budzisz to je prawdziwy bohater słonego żywiołu. Nie on jeden zresztą.

Tona odłożył kleszczkę, bo za oknami zrobiło się całkiem ciemno.

— A może Budzisz ratował tych ludzi, którzy przedtem nam nie udzielili pomocy? — zastanawiał się Janek.

— Jo, to może być — zgodził się Tona.

— To by nawet dobrze było. Nie, dziadku?

— Jo, knopie. To by było dobrze.

Rozdział XIII

J czesnym rankiem 17 stycznia 1955 roku wiał 'tyj lekki wiatr południowo-wschodni,' termometr i vl wskazywał we władysławowskim porcie + 10°C. ®Barometr szybko spadał, a poziom morza gwałtownie wzrastał.

— Nadejdzie z północy sztorm — mówił do swego syna Piotr Mroch, który kilka dni temu zamustrował jako młodszy rybak na kuter, gdzie Jan był szyprem.

— Na maszcie ostrzegawczym nie wisi żaden sygnał — uspokajał ojca Jan. — Sztorm nadejdzie pewno późnym wieczorem. W dodatku jest ojciec na pięknym nowym kutrze. Nie ma co się bać. — Janek skierował kuter do odprawy WOP-u.

— Nie wierzę w te nowoczesne kutry — zrzędził Piotr. — Przedwojenne były lepsze.

— Ale co tata mówi? Przedwojenne kutry są stare i małe.

— Już ty mi nic nie mów! Przed wojną było lepiej. Nie było spółdzielni ani jakiegoś tam planu. Jak ktoś kuter miał, to łowił na nim, kiedy chciał i ile chciał.

— Może było lepiej grafowi z Krokowa i innym jun- krom pruskim, ale nie takim jak my.

Wypłynęli. Morze było spokojne, tylko widoczność słaba. Zrzucili pierwszy zaciąg i ciągnęli w kierunku pół- nocno-zachodnim, dokąd płynęła cała flotylla władysław- wowskich kutrów. Po trzech godzinach wyciągnęli na pokład prawie dwadzieścia skrzyń dorsza. Zrzucili następny zaciąg. Wskazówka zegara okrętowego wskazała już pierwszą, gdy nagle z kubryku wpadł na pokład Piotr. Rozejrzał się dookoła, popatrzył na chmury i wszedł do sterówki.

— Barometr wskazuje ósmą — rzekł dobitnym głosem.

— Od kiedy barometr wskazuje godziny? — zdziwił się Jan.

— Mówię, że wskazówka barometru cofnęła się aż na ósmą. To je znak, że czeka nas nieszczęście.

— Barometr nie określa godzin, tylko ciśnienie baro_r metryczne. Jeśli wskazówka opada, to znaczy, że będzie sztorm.

— Błędzisz, chłopcze! — ryknął ojciec. — Tak mówisz, jakbyś ty tym rozporządzał.

— Niech ojciec się nie gniewa. Niczym nie rozporządzam. Jakby to ode mnie zależało, nie sprowadzałbym na pewno wiatru, ale wiem, jak to się dzieje, bo się o tym uczyłem.

— Że ci uczeni są głupi, to ja wiedziałem, ale że ty dałeś się im obalamucić, tego nie mogę pojąć.

Syn nic nie rzekł na to.

— Jak wrócimy do brzegu, odchodzę z tego kutra — krzyknął Piotr. — Ty masz pomieszane w głowie. Widzę, że w szkole i na tych kursach całkiem ogłupiałeś.

Nagle jakiś kuter zaczął zbliżać się do nich.

— To kuter “Arki” — poznał młody Mroch.

— Zbierajcie sprzęt i wracajcie czym prędzej do portu. Państwowy Instytut Meteorologiczny wzywa wszystkie kutry do portu. Nadchodzi huragan!

Zaskrzypiała winda owijając na bębnie stalowe liny. Ledwo deski rozporowe znalazły się na pokładzie, runął nagle huragan. Śnieg ciął niemiłosiernie. Nad powierzchnią morza unosiły się tumany wodnego pyłu.

— Koniec świata! — lamentował Piotr.

— Szybko wciągać liny i sieć! — krzyknął szyper, manewrując kutrem.

— Urąbimy sieć, niech idzie do diabła! — wrzeszczał Piotr. — Niech idzie do diabła! Panie, ratuj!

— Wciągnąć włok! — rozkazał Jan.

— O! “Wła 24” już sieć urąbał i leci do portu do Helu! — jęczał Piotr.

— Ale my naszą wyciągniemy — spokojnie odparł szyper.

Janek dobrze wymanewrował. Dwaj młodzi rybacy podciągnęli sieć do burty. Wciągnęli włok na pokład.

— W tym zaciągu jest więcej jak tona — rzekł Janek.

— Maryja, Józef, knopi! Utoniemy!

— Ksawer, załóż log, płyniemy do Helu. Przy Władysławowie na pewno wielki przy bój — rzekł Janek. — Za godzinę będziemy przy boi Hel-ost.

— Nie za blisko brzegu, bo dostaniemy się w presk i zginiemy — jęczał Piotr,

Robiło się ciemno. Szyper włączył lampy pozycyjne i zmienił kurs o dziewięćdziesiąt stopni.

— Tu w pobliżu musi być boja.

— O, jest latarnia Szwedzkiej Góry! — nagle zakrzyknął Piotr Mroch. — Jedziemy w strąd! Zginiemy.

— Może to była pława?

— Nie, to Szwedzka Góra. Zawracaj prędko na stary kurs.

— Ksawer, uważaj dobrze, może tu gdzieś zobaczysz światło boi — mówił młody Mroch.

— Nic nie widzę w tumanach śniegu — odpowiedział Ksawery.

— Zawracaj, bo wyskoczę za burtę! — krzyczał Piotr. — Wolę tu utonąć, jak w tym przyboju. Będziecie mnie mieć na sumieniu.

Szyper niechętnie zmienił kurs.

— Wygląda na to, że fala trochę przycicha — rzekł po chwili Ksawery.

— Tak, bo jesteśmy za Cyplem Helskim — potwierdził Janek.

Płynęli tak ze dwadzieścia minut, naraz fala zwięzła się, stała się ostra i krótka i mocno szarpała kutrem.

— Gdzieśmy, dresze, wpłynęli? Już po nas — rozpaczal Piotr.

— Tam, gdzie ojciec chciał. Zawracam na stary kurs nord-west.

— Helską bliżej widać — zakrzyknął nagle Ksawery — a w kierunku północnym jeszcze jedno światełko miga.

— To chyba ta pława, której światło ojciec zauważył. Niech ojciec popatrzy, tam już byliśmy. Gdyby mnie ojciec nie zmusił do zawrócenia, kuter stałby już w porcie.

— Ale nie widzę świateł portowych — martwił się Ksawery.

— Sztorm przerwał pewno przewody i światło wyłączone. Co teraz pocniemy?

Spojrzeni na siebie ze strachem.

Naraz ujrzeli niedaleko, światła jakiegoś kutra.

— Popłyniemy za nim — zdecydował Janek. — To “Wła 51” — rzekł po chwili. — Jego szyper jest na tych wodach jak u siebie w domu. Na pewno znajdzie wjazd.' A my za nim.

*, Wła 51” wprowadził ich wąską rynną między lądem i szeroką płytą lodową, którą wiatr pędził z zatoki z wielką szybkością. Byli bezpieczni.

Kapitan portu władysławowskiego Bernard Hensel od samego rana z troską spoglądał na niebo i morze.

— Nadejdzie sztorm — ostrzegał spotykanych rybaków.

— Na maszcie ostrzegawczym nie ma żadnego sygnału — bagatelizowali jego ostrzeżenie.

Ledwie kapitan wszedł do biura, gdy nagle zadzwonił telefon:

— Nad Darłowem przechodzi huragan — usłyszał głos w aparacie.

Szybko rzucił słuchawkę i pobiegł do radiostacji mieszczącej się na górze w tym samym budynku. “Radio” nadawał właśnie ostrzeżenie o gwałtownym sztormie.

— Niech pan natychmiast wezwie wszystkie kutry do portu — polecił kapitan. — Nadciąga huragan.

Dochodziła godzina druga.

Żeby przynajmniej dwie godziny huragan się wstrzymał, wówczas wszystkie kutry zdążyłyby się schronić w porcie — myślał z niepokojem.

Podszedł do okna.

Co to? — zdziwił się patrząc na szybkie wiry chmur, -p- Wygląda, jakby z północy nadchodził tajfun.

Nagle za oknami zawył huragan. Gęsta śnieżycy zakryła cały świat. Kapitan podniósł słuchawkę telefonu. Na próżno jednak raz po raz dzwonił do Helu dopytując się, czy któryś z władysławowskich kutrów tam nie zawinął. Żadnej pocieszającej wieści nie mógł przekazać rodzinom rybaków walczących na swych wątych łupinach z rozszalałym morskim żywiołem. Tymczasem pod kapitanatem portu rósł tłum lamentujących matek, żon, dzieci.

Ściemniło się. Huragan trzymał się w dalszym ciągu. Siła wiatru dochodziła do trzydziestu dziewięciu metrów na sekundę. Fale unosiły się na kilkanaście metrów ponad falochrony. Jak okiem sięgnąć, bielił się przybój. Do helskiego portu nie wpłynął jeszcze żaden kuter. Na ratunek rybakom wyszło ratownictwo i flotylla wojenna.

Kapitan Hensel znów sięgał po słuchawkę telefonu, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

— Proszę — zawołał głośno.

W progu stanął Tona Mroch.

— Mój wnuk i syn wypłynęli na kutrze “Wła 82” — podniósł na Hensla zatrwożone oczy.

— Jeszcze nic nie wiem — rozłożył bezradnie ręce kapitan.

— Z tego huraganu połowa kutrów nie wróci — mówił stary rybak drżącym głosem.

— Wojsko wyszło im na ratunek. A i ja mam przygotowaną “Pragę” z linami i raketnicami. Załoga ratownicza w pogotowiu. W kilka minut podjadę na każde miejsce.

— Z tego huraganu połowa kutrów nie wróci — powtarzał przerażony Tona. — Co z moim Jankiem? Co z Piotrem?

— Wszystko będzie dobrze — pocieszał Hensel, ale sam miał troskę w oczach.

— Takiego sztormu jak żyję, nie widziałem — mówił stary Mroch siadając na wskazanym przez kapitana krześle. — Jażem też ze swymi maszopami wypłynął na łodzi, by zdjąć haczyki. Bałem się, że je stracę wraz z dorszami. Gdy już byliśmy blisko, powstał straszny szum. Łódź położyła się na bok. Potem zerwała się gęsta zadymka i świat nam się stracił z oczu. “Koniec świata się robi!” — wołali moi dresze. Wiosłowaliśmy co sił w rękach. Gdyśmy byli już blisko brzegu, ostra fala wyrosła nam u rufy. Piana wciągnęłaby nas w kipieli, gdyby nie żołnierze WOP-u. Podskoczyli i wyciągnęli nas na brzeg. Żeby nie oni, strach pomyśleć, co by się z nami stało.

— Mielicie szczęście — rzekł Hensel.

— Żeby i innym ono dopisało — westchnął Tona.

Dochodziła już szósta, gdy z Helu zadzwoniono, że pięć

kutrów wpłynęło właśnie do portu. Były to: “Wła 51”, “Wła 31”, “Wła 8”, “Wła 2” i “Wła 12”. Za nimi płynął “Wła 82”.

— No, możecie być o swoich spokojni — ucieszył się Hensel.

— Jo, jo, żeby tak i inni już się znaleźli w przystani — uradowany Tona podniósł się z krzesła. Spieszno mu było z dobrą nowiną do domu.

O dziewiątej wpłynęło dopiero dwadzieścia kutrów wla-* dysławowskich, a dziewięćdziesiąt walczyło jeszcze z hu

raganem. Łączność telefoniczna z Helem została przerwana. Kapitan otrzymywał wiadomości drogą radiową, nawiązując bezpośredni kontakt z kutrami już stojącymi w porcie helskim. Część kutrów schroniła się za Cyplem Helskim. O drugiej w nocy brakowało jeszcze czternastu kutrów. O jednym było już wiadomo, że na pewno nie wróci. Utonął rybak z Wielkiej Wsi, Augustyn Budzisz, znany wszystkim na wybrzeżu władysławowskim.

Do kapitanatu portu dzwonili nieprzerwanie z Warszawy i z Komitetu Wojewódzkiego. Rano kapitan zebrał dane o stanie kutrów. Brakowało kutra spółdzielni “Jedność Rybacka”, który utonął wieczorem, motorówki, której załogę uratował niemiecki superkuter, kutra “Wła 14”, spółdzielczego* kutra “Wła 96” i motorówki “Wła 26”,

o których losie nic nie było wiadomo. Władze polskie zaalarmowały radziecką flotę wojenną, prosząc o pomoc w poszukiwaniu zaginionych jednostek.

Antoni Myślisz ciągnął na swej motorówce “Wła 26” trał dorszowy. Szedł nieco z boku, bo trudno mu było łowić między wielkimi jednostkami. Nikt więc nie zawiadomił go o niebezpieczeństwie huraganu. Gdy zerwał się sztorm, natychmiast zaczął wybierać sieci. Z wiatrem i falą skierował się w stronę Helu. Naraz tuż przy burcie podniosła się ogromna gardziel niebotycznej fali. Runęła na motorówkę. -

— Wylewać wodę, bo zginiemy! — krzyczał Myślisz.

Jan, brat Tony Myślisza, pływający jako starszy rybak,

i Ogoniak, młodszy rybak, chwycili za wiadra. Ale następne fale dolewały wody coraz więcej.

— Włok i liny za burtę — wrzasnął Tona Myślisz. — Liny uwiązać za przednią stewę!

Rozkaz został szybko wykonany. Włok, stawiając opór, przytrzymał motorówkę za przód, niby dryfkotwa, i wykręcił dziobem na falę.

— Teraz możemy wylewać — rzekł spokojniej Myślisz.

Przez kilka godzin czerpali wodę. Wreszcie Myślisz

cały mokry wyciągnął z zanadru suche na szczęście zapalniczki. Zapalił zapłon, rozruszał silnik. Wtedy zauważył odległą o jakieś czternaście mil morskich latarnię Hel. Wciągnęli wódek i skierowali do niej swój kurp jak do

gwiazdy zbawienia. Ale po piętnastu minutach żeglugi znów ogromna fala z hukiem zakryła motorówkę. Gdy piana i woda spłynęła, od nowa wyrzucili za burtę wódek niby dryfkotwę i od nowa zaczęli wylewać wodę. Już świtało, kiedy wyczerpali z motorówki wodę. Niestety, Antoni nie rozkręcił już mokrych zapalniczek. Zmuszeni byli dryfować pod dryftrałem, który służył im jako dryfkotwa. Koło południa sztorm nieco ustał, ale położenie rozbitków nie poprawiło się wcale. Z unieruchomionym silnikiem, z dala od lądu, zdani na pastwę wzburzonych fal, zmęczeni, głodni i zziębnięci siedzieli przygnębieni w kącie sterówki.

— Zginiemy tu, dresze — zaczął biadać Ogoniak. — Tu w tych falach będzie nasz mokry grób.

— Nie kracz, knopie — ofuknął go Tona Myślisz. — Mam pomysł.

Oderwał od koszuli kawałek materiału, skręcił go. Podłączył do akumulatora dwa kawałki drutu i zwierając ich końce wywołał iskrę, od której zatliła się szmatka. Po czym szmatkę wsadził w otwór w głowicy motoru. Zakręcił kołem zamachowym. Motor zaskoczył.

— Jesteśmy uratowani! — rzekł z radością. — Do wieczora dotrzemy do portu.

Ostatkiem sił wciągnęli wódek. Myślisz sterował w kierunku siid-west ku niewidocznemu Helowi. Myślał o żonie i malutkich dzieciach, o tym, jak cudem wymyka się śmierci spod kosy. Nagle zauważył, że ku nim prują dwie radzieckie jednostki wojskowe.

— Flota radziecka idzie nam na ratunek, dresze! — zawołał do załogi. Wszyscy zerwali się na nogi.

— Wezmą nas na hol! — ucieszył się Jan.

— Nasza motorówka jest za mała — zafrasował się szyper. — Gdy zaczną nas ciągnąć, mogą nam kurp rozwalić. Musimy płynąć o własnych siłach.

Radziecki oficer zrozumiał obawy polskiego rybaka. Nie wziął motorówki na hol, ale towarzyszył im aż do portu osłaniając kruchą łupinę od strony nawietrznej. Rybacy dopłynęli pod jego osłoną bezpiecznie do portu.

Rozdział XIV

N_w ewnego poranku Józef Kostecki spotkał przy helskim dworcu Augustyna Hybakowskiego.

— Co, Gust, słysząc? — ucieszył się na widok przyjaciela.

— Muszę sprawdzić rozkład pociągów — odrzekł Augustyn. — Jadę jutro na Ziemię Zachodnie. Chcę się dowiedzieć, komu tam jeszcze trzeba udzielić pożyczki

i jaki wpływ mają nasze pożyczki na rozwój rybołówstwa. Może pojedziesz ze mną? Zawsze dwóch lepiej zobaczy niż jeden.

— Dobrze — zgodził się Kostecki. — Spotykamy się więc jutro na dworcu.

— Zaczniemy tedy od Ustki i Darłowa — rzekł nazajutrz Rybakowski, gdy odchodzili od kasy biletowej.

Zajęli miejsce w wagonie. Po chwili pociąg ruszył. Szybko mijały kilometry. Ani się obejrzeni, gdy minęli przedwojenną granicę Polski.

— Wszystko tu takie jak u nas — mówił Kostecki. —

I pola, i domy, i drzewa.

— I Rybacy też tak samo rybaczą jak u nas — dodał Augustyn. — I mowa ich jest podobna do naszej. Niemcy ich tak prześladowali za naszą mowę, że niektórzy jej zapomnieli. Ale nie wszyscy. Mówił mi kiedyś Gojka, a on znał tutejszych ludzi dobrze, że wielu z nich* przed wojną chciało wrócić do Polski. Najlepszy dowód, że teraz nie pojechali do niemieckiego vaterlandu, choć nikt im nie bronił tego. Tylko zostali tutaj i siedzą, pomimo że nie zawsze jest im tu lekko. Wielu naszych niesłusznie uważa ich za Niemców i odnosi się do nich wrogo.

— Ludzie tyle od hitlerowców wycierpieli, że czasem

i uczciwego człowieka niesłusznym podejrzeniem mogą skrzywdzić. Trzeba zrozumieć i nasz naród.

— Polak Polaka nie powinien krzywdzić. Tak jak brat z bratem powinni się wspomagać — zaprzeczył Rybakowski. — A to są dobrzy Polacy. Pamiętam, stałem w Ustce w 1927 roku. Pływałem wtedy na gdańskim frachtowcu “Mari Sidler”. Był początek marca, gdy podpłynęliśmy wieczorem na redę portu. W Ustce wiatr wiał z północy. Fale biły o falochrony. Kapitan Schmelter kazał rzucić

kotwicę, po ciemku w takiej kipieli trudno było wpłynąć do portu. Staliśmy do rana. W nocy, gdy miałem wachtę na pomoście, przyszedł do mnie pierwszy mechanik.

— August, kiedy my wpłyniemy do portu? — zapytał. — Chcę jechać do domu, mogę się spóźnić na pociąg.

— A pan skąd? — zapytałem.

— Jestem z powiatu słupskiego, mój ojciec ma tam majątek ziemski. Ty chyba też zadowolony, że do twoich Kaszubów wpływamy.

— Tu przecież nie ma Kaszubów — zdziwiłem się wówczas. — A ja jestem od Rozewia, nie stąd.

— Wszyscy robotnicy w majątku mego ojca to Kaszubi. Trudno zrozumieć ich mowę. Mój ojciec nie nazywa ich inaczej jak Kaszubi.

— Może tak jest — przytaknąłem mu. — Bo sobie przypominam, że mój wuj tu przychodził bursztyny kupować

i mówił, że do Ustki i aż het za Ustkę można wszędzie zmówić się po kaszubsku. Widzisz tedy — zakończył August — nawet tutejsi posiadacze, Niemcy, uważali, że na tych ziemiach mieszka kaszubski lud. A Kaszuba znaczy tyle co Polak.

Dojechali do Ustki.

— Dokąd najpierw pójdziemy? — zastanawiał się Kostecki, gdy znaleźli się na peronie.

— Dokąd? Do portu — zdecydował Rybakowski.

— Patrz no, Gust, tu jest stocznia, której dawniej nie było — wskazał Kostecki nowo zbudowane hale.

— Wstąpmy i zobaczymy, jakie kutry budują.

— Chodźmy tedy do dyrektora, on nas każe oprowadzić po stoczni.

— Bernard Hensel — zdumił się Rybakowski, gdy weszli do pokoju dyrektora. — Tuśmy cię zastali, braciszku! Co tu robisz?

— Kreślę plany kutrów, które będziemy budować.

— Jesteś dyrektorem stoczni?

— Tak. Chcecie zobaczyć nasze dzieło?

— Po tośmy tu przyszli.

— Jakie piękne łososiowe kutry — zachwycali się zwiedzając.

— Dwunastometrowe — mówił z dumą Hensel. — Na tych łowiskach ryb jak w beczce. Nasze kutry będą dobrze wykorzystane.

— Dokąd teraz jedziecie? — pytał ich Hensel, kiedy obejrzel stocznię. — Mogę was podrzucić do Darłowa, bo nasz samochód właśnie tam jedzie.

Podziękowali serdecznie Henslowi i zabrali się samochodem do Darłowa.

— Gdzie mam stanąć? — zapytał szofer, gdy już dojeżdżali do miasta.

— Gdzieżby, jak nie. w Domu Rybaka — rzekł August.

Ledwo wysiedli z wozu, zobaczyli Olejniaka, rybaka

pochodzącego z Helu.

— Przyjaciele, proszę do środka. Choć po jednym wypijemy — zapraszał Olejniak.

— To w Domu Rybaka macie wódkę? — zgorszył się Kostecki. — Dom Rybaka jest dla szerzenia kultury.

— O kulturę to tu dba Józef Gojka. Jest właśnie w środku. I August Białkowski też jest. Sami znajomi. Taką okazję godzi się uczcić kieliszkiem.

— Jeśli tak, to co innego — zgodził się Kostecki.

Weszli. Na ich widok Gojka i Białkowski poderwali się z miejsca.

— Co tu, drehu, robisz? — pytał Rybakowski Augusta Białkowskiego, gdy już przywitali się serdecznie. — Dlaczego sprowadziłeś się tutaj?

— Zapytaj łososia, dlaczego wchodzi do rzeki. Stąd wyszli moi przodkowie i ja tu wróciłem.

— Ja nie pytam, dlaczego wróciłeś na Zachód, tylko dlaczego sprowadziłeś się do Darłowa. Byłeś kiedyś w Świnoujściu.

— To się zgadza — rzekł Białkowski. — Zrobiłem tam pierwszy start z rybakami i przyszedłem tutaj, by zrobić to samo. Ale tu są już dobrze zaawansowani. Mają dwadzieścia arkowskich kutrów. Szyprami są starzy rybacy pochodzący znad Zatoki Gdańskiej. Choćby Józef Gojka — wskazał na kolegę. — Józef pływa na kutrze “Arka 15”. Zapytajcie Józefa, kiedy śpi, bo ja nie wiem tego. Tu nikt nie wie. Całymi dniami łowi, a wieczorami i nocą uzbiera rybakom sieci.

— Wdał się w swego dziadka — odpowiedział Rybakowski. — On też wszystkim pomagał. Jego dziadek to nasz wspólny nauczyciel rybacki. Piszę teraz książkę, “Kutry o czerwonych żaglach”, jego dziadek będzie tam głównym bohaterem, bo na to zasłużył.

— Józef też jest godny być bohaterem książki — zawołał rozochocony kieliszkiem Białkowski.

— Przestańcie, dresze — prosił Gojka. — Jaki tam ze mnie bohater. Mały, kulawy. Wstyd patrzeć.

— Co tam noga, najważniejszy jest duch. Zdrowie Goj- ki — wznosił toast Rybakowski.

Nazajutrz rano Rybakowski i Kostecki wybrali się w towarzystwie Józefa do starego Majewskiego mieszkającego za Mielnem. Szli wzdłuż wydmy, aż dotarli do długiej chaty krytej słomianą strzechą.

— Majewski ma chyba ze sto lat — mówił Józef. — Zna słowińską mowę, a żyje razem z synem, wnukiem i prawnukiem.

Zapukali do drzwi i weszli.

— Jesteśmy swoi ledze — rzekł Rybakowski od progu.

Siedzący na ławie starzec podniósł wzrok na przybyłych.

— Od Pucka jesteśmy — wyjaśniał Kostecki. — Przyjechaliśmy zobaczyć, jak tu sobie żyjecie.

— Znałem Franciszka Gojkę spod Rozewia — powiedział starzec.

— To dziadek tego tu Józefa — Rybakowski wskazał na Gojkę.

— Przypominam sobie — ucieszył się Józef — dziadek opowiadał, że był pod Diippel razem z jednym pomeran-kiem. Ewangelik, ale znał polską mowę.

— Gojka znał polską mowę lepiej ode mnie — rzekł stary Majewski.

— Powiedźcie nam, ojciec, choć kilka słów po słowiń-
sku — poprosił starca Rybakowski.

— Głowa, paczena, białka, zedza.

— Całkiem jak u nas — dziwił się Józef. — A co to jest zedza?

— To jest zęza — wyjaśnił Gojce Rybakowski.

— Od Rozewia znałem wielu rybaków. Pamiętam Radkę z Ostrowa, któremu sprzedałem czółno —
mówił Słowiniec.

— To się zgadza — potwierdził Rybakowski. — Ten Radka jeszcze żyje i opowiadał mi kiedyś, jak
był w tych stronach koło Darłowa, za łódką. Mój ojciec też kupił sobie łódź z Ustki, “Ust 80”.

— Znałem to czółno — odpowiedział Słowiniec. — Dobrze żeglowało.

— Toteż ojciec prześcigał na tej pomerance wszystkie pomeranki na wybrzeżu rozewskim.

— To jesteście swoi ledze — rzekł Słowiniec. — Znam też starego Licowa i Augustyna Skoczka z
Wielkiej Wsi. Oni tu podczas wielkiego sztormu wpłynęli do darłow-
skiego portu.

— Skoczek nie żyje. Ale Licow jeszcze żyje, liczy sobie dziewięćdziesiąt trzy lata.

— Ja od niego sześć lat więcej.

— To macie dziewięćdziesiąt dziewięć lat — policzył Józef.

— Widzita wa, to są ledze. Wy wiecie, ile mam lat, a moi mnie tego nie powiedzieli. Czekają,
niekarenci, na moją śmierć — poskarżył się z goryczą. — Mówią, że mam więcej jak sto lat, to
powinienem już umrzeć. Jak umrę, to oni sprzedadzą tę ziemię i pójdą za Odrę. Ja z nimi nie pójdę, ja
tu swoją głowę położę, bo to moja ziemia, tu chcę być pochowany. Nie tak jak ci zdrajcy. Zostawiają
ziemię, bo zapomnieli słowa tej ziemi.

— Ciężko słuchać tego starca — rzekł Kostecki, gdy wyszli od Majewskiego.

— Ciężko — przyświadczył Rybakowski. —r Ale i jemu żyć nie lekko.

— Najpierw walczył z Niemcami — oburzał się Goj-ka — a teraz z własną rodziną. Ale co wy, dresze, teraz chcecie robić? — zapytał.

— Mieliśmy jechać do Kołobrzegu — rzekł Augustyn Rybakowski.

— To musicie się cofnąć z powrotem do Darłowa. A stamtąd pociągiem do Sławna, potem przesiąść się i jechać do Koszalina, a z Koszalina do Kołobrzegu.

Udali się wzdłuż brzegu w kierunku Darłowa. Była cisza, tylko chrap morza odbijał się echem na leśnym wybrzeżu.

— Tu tak samo morze szumi jak u nas — rzekł Kostecki.

— I ludzie od wieków mówili podobnie jak u nas — dodał Rybakowski.

Dopiero drugiego dnia po południu znaleźli się w Kołobrzegu. Odwiedzili tu Antoniego Kunata z Helu. Kunat uprawiał połowy na spółdzielczej motorówce i bardzo sobie chwalił Kołobrzeg.

— Ryb tu w bród — mówił. — Ze zbytem kłopotów nie ma. Mamy Dom Rybaka, a rybaków tu dużo. Do ryba- czenia biorą się przybysze z kraju i dają sobie dobrze radę. Tyle że trzeba im na początek pokazać co i jak.

— Jasne — rzekł Rybakowski — człowiek, który nigdy nie rybaczył, nie wie, jak się do tego zabrać. Nawet Franciszek Piechocki, gdy w 1928 roku przybył na wybrzeże i ze mną płynął pierwszy raz na kutrze, to pytał, na co są żagle. Nawet tego nie wiedział. A jaki z niego stał się rybak, to wszyscy wiecie. Jego przecież Kaszubi wybrali prezesem helskiego oddziału Zrzeszenia Rybaków Morskich, nie patrząc na to, że jest przybyszem. Porządny człowiek potrafi zjednać serca kaszubskich rybaków.

— Tak jak Kostecki — dodał Kunat.

— Trudno go wychwalać, bo jest tu obecny — zaśmiał się Rybakowski — ale co prawda to prawda.

Tymczasem żona Kunata zastawiła stół. Przyszedł też do Kunata Muza z kolegami z kutra. Było wesoło i gwarno.

Nazajutrz wybrali się do wsi Kluki. Autobus zawiózł ich tylko do Smołdzina, do Kluk nie było żadnego połączenia. Postanowili znaleźć jakąś furmankę. Szli wolno narzekając na spiekotę i rozglądając się, czy jakiś wóz zdążający w pożądanym kierunku nie nadjeżdża. Ale szara smuga drogi wijąca się wśród wrzosowisk była pusta. Nagle ktoś przeraźliwie zatrąbił z tyłu, obejrżeli się zeskakując, na bok przed wielką ciężarówką.

— Machajmy, może stanie — zawołał Rybakowski.

Zaczęli wymachiwać rękoma i wołać. Szofer zatrzymał

wóz.

— Jedziecie do Kluk? — zapytał Kostecki. — Jak tak, to może byście nas zabrali?

— Siadajcie — rzekł szofer.

Wgramolili się czym prędzej na ciężarówkę, na której znajdowało się już dwóch mężczyzn i mnóstwo uli.

— Usiądźcie na te pudła — zaproponował młodszy, wskazując na ule.

— Jedziecie po pszczoły? — zagadnął Kostecki.

— Tak — odrzekł starszy, mający około pięćdziesiątki.

— Można tu nabyć pszczoły?

— Można, kto nie jest głupi.

— Ile taki jeden rój kosztuje?

— Nie wiem. My za nie nie płacimy. W 1939 roku straciłem posadę, nikt mnie ani grosza w czasie okupacji nie dał. Muszę sobie moje krzywdy sam wynagrodzić.

— Jaką pan miał posadę przed wojną?

— Byłem policjantem — odpowiedział z dumą mężczyzna.

— Zaczyna posada. To pan rekwiruje dawnym sposobem?

— Widzę, że pan starszy człowiek, zna się na rzeczy — rzekł nieznajomy.

— Na rzeczy, jak na rzeczy — mruknął Kostecki — prędzej można powiedzieć, że znam się na szabrownikach. Wielu już różnych widziałem.

— Jak pan śmie — oburzył się mężczyzna.

— To pana należy zapytać, jak pan śmie okradać ludzi, którzy przez tyle lat byli gnębieni przez Niemców, a mimo to zachowali polskość.

— To są szwabi — bronił się szabrownik. — Nie wypełniają nałożonych im dostaw, nie chcą płacić podatków.

— A gdyby pana ktoś ze wszystkiego okradł, byłby pan w stanie wypełnić jeszcze obowiązkowe dostawy dla państwa? — wtrącił Rybakowski.

— Co wy tu chcecie mnie uczyć?! — zaczął wrzeszczeć szabrownik. — Sam wiem, co robię i władze lokalne też

o tym wiedzą!

— Wysiadamy, Gust — zdecydował Kostecki. — To są łotry spod czarnej gwiazdy.

Wysiedli.

Do wsi było już niedaleko. Gdy minęli pierwsze chaty, ujrzeni dziwny widok. Na piaszczystej drodze stało trzech ludzi. Starszy, bardzo gruby mężczyzna i dwóch młodzików. Ten starszy co chwila dawał im solidnego kuksańca, a ci w ogóle się nie bronili.

— Co za pojedyunki urządza obywatel? — zagadnął Kostecki grubasa.

Grubas odwrócił ku nim czerwoną nalaną gębę. Poznali, że jest pijany.

— Mam prawo do tego, bo jestem bogiem jeziora! — wrzasnął.

— Braciszku, w dzisiejszych demokratycznych czasach nawet Bóg musi się po ludzku zachowywać. Chcielibyśmy wiedzieć, jaką obywatel sprawuje władzę na tym terenie, prócz tej boskiej.

— Jestem, o ile wam to potrzeba wiedzieć, prezesem spółdzielni rybackiej, a to moi rybacy.

— Kim jesteście, chłopcy? — zapytał Rybakowski.

— Rybacy — odezwał się jeden z zagadniętych.

— My też jesteśmy rybacy — rzekł Rybakowski. — Z daleka. Spod Pucka. Przyjechaliśmy tu, żeby zobaczyć, jak inni rybacy żyją i łowią i dowiedzieć się, jak przedtem tu żyli i łowili.

— To są szwabi i nie macie co z nimi rozmawiać. Od rozmowy to ja tu jestem!

— Nie jesteśmy Niemcy, jesteśmy Słowińcy — oburzyli się chłopcy.

— Słowińcy? — zainteresował się Rybakowski. — A tak pięknie mówicie po polsku.

— Chodziliśmy przecież do szkoły, a teraz do świetlicy — wyjaśnili.

— A kto tu mówi jeszcze po słowińsku? — dopytywał się Rybakowski.

— Augustyn Klik, ten co to mieszka, blisko jeziora — rzekli chłopcy.

— Taki sam szwab jak oni. Nie ma co z nimi mówić — bełkotał grubas. — Od mówienia ja jestem.

— Z pijanymi nie rozmawiamy — rzekł stanowczo Rybakowski. — Zaprowadźcie nas do Augustyna Klika — zwrócił się do chłopców.

Ci obejrżeli się niepewnie na grubasa, ale jednak usłuchali Rybakowskiego.

— Pan Klik w domu? — zapytał Rybakowski starszą kobietę, gdy weszli na zarośniętą trawą

podwórze.

— Nie ma i tak szybko nie wróci. A jeśli wróci, to i tak nie będzie z wami rozmawiać, bo mu nie pozwolę.

— My jesteśmy wasi ludzie. Kaszubi — rzekł Rybakowski.

— Wszystko jedno, my też myśleliśmy, że jesteśmy Kaszubami i mieliśmy z tego same przykrości.

— A to dlaczego? — zaciekawiał się Rybakowski.

— Wmawiają nam, że jesteśmy Niemcami i mamy iść za Odrę, bo chciwi są na nasz dobytek.

— To szabrownicy — rzekł Kostecki. — Ile takie łotry narobiły tu ludziom krzywdy.

— Nie wiecie, choćby w przybliżeniu, kiedy wróci ojciec? — jeszcze raz zapytał Rybakowski.

164

I

— Choćbym wiedziała, to i tak wam nie powiem.

— No trudno, Józefie, pójdziemy — rzekł Rybakowski do przyjaciela.

— Oni żyją pod strachem tych pętaków, jak tamten policjant i ten “bóg jeziora”.

— Jeśli nie ma Klika, to możemy panów zaprowadzić do Kajczyka — mówili chłopcy. — Ten też zna słowińską mowę.

— Może Kajczyk też z nami nie będzie chciał mówić — powątpiewał Kostecki.

— Wiesz, Józefie — szepnęła Augustyn nachylając się do Kosteckiego — kiedyś tu mój wuj skupował u nich bursztyn. Nazwisko Kajczyk nieraz od niego słyszałem. Podejdę do niego niby syn mego wuja, z pozdrowieniem jak od ojca. Wujek u niego nocował, więc Kajczyk będzie go pamiętał.

— To mądra rzecz — ucieszył się Kostecki. — Kajczyk zaraz nabierze do nas zaufania.

Spotkali starszego człowieka, który miał już koło siedemdziesiątki.

— Może to Kajczyk? — domyślał się Kostecki.

— Nie, to Klik Franc — wyjaśnili chłopcy.

— Klików tu jest więcej jak jeden? — zagadnął Rybakowski.

— Klików jest tu wielu: Klik Piaskowy, Klik Chojnowy, Klik Torfowy.

— A gdzie tu mieszka Wiese Klik?

— O takim nie słyszeliśmy. Jeszcze jest Klik Sikorkowy.

— Widzisz, Józefie, tu też nadają przydomki, tak jak u nas. W Chłapowie jest na przykład dużo Jęków. Drogowy Jeka, Krzyżowy Jeka, Sikorkowy Jeka, Rudnikowy Jeka. A wiesz, że tu część wioski nazywa się Sikorki? U nas w Chłapowie też są Sikorki. Kiedy byłem małym knopem, słyszałem, jak stara Ciskowska, nauczycielka z Chłapowa, opowiadała moim rodzicom, że Grubba, jej dziadek, też był Słowińcem. Ojca jego porwali Prusacy podczas siedmioletniej wojny do wojska. Dziadek jej zaś chował się w Chłapowie ze swoją matką, ale gdy huzarzy starego Fryca zajmowali Chłapowo i chcieli zakwaterować się w jego domku na Sikorkach — nazwę podobno przyniósł jego ojciec z Kluk — Ignacy urąbał ramię Pru-

sakowi. A potem musiał trzydzieści dwa lata tułać się po świecie. Podczas wojny napoleońskiej wrócił na ojczyście ziemie. To był wielki patriota i obrońca praw rybackich.

Tymczasem doszli do chaty Kajeżyka i chłopcy pożegnawszy się z przybyszami poszli w swoją stronę.

— Czy tu mieszka Kajczyk? — zapytali spotkaną w obejściu kobietę.

— Tak — odpowiedziała — tylko ojca nie ma w domu.

— A kiedy będzie?

— Nie wiem. Pojechał daleko na łąki, a może do lasu.

— Wstąpiłem do niego z pozdrowieniem od mego ojca, który tu przyjeżdżał do was i skupował bursztyny — rzekł Rybakowski.

— To Skwiercz z Chłapowa, ale było to jeszcze przed pierwszą wojną światową — przypomniała sobie kobieta. — Zatrzymywał się zawsze u nas na noc.

— To się zgadza, bo ojciec opowiadał o Kajczyku jako

o dobrym człowieku.

— Usiądźcie, moi panowie — zapraszała kobieta wprowadzając ich do chaty — a ja może znajdę gdzieś ojca.

— Złapałeś ją na wędkę — rzekł Kostecki.

— Oni są przeczulenii. Na początku zrobiono im krzywdę i teraz trzymają się od wszystkich z daleka.

— No widzisz, bo ten policjant czy ten “bóg jeziora”

i wielu innych szabrowników przedstawiają ich jako wrogów Polski Ludowej. Tak samo jak ów

Tomaszewski z Helu. Tomaszewski nawet dostał się na sekretarza partii. Zresztą krótko, bo go Grajewski, księgowy z Wejherowa, rozpoznał. Okazało się, że w czasie okupacji był w Wyszogrodzie na służbie Niemców i miał na sumieniu wielu Polaków. A jak wygadywał, że Kaszubi są Niemcami. Tylko, że to nie miało żadnego wpływu na nic.

Gdy tak sobie rozmawiali, otworzyły się drzwi izby i wszedł siwowłosy starzec.

— Witam was, dresze — rzekł. — Toś ty syn Skwierczą? — zwrócił się do Rybakowskiego.

— Tak jest.

— Chyba też nie umiesz po niemiecku jak twój ojciec.

— Niewiele, ale jak znacie kaszubską mowę, to nie będziemy mówić po niemiecku. Mój ojciec mówił, że do samej Ustki mógł się wszędzie dogadać po polsku.

— Tak było dawniej — rzekł Słowiniec. — Jeszcze gdy

w moich młodych latach laskornem w maszoperii łowili, to rozmawialiśmy po polsku.

— Jak wam się tu żyje? — pytał Rybakowski.

— Piec ma uszy — rzekł Kajczyk po słowińsku.

— A dlaczego piec ma uszy? — zaciekawili się goście.

— Boję się, że ktoś nas podsłucha i będą nam za to dokuczać. Żyłoby się dobrze, gdyby nam nie zabierali plonów i dobytku — dodał po chwili.

— Co wam zabierają?

— Mnie zabrali pług, bronę, prosiaki.

— Kto zabrał?

— Pług zabrał Bramko, a tych co prosiaki, nie znałem.

— Pójdziemy do tego Bramki — rzekł Kostecki.

— Ale nic nie gadajcie, że to ja wam mówiłem — zastrzegł Słowiniec.

— Warto byłoby w tej sprawie pomówić z sołtysem — rzekł Kostecki, gdy znaleźli się na wiejskiej drodze.

— Gdzie tu mieszka sołtys? — zagadnęli młodą zgrabną kobietę.

— A, Ruta Kiecz? Kilka domów dalej.

— Dlaczego tu ludzie tak dokuczają autochtonom? — zapytał ją Kostecki.

— Mnie pan pyta? Sama jestem autochtonką.

— A tak pięknie mówi pani po polsku?

— Przecież jestem Polką. Do widzenia panom. Spieszno mi do świetlicy. Młodzież czeka — zniknęła w drzwiach szkoły.

— To prawda, coście panowie widzieli i co wam opowiadano. Tutejsza ludność częściowo straciła orientację, w którą stronę się skierować. Wszyscy czuliśmy się Polakami, ale jak niektórzy z przybyszów zaczęli nas prześladować, niby jako Niemców, żeby nam łatwiej zabrać nasze żyto, część się załamała — mówiła z goryczą Ruta Kiecz, kiedy powiedzieli jej, kim są i po co tu przyjechali. — Niektórzy nawet wyjechali za Odrę, a niektórzy* tak jak ja, walczą o prawo i porządek.

— A kto wam najwięcej dokucza? — pytał Rybakowski.

— Kto? Ci sami co się przedtem wysługiwali hitlerowcom.

— Może nam pani choć jednego takiego wymieni.

— Bramko.

— Znow ten Bramko. Wstąpimy do niego — zacisnął pięści Kostecki.

— On mieszka przy sklepie. Jego żona jest kierowniczką spółdzielni — rzekła Ruta Kiecz, żegnając się z przybyszami.

Akurat nadszedł świeży towar i ekspedientka, czy też może sama kierowniczka, rozpakowywała tekturowe paczki, odwrócona tyłem do drzwi. Czekali cierpliwie, aż skończy swoją robotę, ale jej się najwyraźniej nie śpieszyło. Wreszcie ostatnia paczka została ułożona porządnie i kobieta obróciła się ku nim, wycierając ręce w fartuch.

— A ty, Bronisza, co tu robisz? — zawołał ze zdziwieniem Rybakowski na widok starej znajomej z Władysławowa.

— Jak to co? Jestem kierowniczką tego sklepu.

Rybakowski kręcił głową z niedowierzaniem.

— To Bramko jest twój mąż?

— A jest, jest, na moją niedolę — westchnęła kobieta. — Same z nim kłopoty. Pije, dobiera się do mojej kasy i do tego mnie jeszcze bije.

Tu Bronisza podniosła nieco sukienkę i pokazała siniaki na udach.

— Kopał mnie okropnie, gdy mu nie dawałam pieniędzy. Zabierze ze sklepu gotówkę, a ja pójdę siedzieć za manko. Kto będzie żywił nasze dzieci?

— Chcielibyśmy z nim pomówić — rzekł Kostecki.

— On nie jest do rozmowy, ale go wam pokażę. Chodźcie za mną.

Podeszli do niewielkiej stodoły. Bronisza otworzyła wie- rzeje. Na glinianym klepisku leżał człowiek i goły tyłek wypinał na cały świat.

— To tak się sprawy mają — mruknął Kostecki.

Bronisza płakała cicho.

— Nic tu po nas. Przynajmniej na razie — Rybakowski nachylił się do Kosteckiego. — Chodźmy teraz do świetlicy. Pogadamy z tutejszą młodzieżą.

Trafili akurat na jakieś zebranie, bo w świetlicy pełno było młodzieży i starszych. Zobaczyli też sołtysa, Rutę Kiecz.

Gdy ta ich ujrzała, ucieszyła się bardzo i wyjaśniła zebrany, kim są przybysze i co ich tu sprowadziło.

— To są tacy sami mieszkańcy nadmorskiej wsi, jak ta

nasza. Tyle że dalej na wschodzie — mówiła. — I samo jak nas, gnębili ich Niemcy i zabraniali polskiej mowy. A ten oto człowiek o tych ludziach pisze książki, żeby cały nasz kraj wiedział, że lud nadmorski zawsze był polski i o swoją polskość walczył.

— Nie tylko o ludziach z tych stron, z których pochodzę, piszę — wtrącił Rybakowski. — Piszę o Kaszubach z całego wybrzeża.

Tu zaczął opowiadać o Słowińcu, którego zrobił jednym z bohaterów swej książki, jaką właśnie pisał.

Przez cały czas gdy Rybakowski opowiadał, siedzący pod ścianą starzec kiwał głową na znak, że wszystko się zgadza.

— Znaliście może któregoś z bohaterów mej opowieści? — zapytał zaciekawiony Rybakowski.

— Znałem, znałem — przytaknął starzec. — I Leweno- wa z Jastarni i olbrzymiego Gołę. I Juliana Detlafa, z którym pływałem na jednym statku. A te przygody,

o których tuście opowiadali, to ja jem przeżywał. Nazywam się Barnów. Byłem w Indiach i w Chinach. To ja zdezerterowałem [z niemieckiego pancernika “Brandenburg”. Wróciłem do Kluk i ożeniłem się. Ale rychło musiałem uciekać, bo mnie policja szukała za dezercję. Moja żona zesła się z leśnym, a taki był przypadek, że tego leśnego zabili. Policajmajster Hirt sfalszował protokół,

zostałem skazany na dożywocie. Dopiero w 1939 roku, gdy Hirt umierał, zeznał, iż protokół był sfałszowany. Zostałem po dwudziestu latach zwolniony. Moja żona już zmarła. Ożeniłem się z matką tej naszej córki — zakończył i wskazał na siedzącą obok kobietę.

Ostatnie blaski słońca przebijały się do świetlicowej izby. Za oknami była piękna, wieczorna cisza. Z gajku zielonych brzoź dochodził głos kukułki. Bociany układały się do snu na klukowskich strzechach, żaby wesoło rechotały w pobliskich kałużach. Od strony północnej dochodził szum morza.

— Czas nam w drogę powrotną — mówił Kostecki. — Jeśli się pośpieszymy, zdążymy na autobus w Smołdzinie.

— Bywajcie — rzekł Rybakowski ściskając Barnowowi dłoń — znowuż o was kiedyś napiszę w swojej książce.

O was i o innych ludziach tej nadmorskiej ziemi, którzy przez wieki prześladowań nie zapomnieli mowy polskiej.

— A swoją drogą — mówił Kostecki, gdy jechali już autobusem — ty jako prezes naszego koła Zrzeszenia Rybaków Morskich powinieneś jechać do ministra. Do Warszawy. I wszystko co tu widzieliśmy, przedstawić. Trzeba by i u nich założyć koło Zrzeszenia Rybaków Morskich. Tak ich zostawić nie można. Trzeba tym naszym braciom Kaszubom zapewnić pomoc i opiekę przed różnymi pijakami chciwymi na ludzki grosz i przywykłymi do bezprawia. Żeby poczuli, że Matka Polska i ich zagarnęła pod swoje skrzydła.

— Tedy pojedziemy razem — zdecydował Rybakowski. — W najbliższą niedzielę.

Rozdział XV

Już od kilku dni Tona na próżno wypatrywał na jrozewskich łowiskach Jana Fabisza. Wiatr z lekka dmuchał od południowego zachodu, przy I brzegu nie toczyła się najmniejsza fala, takiej pogody od dawna nie mieli na przybrzeżnych łowiskach, a mimo to wśród łowiących rybaków nie mógł dostrzec Fabiszowej łodzi.

Może zachorował — rozmyślał. — Stary jest. Ma już przecież dziewięćdziesiąt lat na karku. Trzeba zobaczyć, co się tam u niego dzieje — postanowił.

Wybrał się strądem w kierunku Rozewia, gdzie od XVI wieku mieszkał ród Fabiszów. Chata Fabiszów stała w pobliżu miejsca, w którym lądował król Zygmunt Waza. Fabiszowie byli bardzo dumni z tego i lubili o tym opowiadać. Tona słyszał o lądowaniu króla jeszcze od dziada starego Jana Fabisza.

Gdy doszedł do wylotu Lisiego Jaru, ujrzał Fabiszową łódź. Stała wciągnięta aż do samego wąwozu, a wiatr powiewał brązowymi sieciami.

— Pewno chory, że nie wypłynął — zmartwił się Tona i przyśpieszył kroku.

Wspiął się po skarpie wąwozu i zdyszany zatrzymał się przy chacie Fabisza, która stała tuż przy zbroczu. Pchnął drzwi. Minęła dobra chwila, nim oczy jego przyzwyczały się do mroku, jaki panował w izbie.

— Tyżeś to, Tona? — usłyszał głos dobiegający z kąta.

Spojrzał w stronę, skąd dochodził głos. Fabisz leżał na łóżku, dysząc ciężko. Obok przy łóżku siedział duży, czarny pies.

— Chory jesteś? — Tona zbliżył się do łóżka przyjaciela.

— A chory.

— Lekarz był u ciebie?

— Co tu lekarz pomoże. Mam już swoje dziewięćdziesiąt lat i ze śmiercią targować się nie będę. Lekarz mi życia nie przedłuży. Przyszedł mój czas. Muszę zrobić miejsce na mojej toni młodszym rybakom... — urwał dysząc ciężko.

— Co ty, Janku, mówisz — zaprotestował Tona. — Dziś na toni wszystkim rybakom miejsca starcza.

— Na mnie już czas — dyszał Fabisz. — Synowie, których mi morze zabrało, dziś w nocy przyzywali mnie do siebie...

— Otworzę okno — rzekł Tona — będzie lżej oddychać.

— Oddychać, jak oddychać, ale może usłyszę szum morza.

Tona otworzył na całą szerokość okno. Chory rybak głęboko oddychając podparł się na łokciu i spojrzał w dal na sine morze, na którym żeglowały z lekkim pochyłem łodzie posuwające się do brzegu. Hen gdzieś daleko iskrzył się w promieniach słońca biały jacht. Zespół kutrów pruł na dalekie łowiska w kierunku zachodnim. Na horyzoncie sunął majestatycznie duży statek.

— Co za wielki statek — zdziwił się chory.

Tona przyłożył z przyzwyczajenia dłoń nad oczy:

— To polski dziesięcioletnik. Płynie w daleki świat. Może do Ameryki lub Australii, a może do Japonii lub Chin.

— Czy to może być — rzekł stary — że polskie statki płyną we wszystkie strony świata. Czego my się doczekali. Jesteś, prawda, o dziesięć lat młodszy od mnie, ale też nie pamiętasz, aby kto o tym marzył.

— Gdzie tam marzył — machnął ręką Tona. — Pamiętam, że kiedy razu pewnego, było to jeszcze pod zaborem, stałem ze swym statkiem w Antwerpii, spostrzegłem z dala jakiś biało-czerwony

komin. Pomyślałem sobie: polski kolor, i czym prędzej udałem się w tym kierunku. Obchodziłem doki, przechodziłem przez mosty, nareszcie

doszedłem do tego statku. Okazało się, że to był duński statek. Jego armator miał znak o białoczerwonym kolorze. Smutny wróciłem z powrotem. A teraz opowiadał mi Rybakowski, że widział w Antwerpii aż sześć okazałych polskich statków przycumowanych przy nabrzeżach. Ładowały towary. A w Kanale Kilońskim spotkał dziesięć statków pod polską banderą. Przez cały rejs wszędzie spotykał polskie statki.

Chory położył głowę na poduszkę i słuchał. Tona mówił i wpatrywał się w Fabisza i w psa, który warował przy łóżku skomląc cicho.

— Słyszę szum morza — odezwał się naraz Fabisz.

— Słuch masz dobry, bo fala mała.

Fabisz znów podniósł głowę, spojrzał na morze i rzekł:

— Jest glada, a ja tu w łóżku. Co za kutry tu pływają, drehu?

— To są kutry z Władysławowa, ze “Szkunera”. Płyną na łowiska Morza Północnego.

— Po śledzia?

— Po śledzia — przytaknął Tona.

— To się nam też nie śniło — chory znów oparł głowę na poduszce i przymknął oczy.

Tona nie odpowiedział. Patrzył na przyjaciela i czuł dławienie w gardle.

Czemu tak być na świecie musi? — myślał. — Czemu tak być musi, że kiedy oto jest lżej żyć, tobie, człowiecze, trzeba odchodzić.

— Co tak myślisz? — nagle przerwał milczenie chory.

— Myślę o tym, jak to dobrze, że nie utonąłem podczas strasznego sztormu pod Kap Horn — odpowiedział Tona. — Doczekałem się czasu, gdy polskie statki rozplynęły się po wszystkich portach świata, a rybacy łowią na dalekich oceanicznych łowiskach.

— Długo my na to czekali — Fabisz uniósł się na posianiu. — Ty. Ja. Wszetcy. Moi przodkowie mieszkali na tym miejscu więcej jak trzysta lat. Mieszkali tu, jak na tym strądzie wojska królów polskich wojowały z najeźdźcą, a rybacy służyli u nich w kaprach. Ojciec mi to opowiadał. I dziad też. Teraz ja jako ostatni z naszego rodu schodzę z tego świata. Ale innym powiadałem to, com usłyszał. I com widział. Com widział też. Starym i młodym mówiłem. Nade wszystko młodym. Żeby wiedzieli,

jak tu było... I za szwedzkiego potopu. I za hitlerowskiego. Rybakowskiemu mówiłem... niech

napisze. A ty mu powiedz, niech mnie jeszcze odwiedzi. Chcę mu dać starą książkę, którą mój ojciec przywiózł z Ameryki. I chcę mu rzec, że Szwedzi jak chcieli tu lądować, utopili nie trzy armaty — jak pisał — ale sześć. Trzy z nich zabrał graf Krokowski i ustawił je w swoim ogrodzie, a trzy, których mój ojciec nie mógł wydobyć, zostały w morzu. Widywałem je w młodych latach, ale teraz są zasypane...

Fabisz urwał i znów oparł się o poduszkę. Izbę zalegała cisza przerywana ciężkim oddechem chorego starca.

— I jeszcze jedno chcę ci rzec — podjął po chwili. — Zaopiekuj się ty moim Misiem...

Pies na dźwięk swego imienia zastrzygł uszami. Za- skomlał żałośnie.

...Wierny pies. Bywało, idę z nim brzegiem morza, a tu fala jak nie podniesie swoją wielką paszczę, by rozbić się o brzeg. Misio mnie wtedy pyskiem za rękę i ciągnie w strąd... Bał się, żeby wodna kipiela nie pociągnęła do siebie... Taki to pies.

Tona pomyślał, iż z tym to może być kłopot, bo Weronika tylko jednego Reksa mogła jakoś ścierpieć. Żaden inny pies nie znalazł w jej oczach łaski.

Fabisz badawczo patrzył na przyjaciela.

— Wiem — rzekł cicho — twoja żona psów nie lubi... Ale właśnie tobie chcę dać go w opiekę. Powiedz jej, że umierającemu nie godzi się odmawiać. Weronika jest pobożna, jak tak jej rzekniesz, przyjmie psa...

— To mogę go dziś zabrać — rzekł Tona.

— Nie. Póki żyję, niech czuwa przy mnie. Gdy usłyszysz głos dzwonu, jak będzie dzwonić staremu rybakowi, stawisz się na pustą noc, a moja synowa wyda. tobie Misia.

— Może coś ci potrzeba? — pytał Tona przyjaciela.

— Nic mi już, drehu, nie potrzeba. Synowa przynosi mi co dzień mleko i bułki, a i te oddaję w całości Misiowi. Pies mnie nie odstępował dzień i noc. Czasem szczeka, jakby kogo zwoływał. Myślę sobie nieraz, że widzi duchy mojej żony i dzieci, którzy czekają już na mnie.

— Tedy powiem Rybakowskiemu, że chcesz go widzieć — rzekł Tona. — Jeszcze dzisiaj August tu przyjdzie.

Za kilka dni z kościelnej dzwonnicy żałośnie zabrzmiały dzwony. Tona udał się do zmarłego przyjaciela na pustą noc. Wracając do domu zabrał z sobą Misia. Pies szedł za nim posłusznie, ale wciąż się oglądał i skomlał żałośnie.

W porcie gdyńskim w basenie jachtowym stał super- kuter "Rutkowski" należący do Państwowej Szkoły Rybołówstwa Morskiego. Dwudziestu uczniów zaokrętowanych na szkoleniowy rejs uwijało się pod czujnym okiem bosmana, Jana Czai, kończąc ostatnie przygotowania przed wyjściem w

morze.

Tym razem "Rutkowski", kecz o wysokich masztach, dwustuczterdziestometrowym żaglu, wyposażony ponadto w silnik o 130 KM, wziął kurs na Ławicę Środkową. Uczniowie po drodze pełnili normalną służbę: uzbrajali włok, pieli się po masztach, smarowali bloki, stali na wachcie. Kapitan, Jan Necel, stary wilk morski, dobrze zaprawiał chłopców do twardego rybackiego życia. Tylko w ciemną noc uczniowie byli wolni od wachty.

Wczesnym rankiem następnego dnia stanęli na Ławicy Środkowej i zarzucili włok. Po dwóch zaciągach, kiedy już mieli trzydzieści dwie skrzynki pięknego dorsza, zerwał się silny zachodni wiatr.

— Żagle staw! — dał rozkaz kapitan.

Gdy szkoty zostały podciągnięte, statek pod wydętym żaglem, ze sporym przechyłem, zaczął pruć w kierunku wybrzeża rozewskiego.

— Motor zatrzymać, zaoszczędzimy ropy — polecił kapitan.

Pierwszy oficer, Zygfryd Strug, przekazał polecenie kapitana mechanikowi. Szli teraz pod samymi żaglami.

Tymczasem bosman stanął z uczniami do patroszenia dorsza. '

— Najpierw cięcie. O tak. Patrzcie, jak ja to robię — pokazywał. — Nie, nie tak. Prosto. A potem patroszyć. Dokładnie. Dobrze — pochwalił jednego z uczniów. — Teraz do skrzynki.

Wzmagał się wiatr. Kecz podnosił się wysoko, by znów zapaść w przepaść wysokich fal. Jakiś uczeń zbladł i chwycił się dłonią za usta.

— Już, już, karmić ryby — krzyczał bosman. — Szybciej, bo nie dojdiesz.

Uczeń posłusznie wychylił się za burtę.

Ale na ogół uczniowie dobrze znosili kołysanie. Chorowało niewielu i krótko.

— Po drugim rejsie to już będą z was rybacy, jak się patrzy — mówił bosman. — Niekoniecznie trzeba się nad morzem urodzić, żeby zostać dobrym rybakiem.

Kiedy uczniowie skończyli patroszenie ryb, załadowali je do skrzynki i wpuścili do ładowni, zaczął padać deszcz. Zrobiło się mgliście, ale statek pod grotem, fokiem, kliw-rem i bezanem pruć aż miło. '

— Jeśli tak dalej będzie dmuchać, to wieczorem będziemy we władysławowskim porcie — mówił pierwszy oficer do kapitana.

— Rozwijamy pod żaglem większą szybkość jak pod motorem — odpowiedział kapitan.

— Człowiek płynie dziesięć stopni w prawo od burty! — krzyknął nagle uczeń stojący na “oku”.

Kapitan natychmiast dał buczkiem trzy długie dźwięki, a potem kilka krótkich.

Żagle zostały błyskawicznie spuszczone z masztów.

— Łódź za burtę — rozkazał kapitan wypatrując na wzburzonym morzu rozbitka.

Rzeczywiście. Na pienistych grzbietach fal zobaczył jakąś ciemną sylwetkę. Podmanewrował w tym kierunku. Uczniowie spuścili na wodę łódź.

— To jest pies! — krzyknął uczeń stojący na “oku”.

Po chwili pies już był w szalupie.

— Ładny pies — zachwycał się “pierwszy”. — Jakim sposobem on się tu znalazł? Jesteśmy siedem mil od brzegu.

— Trzeba będzie ogłosić w porcie, że wyłowiliśmy psa — rzekł kapitan. — Może właściciel się znajdzie. Jak wciągną już tego psa, postawimy żagle. Jeszcze mamy siedem mil do portu, opłaci się pożegłować.

Tymczasem czterech uczniów dobiło łodzią do burty statku. Pies dał susa na pokład, a za nim wskoczyli uczniowie.

— Piękny pies!

— Jaki duży!

— Ciekawe, jak się tu znalazł?

— Pewno głodny.

— Trzeba dać mu jeść.

Uczniowie zwartym kołem otoczyli psa. Ale ten nie zważał zupełnie na zainteresowanie, jakie wywołał. Oparł się przednimi łapami o nadburcie i skomlał żałośnie.

A potem zaczął szczekać głośno, cały czas wypatrując czegoś w kierunku zachodnim.

— Cicho, piesku, cicho. Pewno głodny — mówił bosman gładząc psa. — Zaraz ci damy jeść.

Ale raptem pies zeszcekał krótko, głucho. Skoczył na przód, stanął przednimi łapami na nadburciu i tak trwał wpatrując się w kierunek zachodni. Potem zerwał się. Obiegł sterówkę naokoło, stanął na rufie i znów wietrzył w kierunku zachodnim. Kapitan właśnie postawił statek na poprzedni kurs. Dziwne zachowanie psa zwróciło jego uwagę. Oddając ster “pierwszemu” wyszedł na rufę przypatrując się zwierzęciu. Pies zawył żałośnie, zaszczekał i gotował się do wyskoczenia za burtę.

— Żagle w dół! — rozkazał kapitan. — Uruchomić motor.

— Uruchomić motor! — “pierwszy” przekazał rozkaz kapitana do maszynowni.

Kapitan chwycił ster, wykręcił statek przeciw wiatrowi. Kilku uczniów stanęło na dziobie, a kapitan z oficerami w sterówce. Pies się uspokoił, pobiegł na dziób wpatrując się również w dal. Naraz zaskomlił.

— Przedmiot podobny do łodzi płynie przed nami, ale bez załogi! — krzyknął któryś z uczniów.

— Stała się jakaś katastrofa — rzekł kapitan do pierwszego oficera. — I ten pies chce, żebyśmy pośpieszyli na ratunek.

— Jaki mądry pies — dziwił się Strug.

— Psy często ratują rybaków na morzu — mówił kapitan ostrożnie manewrując w kierunku łodzi.

Gdy byli już blisko, zauważyli, że na dnie łodzi leży jakiś człowiek.

Naraz dwóch uczniów zwinnie, niby cyrkowi akrobaci, o skoczyło ze statku do łódki.

— Będą z nich żeglarze — kapitan spojrzał z zadowoleniem na “pierwszego”. — Przecież ci chłopcy dopiero przyszedli z ogólniaka, a już się z morzem oswoili.

Uczniowie pochylili się nad leżącym człowiekiem.

— On żyje! — krzyknęli jednocześnie.

— Rzucić rzutkę do łodzi — polecił kapitan.

Gdy tylko rozbitek znalazł się na pokładzie, pies, który pr/zez cały czas z napięciem śledził wszystkie poczynania ratowników, jednym susem doskoczył do swego pana. Z radosnym skomleniem zaczął go lizać po twarzy.

Statek znów pochylił się pod pełnym żaglem, kapitan oddał ster “drugiemu” i sam podszedł do rozbitka.

— Przynieść gorącej kawy i wódki — rozkazał. — I czym prędzej zanieść go do mojej kabiny i umieścić w koi. Odpocznie sobie i odzyska przytomność.

Gdy uczniowie podnieśli rozbitka z pokładu, ten otworzył oczy i powiedział przestraszony:

— Poczekajcie, ja jeszcze odżyję.

— Wiadomo, Tona, że odżyjesz — rzekł kapitan — zaniesiemy ciebie do kabiny.

Rozbitek, jakby nie rozumiał, zawołał:

— Nie róbcie mi marynarskiego pogrzebu! Ja chcę żyć. Odwiążcie mnie te ciężary od nóg.

— To mokre buty tak ci ciężą. Zaraz je zdejmujemy.

Rozbitek poruszył nogami. Podrapał się po twarzy,

szczytnął się w brodę, by przekonać się, czy też naprawdę żyje. Nagle tuż przy jego głowie zaszczeakał głośno, radośnie pies. Rozbitek podniósł oczy. Poznał wiernego przyjaciela. Wyciągnął ku niemu dłoń i spojrział na kapitana, jakby go dopiero teraz zobaczył.

— To ty, Janie?

— To ja — rzekł kapitan.

— Rozbitek zna naszego kapitana — dziwili się uczniowie.

— W młodości rybaczyłem z tym rybakiem na jednej łodzi — wyjaśnił kapitan przyszłym wilkom morskim.

— Dawno ciebie nie widziałem, ale w obliczu śmierci ciebie poznałem — rzekł rozbitek, gdy go wnieśli do kabiny kapitana.

— Do śmierci ci nie bliżej niż każdemu z nas — zaśmiał się kapitan.

— Zdawało mi się, żeście mnie zaszyli w płótno i chcieliście wyrzucić za burtę, jak zmarłego marynarza — tłumaczył się Tona.

— Jak znalazłeś się na wezbranym morzu? — pytał kapitan.

— Zastawiałem sam sieci, bo nikt nie chciał już ze mną wypłynąć. Mówią, że im się nie opłaca. Prawda, połowy pod brzegiem nie są zbyt obfite, ale zawsze zbiera się grosz do grosza. Więc dzisiaj rano wypłynąłem, żeby zdjąć sieci z morza. Ze mną wypłynął jak zawsze mój pies. Gdzie on teraz? — zaniepokoił się.

— Stoi tu, koło twojej głowy.

Tona wyciągnął rękę spod koca, podniósł się na łokciu i obejrzał się za siebie. Pies stał tuż przy jego głowie, merdając ogonem.

— Żyjemy, Misiu — rzekł Tona wyciągając do psa dłoń.

Pies radośnie zaskomlał.

— Gdy podpływałem do chorągiewki, zerwał się nagle silny sztorm. Fala uniosła łódź. Chorągiewki już nie uchwyciłem. I tak wiatr pędził łódź ze mną i z Misiem coraz dalej od brzegu. Wiosłowałem, aż z przemęczenia upadłem na dno łodzi. Jeszcze pamiętam, że pies stał nade mną i skomlał. Potem straciłem pamięć. Przebudziłem się tutaj. Przestraszyłem się okropnie, bo koc, w

który żeście mnie zawinęli, wziąłem za płótno, a buty, które mam na nogach, za rosztą. Pomyślałem sobie, że chcecie mnie wyrzucić za burtę. Ale wtedy poznałem ciebie, Janie. A gdzie moja łódź?

— Holujemy ją ze sobą do portu.

— A jak dostał się mój Misio tutaj? Wyciągnęliście go też z łodzi?

— Nie. Płynął do nas sam. A kiedy wyłowiliśmy go i wzięliśmy na pokład, wyciągnął łeb w kierunku zachodnim, skomlił i szczekał, tak długo, aż wyruszyliśmy na poszukiwania.

— Mądry pies i wierny — rzekł Tona.

— Mądry — przyświadczył kapitan i pogładził Misia.

Pies zamerdał przyjaźnie ogonem.

— Tobie już kiedyś pies życie ratował, pamiętasz? — wspominał kapitan. — Było to w dwudziestym czwartym roku, przed wieczorem wiał lekki wiatr z północnego wschodu, ale przy brzegu rozbijały się wysokie fale. Miałeś w łodzi maszopów Feliksa Buję i Jana Styna. Ja, mój brat Gust i Ksawer Jeka z Chłapowa wróciliśmy przed wami. Nam udało się szczęśliwie dobić do brzegu, a was przewróciła fala. Tych dwóch młodych szybko dobiło do

brzegu, a ty zginąłeś nam z oczu. Twój pies, który ciebie oczekiwał na brzegu morza, natychmiast wskoczył do wody, a my trzej w naszej łodzi wypłynęliśmy na poszukiwanie. Ale zanim my ciebie znaleźli, to twój pies holował już ciebie na brzeg. Co to był za wierny pies!

— To był Reks. Myślałem, że sobie miejsca nie znajdę, gdy zginął chcąc mnie drugi raz ratować ze słonej kipieli. Ale Misio jest tak samo wierny — powiedział Tona. — To był Fabisza, który mnie go dał w opiekę, największy skarb.

— Wiem — rzekł kapitan. — To szczeniak od sukki, która Fabiszowi towarzyszyła, gdy w czasie okupacji nosił partyzantom jedzenie do lasu. Tamtego Reksa twoja żona ostatecznie jakoś polubiła.

— I tego też nie odpędza od miski, bo jej rzekłem, że ten pies w naszym domu jest z woli konającego, którego prośbie nie mogłem odmówić.

— I dobrześ zrobił, żeś nie odmówił. Dziś ci życie wyratował.

— Gdyby nie on, byłoby po mnie — wzdrygnął się Tona.

Pies tymczasem ułożył się wygodnie przy koi, uniósł nieco łeb przypatrując się im bacznie i merdał od czasu do czasu ogonem, jakby rozumiał, że to o nim mowa.

Rozdział XVI

uż przeszło dwadzieścia szkunerowskich super- kutrów wypływało na połowy śledzia na Morze Północne. Razem z nimi baza rybacka “Kaszuby”. Szyprowie: Hubert Konkol, Franciszek Borna,

Józef Fiszer, Leon Truśka i Jerzy Pobłocki gorączkowo szykowali kutry, a żony rybaków bieliznę na kilkumiesięczny pobyt mężów na dalekim morzu. W przeddzień wyprawy zespołu kutrów rybaczeki uszykowały pożegnalną wieczerzę i nie wypuszczały dzieci z domu, by były przy pożegnaniu ojców, którzy udawali się na cztery lub pięć miesięcy na dalekie łowiska.

Czerwone słońce zachodziło za Rozewie, kiedy rybacy obcałowawszy swoje żony i dzieci zabierali walizki z bie-

lizną. Żony z dziećmi towarzyszyły im aż na molo, gdzie odbywała się odprawa. Był tu już dyrektor połowowy "Szkunera" wraz z kapitanem portu Bernardem Henslem.

— Odprawa gotowa! — krzyknął podoficer WOP-u.

— Marto, do widzenia!

— Do widzenia, Rozalio!

— Postaraj się, żeby nasza córka złożyła akta do ogólniaka. Nie ma się co wahać młodym dziewczętom. Niech się kształcą, skoro mają na to warunki.

— Żeby wam się połowy udały.

— Uważaj na siebie.

— Nie zapominaj o ciepłej bieliźnie.

Krzyżowały się w powietrzu ostatnie słowa pożegnań, napomnień i przykazań.

Hubert wysłuchiwał jeszcze polecenia dyrektora połowów, by miał tam wszystko na oku i służył rybakom pomocą, gdy spotkają się przy bazie.

— Odmeldujcie mnie w radzie wojewódzkiej — prosił Hubert dyrektora. — Nie będę mógł wcześniej brać udziału w sesjach wojewódzkich, aż wrócę z połowów.

"Wła 106" z szyprem Hubertem odbił od mola. Za nim płynął "Wła 104", na którym szyprował Józef Fiszer pochodzący ze Swarzewa, a potem "137", którym dowodził Leon Truśka z Rewy. Za falochronem zespół kutrów uformował szyk i płynął w kierunku zachodnim mijając Rozewie.

Światła kutrów znikły w dali. Pozostała tylko jasna smuga rozewskiej latarni, która przyświecała rybakom jakby na pożegnanie. Daleko na horyzoncie czerwieniła się letnia zorza północna. Żadna falka nie kołysała się przy strądzie. Żony rybaków wraz z dziećmi powoli rozchodziły się dę domów.

Następnego dnia już od rana było bardzo gorąco. Całe chmury ważek przelatywały obok domów. Wszystkie leciały na wschód.

— Nadejdzie zachodni wiatr — rzekła Hubertowa do żony Borny. — Ważki to najlepiej przepowiedzą. Tak mię uczył mój nieboszczyk ojciec.

— Czyżby te małe stworzenia potrafiły wskazywać kierunki wiatru? — dziwiła się Marta, żona Borny.

— A jednak tak, bo i radio “Szkuner” też dziś rano zapowiadało silny wiatr z kierunku zachodniego.

— Oj, to źle — zmartwiła się Marta — nasi mężowie będą mieć przeciwny wiatr.

— Taki już los rybaków — westchnęła Rozalia. — Są chwile, kiedy morze uśmiecha się do nich gładą, ale czasami pokazuje swoje groźne białe zęby i wtedy, aż strach myśleć, co się dzieje i co się może dziać. Ale teraz to ty się nie martw — rzekła widząc pobladłą twarz sąsiadki. — Nasi mężowie popłynęli na superkutrach, a te przetrzymają każdy sztorm.

Koło południa nad darżlubskimi lasami zaczęły się ukazywać “kowadłowe” chmury. Z początku były koloru różowego, potem ściemniały, zakryły słońce, w końcu stały się czarne jak smoła. Tu i ówdzie przeleciała błyskawica.

— Patrz, jak wiruje mgła pod chmurami. Co to może być? — zapytała Marta.

— Nadchodzi huragan — mówiła Rozalia.

— Co stanie się z naszymi mężami? — zaczęła rozpaczać żona Borny.

— Może tam, gdzie są nasi, nie ma sztormu, przecież oni daleko — pocieszała Rozalia sąsiadkę i siebie samą.

Naraz wichur zawył, wzbił tumany strądownego piasku, porwał wodny pył.

— Co za sztorm! Nasi mężowie zginą — rozpłakała się Marta.

— Co ty mówisz? Przecież twój mąż jest na morzu, a nie w lesie. Takie szkwały latem często przychodzą i odchodzą. Rybacy nieraz przeżywają zawieruchy na morzu i to na otwartych łodziach.

Jednak trudno było Martę przekonać, że szkwał, który szybko przychodzi i szybko odchodzi, nie jest groźny dla superkutra. Stała z dziećmi w oknie wpatrzona w straszny żywioł morza.

— Zadzwoń do portu — rzekła żona Huberta, gdy przestało błyskać.

— Już są blisko Sundu. Pogodę mają dobrą — odpowiedzieli Rozalii.

— Widzisz, wszystko dobrze!

— Zadzwoń jeszcze raz, niech poślą im od nas pozdrowienia — prosiła uspokojona Bornowa.

— Nie warto zajmować radiu czasu, przecież mają inne sprawy do załatwienia — odpowiedziała Rozalia. —

\

Napiszemy listy, jak odpłynie statek łącznikowy do bazy “Jastarnia”, to je zabierze.

Szkwał minął, niebo się rozjaśniło. Ale następnego dnia ruszył zachodni wiatr, który wiał jak zwykle po grzmocie przez całe trzy dni. Dopiero trzeciego dnia wiatr ucichł, morze się uspokoiło i nadeszła letnia, gorąca pogoda. Tak że nawet żona Borny przestała się niepokoić

o los męża.

W tym samym czasie, gdy przez wybrzeże rozewskie przeszedł ów straszny szkwał, zespół Huberta zbliżał się do cieśniń duńskich. Tu także zerwał się silny wiatr, ale nie mógł wiele superkutrom przeszkodzić, bo wpływały już do cichego Sundu. Kaszubscy rybacy przepłynęli Kattegat i dostali się na przyładek Skagen. Dopiero tam poczuli wysoką falę. Ale na szczęście wiatr zaczął słabnąć. Mogli więc kontynuować rejs w kierunku Szkocji na śledziowe łowiska. Naprzeciwko Nordsile stał statek baza “Pułaski”. W jego pobliżu zaczęli zarzucać włoki.

Z pierwszego zaciągu kuter Huberta wyciągnął na pokład około siedemdziesiąt beczek śledzia.

— Nie odgardlimy wszystkich — zmartwił się Hubert. — Musimy solić całe śledzie. A szkoda, bo odgardlony śledź ma większą wartość.

Gdy wyciągnęli drugi zaciąg, powiał silny wiatr. Do kutra Huberta zleciała się chmara mew.

— Tyle ich nigdy nie widziałem — zdumiał się Albin Konkol. — Pewno zleciały się tu z całego morza.

— Poczują, że mamy ryby w sieci — rzekł Hubert zacierając ręce.

— Patrzcie, tuńczyk przy kutrze! — zawołał Albin. — Żeby my tak potrafili te duże tuńczyki łowić. To dopiero byłby zarobek i dla państwa, i dla nas.

— Nadejdzie czas, że będziemy mogli łowić wszystkie gatunki ryb, nawet tuńczyki — powiedział Hubert.

— Masz rację — przyznał Albin. — Przecież już nasze jednostki wypływają na wody afrykańskie i pod Grenlandię. Jeśli potrafimy wypłynąć &a wielkie dalekie łowiska, to będziemy też potrafili łowić wszystkie gatunki ryb.

W tym zaciągu złapali nieco mniej śledzia. Ale i tego było tyle, że nie mogli wszystkiego odgardlić. Musieli całe wsypać do beczek.

Późnym wieczorem wiatr całkiem ustał. Martwa fala ukołysała rybaków do snu. Następnego rana był silny sztorm. Nie mogli łowić.

— Musimy sztormować — zdecydował Hubert.

Ta przymusowa beczynność trwała trzy dni. Drugiego dnia sztormowania, już pod wieczór, gdy zjedli wczesną kolację, Albin spojrzął na osowiałych kolegów i rzekł:

— Chcecie, to wam opowiem, jak nence Piotra Mrocha skradziono kozła.

— Z tego co o niej tu opowiadałeś, nie wygląda, żeby ta Horpyna dała sobie skraść kozła — powątpiewał Hubert.

— Pewnie, że nie dałaby, ale złodziej był sprytniejszy od niej — odpowiedział Albin.

— E, pewno coś wymyśliłeś — rzekł młodszy rybak, Barcz.

— Szczerą prawdę wam powiem — zapewniał Albin. — Wiem, bo słyszałem to od sąsiada Tony. Mrochowcie nie mieli dla kozła pastwiska, Weronika, żona Tony, postanowiła go więc sprzedać. Ale chciała wziąć za niego dużo pieniędzy. Udała się z kozłem na Hel, bo tam rybacy dobrze zarabiali na letnikach.

W tym dniu szedł pewien rybak z Boru w kierunku Wielkiej Wsi. Spotkał jakiegoś elegancko ubranego młodego przybysza, który szedł na półwysep. Rybak ciekawy, jak każdy mieszkaniec półwyspu, zapytał:

— Skąd pochodzisz?

— Z Gdańska jestem.

— Jak z Gdańska, toś bogaty.

— Nie, jestem studentem, uczę się.

— A czego się pan uczy?

— Złodziejstwa.

— Hm, złodziejstwa. Przecież tego nie potrzeba się uczyć. Potrafię kraść, choć nie mam żadnych szkół.

Wtem zauważyli jakąś kobietę z kozłem. Była to właśnie Weronika, która nadchodziła od strony Chałup.

— Jeżeli umiesz kraść — rzekł student — to pokaż mi, czy potrafisz skraść tej babie kozła.

— Nie tylko kozła, ale i łachy z niej. Nawet nie zauważy kiedy.

Gdy już Weronika podeszła z kozłem do rozmawiających, rybak wbiegł do lasu. Prześcignął Weronikę i z gę-

stwy wyrzucił na drogę pięknie ozdobioną pochwę od sztyletu.

Szczuka podeszła do pochwy, spojrzała i pomyślała:

— Piękna pochwa, tylko nie ma sztyletu.

Rybak pobiegł dalej, aż za zakręt, i wyrzucił tam na piaszczystą drogę sztylet. Potem znów ukrył się w gęstwinie. Szczuka dostrzegła błyszczący sztylet i rzekła sama do siebie:

— Patrzcie, sztylet! A ja tam zostawiłam pochwę.

Przywiązała kozła do drzewa i wróciła po pochwę. Na

to tylko czekał złodziej. Odwiązał kozła, wciągnął w las i obciął mu głowę. Wziął kij, wszedł do płytkiego morza i niedaleko od brzegu wsadził kij w piasek, nadział głowę kozła na kij tak, że bródka sięgała do wody, a rogi sterczały nad wodą.

Weronika podniosła pochwę i uradowana wróciła do miejsca, gdzie uwiązała kozła. Zaczęła się rozglądać na wszystkie strony.

— Nie ma kozła! Uciekł. Zabiję, jak go dostanę — pomruczała i weszła w gęstwinę. Naraz usłyszała:

— Be, bee, eee...

To wołał złodziej leżący za wydumą.

Tam uciekł kozioł — domyśliła się i ruszyła biegiem przez wąski las do Małego Morza.

Wyszła na strąd wiku i stąd zauważyła sterczące z wody rogi kozła.

— Mój kozioł tonie. Ratujcie go! — zaczęła nawoływać.

Obejrzała się, a kiedy nikogo nie zobaczyła, zdjęła odzież i naga skoczyła do wody. Na to tylko czekał złodziej. Niezauważony chwycił szmaty. Usunął się w las, podniósł zarżniętego kozła i szurnął z nim do gdańskiego studenta. Ten pochwalił sztukę złodzieja.

— Teraz niech pan zapłaci tej biednej kobiecie za kozła i pójdziemy swoją drogą — rzekł rybak,

Szczuka tymczasem stała w lesie naga jak Ewa w raju i ryczała, jakby się całe piekło darło. Uspokoila się, gdy jej gdańszczanin rzucił w zarośla odzież i gotówkę równą wartości kozła.

— Czy to aby prawda? — powątpiewali rybacy.

— Jak nie prawda, to kłamstwo na pewno — zakończył Albin swoje opowiadanie.

Dopiero czwartego dnia rozpoczęli na nowo połowy, ale musieli zmienić łowisko. Dowiedzieli się bowiem, że śledź posunął się w kierunku południowym.

Połowy nie były tu obfite. Po dziesięciu dniach popłynęli pod burtę bazy, by wylądować plon czternastu dni połowów: czterysta beczek śledzi. Przy bazie stały już kutry Franciszka Borny i Józefa Fiszera. Borna narzekał na powolny wyladunek śledzia, psioczył przed rybakami na całą załogę bazy,

na słabą organizację w ogóle, bo już wyładował swoje śledzie, pobrał prowiant, świeże beczki i sól, a statek łącznikowy "Jastarnia" jeszcze nie przybył. Spodziewał się listu od żony i odpłynął bez wiadomości z domu.

Następnego dnia dopłynęły kutry z helskiej "Kogi" z szyprami Gerardem Boszkiem, Pawłem Boszkiem i Lipko wskim. 'V'

Tego dnia Hubert nie stanął w kolejce do wyładunku. Postanowił zrobić jeszcze parę zaciągów, by powiększyć liczbę beczek śledzia.

Pod wieczór w promieniach zachodzącego słońca ukazała się na horyzoncie sylwetka statku.

— To "Jastarnia" — rzekł Hubert. — Borna tak narzekał na powolny rozładunek, ale gdyby się nie spieszył, doczekałby listu.

— To by nie był Borna — rzekł Albin. — On dla prywatnej sprawy nie poświęci ani pięciu minut.

"Jastarnia" dobiła do bazy. Szyprowie pobrali pocztę i czasopisma dla załogi. Wieczorem w świetlicy bazy wyświetlono film przywieziony przez "Jastarnię". Wszystkie załogi czekające na wyładunek przez dwie godziny oglądały film "Przez kaszubskie ziemie".

Przez cały następny dzień rybacy w świetlicy bazy dzielili się własnymi doświadczeniami z połowów.

Po wyładunku kutry znów wypłynęły na łowiska. Teraz wiatry dały się więcej we znaki, bo wiały od północy. Groźna fala zmusiła kutry do schronienia się w portach brytyjskich.

Hubert wpłynął do Berwicku i przycumował do kei. Rankiem zauważyli, że kuter ich stoi na suchym dnie. Byłby się przewrócił na bok, gdyby nie był tak mocno przycumowany.

To trzeba wykorzystać — pomyślał Hubert. — Obejrzymy sobie nasz kuter od kadłuba. Zawsze coś się znajdzie do naprawienia.

Kilka godzin zeszło im na drobnych remontach. Hubert był bardzo zadowolony, bo zaoszczędzili sporo dewiz.

— Po co, dresze, mamy te pieniądze obcym zostawiać — mówił szyper pracując razem z załogą — kiedy sami możemy to naprawić.

Gdy znów nastąpił przypływ, kuter stanął na wodzie. Jak tylko wiatr zelżał, wypłynęli na połów wraz z innymi kutrami, które schroniły się do Nordsilc.

— Nie można rzec. Połowcy na Morzu Północnym nam się udały — mówił Hubert Konkol do Albina, kiedy dociągali włok z śledziami do burty.

— Niewiele byśmy zrobili, gdyby nie dobra organizacja. Cały czas w pobliżu stoi statek-baza, a “Jastarnia” utrzymuje łączność z krajem, przywozi listy, paliwo, a zawozi złowione ryby.

Znów krążyły nad nimi chmury mew, a w przezroczystej wodzie aż mrowiło się od tuńczyków.

— To ci los, drehu. Patrzymy na takie wspaniałe ryby i nie możemy ich łowić — narzekał bez przerwy Albin.

— Będziemy łowić — pocieszał go Hubert. — Profesor Demel wypłynął na statku badawczym na wybrzeże afrykańskie, by zbadać łowiska i sposób łowienia tuńczyków. Nasze połowy zawsze się rozpoczynały od badań Instytutu Rybackiego.

— Żeby choć tak jednego złapać — wzdychał Albin.

— Najpierw wyciągniemy na pokład połów śledzia, a potem złapiemy sobie tuńczyka — zgodził się szyper.

— Eh, czy nam się uda? — pomrukiwał Albin. — Taki olbrzym zerwie każdy sznur.

— Mamy stalówkę, a mechanik przyszykuje odpowiedni hak.

Załoga wyrzuciła z pokładu do wody kilka śniętych śledzi, na które tuńczyki rzuciły się żarłocznie. Następnie wypuścili haczyk z nadzianym śledziem. Minęło kilka minut, nim wreszcie jeden z olbrzymów połakomił się na okazałego śledzia na haczyku. Tuńczyk połknął przynętę i zaraz zaczął się okropnie szarpać, ale mechanik przymocował do stalowej liny drugą, cienką linkę stalową, którą podłączył do napięcia prądu z echosondy. Z miejsca zabił rybę. Załoga wciągnęła zdobycz na pokład.

— Przekażemy go Instytutowi Rybackiemu — powiedział Hubert do załogi. — Niech się ten łowiec przyczyni i nam, żebyśmy poznali lepiej te łowiska i ich mieszkańców. Żebyśmy umieli łowić nie gorzej od Szwedów i Duńczyków.

Tym razem połowy nie poszły tak łatwo, bo zachodni wiatr się przebudził i znów sztormowali.

Powoli napełniły się śledziami wszystkie beczki. Przy wyładunku na bazę rybacy mieli za to piękną ciszę. Zjechało się moc kutrów, nie tylko szkunerowskich, ale i arkowskich, a że pogoda była bezwietrzna i morze spokojne, wszystkie załogi zebrały się w świetlicy statku-bazy. Rybacy czytali prasę, słuchali wskazówek inżynierów ichtiologów, dzielili się własnymi spostrzeżeniami, a wieczorem przyglądali się wyświetlanym filmom.

— Lepiej tu niż w porcie — mówił Borna do Huberta — bo nie marnuje się czasu. Łowiska blisko, zaopatrzenie mamy, listy z dobrymi nowinami od żon nadeszły. Co nam brakuje?

Zbliżała się jesień. Wiały chłodne wiatry z północy i wschodu. Ławica śledzi przesunęła się na Doggerbank. Toteż wszystkie kutry ruszyły w tamtą stronę.

Połowy tu okazały się niezbyt obfite, ale rybacy byli zadowoleni.

— To są najlepsze połowy :— rzekł Hubert do załogi, gdy siedzieli wszyscy wieczorem w kubryku, tylko jeden trzymał wachtę na pokładzie — choć nie takie wielkie, ale za to możemy wszystkie śledzie odgardlić.

Tymczasem żony rybaków siedziały w domu przy radiach nastawionych na fale ultrakrótkie i słuchały wyników połowu, które radio “Szkuner” przekazywało ‘ z Morza Północnego: “Wła 104” — sto trzydzieści beczek śledzia, “Wła 106” — sto dwadzieścia beczek, “Wła 134” — sto jeden beczek.

— Mało mój ma złowione — rzekła żona Borny przekręcając gałkę radioodbiornika. — Może jutro będzie więcej.

W następne dni i “Wła 134” podciągnął się znacznie, ale nie tyle, by dogonić Józefa Fiszera czy Huberta Konkola. Ci mieli większą praktykę od Borny. Ale jeśli chodzi o przeciętną roczną w połowach, Borna też stał dobrze i nie dał się wiele prześcignąć.

Wreszcie przyszedł dzień, kiedy rybacy mogli napisać do swych bliskich, iż wnet będą wracać.

Dzieci Marty Bornowej codziennie stawały w oknie wpatrując się w morze, czy już ojciec nie wraca z Morza Północnego. Gdzieś po piętnastym października ujrzeli kutry wracające z dalekich łowisk. Sunęły wolno wzdłuż rozewskiego i helskiego brzegu zdążając w kierunku Helu i Gdyni.

— To nie nasz tata. To były helskie albo gdyńskie kutry — tłumaczyła Marta dzieciom, które ze łzami w oczach odeszły od okna.

Wreszcie pewnego poranku, gdy Marta Borna nastawiła odbiornik, usłyszała, że “Wła 104”, “Wła 106”, “133”, “134”, i “137” wracają do portu.

— Nasi wracają — Bornowa wpadła z wiadomością do mieszkania Hubertów.

— Też słyszałam.

— Teraz musimy coś upiec, trzeba mężów za ich trud godnie przyjąć. Pójdziemy do fryzjera, musimy ładnie wyglądać, by się mężom spodobać. Dzieciom trzeba nowe ubranka kupować.

— Nie zdążę ścian odświeżyć — martwiła się Rozalia.

Tego dnia władysławowski telegrafista miał prawdziwe

urwanie głowy. Co chwila musiał informować stęsknione kobiety, o której mogą spodziewać się przybycia swych mężów do portu.

Około godziny szesnastej ukazały się na morzu cztery superkutry.

— To nasi, to nasi — cieszyły się kobiety.

Marta szybko zgarnęła swoje dzieci, umyła, ubrała w nowiuteńkie ubranka i płaszczyki. Gdy kutry

zbliżyły się do Władysławowa, zabrała pociechy i udała się na molo odpraw.

Warkot silników stawał się coraz głośniejszy. Na molu odpraw pojawiły się władze rybackie i kapitanatu. Kutry wpływały do portu jeden za drugim. Nie było końca radości, gdy rybacy wyszli na molo.

— Jesteśmy znów razem — rzekł Borna, gdy wycałował żonę i dzieci.

Nastąpiła jeszcze krótka rozłąka rybaków z rodzinami. Kutry przywiozły w ładowniach ostatnie złowione śledzie i trzeba je było wyładować.

Zony rybaków wykorzystały te chwile na przygotowania do uroczystej kolacji. Zaczęli się schodzić najbliżsi krewni, ojcowie i matki.

Borna przez całą noc opowiadał o udanych połowach, wyliczał, ile beczek śledzia złowił, ile pieniędzy już wziął i ile ma do odebrania.

— Wszyscy rybacy dobrze zarobili — przyświadczył Hubert. — W tym roku połowy śledzia się udały. Na rynku krajowym nie powinno zabraknąć tej smacznej ryby.

— Najważniejsze, że wróciliście zdrowo i cało i że znów jesteśmy razem — mówiła Rozalia, gładząc ramię męża.

Radość Rozalii szybko się jednak skończyła. Jeszcze tego wieczora dowiedziała się, że jej mąż ma niedługo wypłynąć wraz z czterema kutrami na Rynnę Norweską, gdzie pojawiły się bogate ławice śledzia.

— Taki to los rybaka — mówił Hubert do żony. — Ryb tam pod dostatkiem. Trzeba się zatem przekonać, czy połowy na tamtych łowiskach będą się opłacać.

Za kilka dni zespół kutrów szkunerowskich wypłynął na wody norweskie.

Był już listopad, okres najsilniejszych wiatrów. Toteż w listopadzie kutry nie wpływały na połowy. Trzeba było ten okres przeczekać w porcie. Za to połowy grudniowe były bardzo obfite. Wszystkie ładownie wypełniono po brzegi śledziami, które wyładowano następnie w porcie norweskim. Norwedzy mieli je tam zamrozić, a potem mrożone już śledzie miały być odstawione do portów polskich. Dalsze ładunki śledzia szły już jednak bezpośrednio do kraju. Te połowy były najbardziej opłacalne, bo do kraju dostarczano świeżą rybę.

Wreszcie któregoś zimowego dnia szkunerowskie kutry powróciły z połowów na Rynnie Norweskiej.

— Pewno znowu gdzieś zaraz pojedziesz — wzdychała Rozalia, gdy mąż zasiadł za zastawionym stołem.

— Tym razem to pojedziemy oboje. Ty i ja. W góry. Do Zakopanego. Mam już załatwione wczasy. Na całe dwa tygodnie.

— Jakże tak dom zostawić? Dzieci? — troszczyła się Rozalia.

— Dzieci duże, a nam wypada coś więcej w życiu zobaczyć niż morze i strądowny piach — zażartował Hubert.

Rozdział XVII

Mona wyjął rybacki rożek. Nasypał w zagłębienie między dużym i wskazującym palcem szczyptę tabaki. Pociągnął i kichnął zdrowo.

— Znowu tabaki kupiłeś?! — wrzasnęła Weronika. — Ty byś tylko dętki tracił po próżnicy!

— Nie powinnaś, biańko, narzekać — rzekł pojednawczo Tona do żony. — Nigdy tyle pieniędzy nie mieliśmy, co teraz na książeczce PKO.

Weronika nic na to nie odpowiedziała.

— Dokąd to znów lecisz?! — krzyknęła po chwili, widząc, że mąż wybiera się z domu.

— Ano, muszę iść do Domu Rybaka. Zebranie tam urządzają. Ma też być Grzegorz Detlaf, który wrócił z Afryki. Z Gwinei. Pewnie zacznie opowiadać, co widział na tym czarnym strądzie. Ciekawie będzie posłuchać.

Weronika wzruszyła ramionami.

— I co tam ciekawego. Mało to ryb mają na naszym wiku, że muszą jeszcze gnać za nimi w obce światy. A biańki tylko płaczą po nocach, czy gdzieś się tam w jakiś Wiskajach nie potopili.

— Nie w Wiskajach, tylko w Biskajach — tłumaczył Tona. — A płakać nie mają czego. I na łądzie może się człowiekowi nieszczęście przytrafić. Oni zaś pływają na mocnych kurpach. Za moich młodych lat nikt ani marzył, że rybak będzie łowić na takich statkach i gonić za ławicami na Morze Północne czy Atlantyk. Teraz zaś gdzie nas nie ma? Afryka, nie Afryka i jeszcze innych uczymy, jak łowić.

— Całe szczęście, że ciebie tam nie ma — mruknęła Weronika. — Już ty byś kogo nauczył. Własnych dzieci nie mogłeś wykierować na ludzi. Piotr całkiem zszedł na psy. Co zarobi, to przepije. A zarobi mało. Chociaż jest już siwy chłop, nikt go nie chce nawet na młodszego rybaka wziąć na swój kuter.

— Ja nie nauczyłem? — oburzył się Tona na taką niesprawiedliwość żony. — A kto im książki w piec wrzucał? Ja? A kto ich wypędzał z domu, żeby szli krowy paść do gbura? Może też ja?... A dziś mówisz, że naszego Piotra nie chcą na żaden kuter. Teraz rybak musi być

światłym człowiekiem. Musi wiedzieć, gdzie leżą obce morza, żeby do nich dopłynąć, i musi umieć rozmówić się w obcym języku. Dziś nie jest tak, jak dawniej bywało. Nawet ryby zmieniły obyczaje i trzeba wiedzieć, gdzie i jak najlepiej dadzą się złowić,

— Tylko ty nie zmieniasz swoich tam obyczajów! — wrzasnęła Weronika. — Ciągłe byś gdzieś latał, żeby tylko nie siedzieć w domu.

Tona już nic nie rzekł, tylko zamknął za sobą cicho drzwi, zły, że wdał się w kłótnię z żoną. Mógł się przez to spóźnić i nie posłyszeć Detlafowej opowieści o połowach przy czarnym strądzie. A ciekaw był ogromnie.

Ale gdy przyszedł, Detlaf, otoczony gromadką władzy- sławowskich rybaków, dopiero zaczynał.

— Jak wiecie — mówił — w Świnoujściu nasze dwa kutry, na których mieliśmy łowić w Afryce, załadowano na statek. Ten nas miał zawieźć na zachodnie wybrzeże Afryki. Władze rybackie nie zaryzykowały wysłać kutrów przez burzliwą Biskaję, zwłaszcza w tej zimowej porze roku. Załadowano nas na “Świdnicę”. Po drodze “Świdnica” zawijała do różnych portów, by zostawić tam część swego ładunku. Nas wyładowano w Dakarze. Stąd już

o własnych siłach popłynęliśmy do Konakry.

Konakry od Dakaru oddalone jest trzysta osiemdziesiąt mil. Pogoda piękna. Ocean był spokojny jak staw, tylko martwa fala toczyła się z zachodu. Delfiny baraszkowały na spokojnej wodzie. Mówię wam, dresze, co za widok.

W Konakry czekał już na nas dyrektor “Szkunera”, Lech Stefański, który tu przybył kilka dni wcześniej, by wszystko zorganizować do przyszłych połowów.

Ledwośmy zdążyli zejść ze statku, jeszcze po porcie nikt z nas dobrze się nie rozejrzał, jak poproszono nas na przyjęcie. Władze Gwinei je urządzały. Ludzi było mnóstwo. Sami Afrykanie, Murzyni, wszyscy chcieli zobaczyć polskich rybaków. Dzień, choć to było 28 grudnia, gorący, jak w Polsce najcieplejszy dzień lipcowy.

Jedliśmy i piliśmy do późna. Następnego dnia radio Konakry ogłosiło, że wszyscy rybacy, którzy kiedyś już rybaczyli na kutrach kolonizatorów, mają się stawić do portu. Przyszła moc narodu. Wszyscy chcieli pływać i ło

wić z nami. Ale nasz dyrektor razem z ich dyrektorem wybrali tylko tyle, ile potrzeba załogi na dwa kutry. Z polskich załóg pozostali tylko na obu kutrach szyprowie i pierwsi mechanicy. Reszta załogi — sami Murzyni. U mnie przy sterze stanął wysoki Afrykanin — nazwiskiem Karnawa. Pojęcia o busoli to on nie miał żadnego. Wszystkie rumby i stopnie na różny kompasowej były dla niego całkiem do siebie podobne i dlatego co rusz schodził z kursu.

— Tu patrz — tłumaczyłem mu — na ten rumb i ria ten stopień 270, tak musisz sterować.

Ale ten niewiele z mego tłumaczenia rozumiał. Nie wiedział, co to rumb, ani co to stopień.

— Przecież pływali już na kutrach z Francuzami — przerwał któryś z słuchających Detlafa rybaków.

— I ja o to samo zapytałem mego sternika, który nie miał pojęcia o sterowaniu — rzekł Detlaf.

— I wiecie, com usłyszał? Posłuchajcie.

— Francuz nie dał nam steru do ręki i nie pokazywał busoli — rzekł mój rybak.

— Nie jmał Francuz do was zaufania? — zapytałem go wtedy. Ale on zdawał się nie rozumieć, co do niego mówię.

— Cambere nam nie dał steru do ręki — rzekł jeszcze raz — tylko nas bił.

— Kto to jest Cambere? — pytam go tedy.

Okazało się, że to Francuz, na którego kutrze pływali.

— Ten Francuz obchodził się z nim jak z niewolnikiem — oburzył się Tona. — Ale ty, knopie, pokazałeś mu co i jak jest z tą busolą?

— Oczywiście — przyświadczył Detlaf. — Kilka razy musiałem mu nastawiać ster na prawidłowy kurs. Ale gdy zbliżyliśmy się na łowisko, mój uczeń sterował już prostym kursem, bo pojął wreszcie, że trzeba sobie obrać gdzieś daleki punkt i kierował się na niego. Powoli też poznawał rumby i stopnie. Żebyście wiedzieli, jak się cieszył. To pojętny naród. Tylko długo ich trzymano w ciemnocie i zacofaniu. Kolonizatorzy uchodzili tam za bogów, a czarny naród traktowali jak bydło.

— To tak jak u nas Niemcy — westchnął Tona. — Niemiecki junkier też się cieszył, jak polski rybak był ciemny, bo łatwiej mógł go wtedy wykorzystać.

— Żebyście wiedzieli, że tak — rzekł Detlaf. — A najwięcej cieszyła się moja załoga, kiedy mówiłem im, że taki sam człowiek jak oni, choć mam białą skórę i wiem, gdzie trzeba statek prowadzić. I że oni mogą się rybołówstwa nauczyć, niech tylko przypatrują się dobrze. Odtąd chodzili za mną i patrzyli pilnie, co i jak robię. Jednego przydzieliłem do pomocy mechanikowi, żeby się nauczył obsługiwać silnik. Tylko całe nieszczęście było w tym, że Chmiel, nasz mechanik, nie bardzo mógł się z nim porozumieć, bo ani w ząb nie znał francuskiego. Najwięcej ich uczyłem, kiedy kuter zaczął ciągnąć włok. Brałem wszystkich do sterówki i tłumaczyłem: co to kompas, co igła magnetyczna, a co bieguny. I tak przez trzy godziny. A potem wyciągaliśmy włok.

— Dużo żeście tam ryb łowili?

— Jakie tam są ryby?

— Podobne¹ do naszych? — dopytywali rybacy.

— Czy dużo? Sieci nam o mało nie pękały. A najwięcej tam ryb z wyglądu podobnych do sandacza. Moi rybacy zwali je susami, surami, kapitanami i jeszcze jakoś. Nie pamiętam teraz. Raz we włoku szarpał się rekin. Dla nich rekin to nie nowina. Ale ja i Chmiel patrzyliśmy nań z podziwem. Mówię wam, dresze, olbrzym a nie ryba. Po długich manewrach udało się Murzynom uwiązać rekina za ogon i za pomocą talii wciągnęli owo wielkie cielsko na pokład. Sprawnie uwiązali ogon rekina do nadburcia, by machając nim nie uderzył czasem kogo i nie zabił. W sieci

trzeba było wyciąć otwór, żeby wyciągnąć tego ludojada na pokład. Wziąłem tedy kleszczkę

i wolniutko, żeby moi czarni rybacy dobrze zobaczyli, jak to robię, zawiązywałem oczka, bo i tego, jak się sieci reperuje, Francuzi im nie pokazali.

Po drugim zaciągu mieliśmy złowione tysiąc trzysta kilogramów ryby i to bardzo cenionej w tamtych stronach.

— Gdy nam zabraknie ryb na Bałtyku, to popłyniemy tam łowić, skoro te łowiska są tak bogate w smaczne ryby — rzekł jeden z rybaków.

— Nie przeszkadzaj — ofuknął go sąsiad — niech Detlaf dalej powiada.

— Słońce ledwo zapuszczało się ku zachodowi, gdy wyładowaliśmy ryby. Chciałem następnego dnia wcześniej

wypłynąć, ale moja załoga stawiała się na kuter dopiero

o godzinie siódmej.

— Nie bardzo to oni skorzy do roboty — zauważył Tona.

— Ja też tak pomyślałem wtedy. Ale wytłumaczyłem sobie rychło ich postępowanie. Gdy zobaczą w tej robocie własny interes, a nie kolonizatora, będą wstawać skoro świt.

Tego dnia zrobiliśmy też tylko dwa zaciągi i z takim połowem jak wczoraj wróciliśmy do Konakry. Żał mi było, że za mało złowiliśmy. Bo trzeba wam wiedzieć, dresze, że morze tam jakby stworzone do połowów. Cały czas glada. I jest na co popatrzeć. Delfiny baraszkują niczym foki w cyrku, wieloryby wypuszczające fontanny, makrele wysoko pluskające nad wodą. Raz się tak zagapiłem na te dziwy, że nie zauważyłem, jak Karnawa zrobił zwrot z powrotem. Jak to spostrzegłem, zerwałem się

1 krzyczę: t

— Znów się pomyliłeś w rumbach!

Ale gdym wszedł do sterówki, zobaczyłem, że mój sternik śpi w najlepsze. Najpierw poczułem złość, że nie pilnuje swojej roboty i może być przez to kłopot, ale potem pomyślałem, że do nich jednak trzeba inną miarę przykładać. I że mój sternik usnął nie z lenistwa, tylko z braku kondycji.

— Pewno — przyświadczył ktoś ze słuchających — jak widać, to za wiele chleba oni nie mieli przy tych Francuzach.

— Trąciłem go z lekka — mówił Detlaf — sternik się zerwał, jakby go ktoś co najmniej młotem uderzył.

— Idź, przyjacielu — mówię mu — z kolegami do kuchni. Nasmażcie sobie, jakich chcecie ryb i

najedzcie się, ile tylko podolacie. Musicie być silnymi i dobrymi rybakami: A jak już się nasycisz, to przyjdź tu i mnie zmienisz. Ja wtedy też pójdę coś przekąsić.

Nie musiałem mu tego dwa razy powtarzać.

Wybrali co lepszych ryb, wypatroszyli i wnet się zakopciło z komina kambuzowego. Patrząc, a tu idzie mój sternik.

Przecież jeszcze nie zdążył chyba podjeść sobie — myślę.

A on tymczasem prosi mnie na posiłek.

— Jadłeś już? — pytam go.

A on mi na to:

— Nie, wpierw patron.

I gładzi mnie po ramieniu, że niby jestem dobry patron.

Podczas następnych połowów było dżdżysto i padał deszcz. Afrykanie drżeli z zimna, choć termometr wskazywał plus dwadzieścia pięć stopni.

— Przecież było ciepło, to czemu drżeli? — zaśmiał się jeden z rybaków.

— Dwadzieścia pięć stopni to ciepło dla nas, ale dla nich to już było za zimno. Zresztą moi rybacy zamiast normalnego odzienia mieli tylko taką płachtę z otworami na głowę, a wiatr był nawet chłodny. Posłałem ich zatem do kubryku, żeby się ogrzali. Kiedy trzeba było włók wyciągnąć, przychodzę do nich i co widzę. Piec nagrany do czerwoności, a moja załoga okutana w ciepłe koce śpi w najlepsze.

— Gdyby przyszli na nasze wybrzeże i skosztowali naszej styczniowej zimy, to umarliby pewno — zachichotał ktoś ze słuchających.

— W tej swojej odzieży tak. Ale jakby ubrali się w takie ciepłe swetry, jak my nosimy, wytrzymałby jakoś.

Pewnego razu jeden z moich rybaków uratował mi życie — ciągnął Detlaf. — Dzień był pogodny i słoneczny, chodziłem więc po pokładzie w samych kąpielówkach. Akurat wyciągnęliśmy sieć, a w niej olbrzymią rybę-piłę. Ta jej piła była pewno ponad metr długa. Podszedłem bliżej, żeby się lepiej przyjrzeć, a ta jak nie rzuci łbem, jak nie szarpnie. Byłaby mnie trafiła w brzuch. Zostałbym rozpruty na amen, bo zęby w tej pile to miały co najmniej pięć centymetrów, ale Murzyni byli szybsi od tego potwora. Nim się dobrze zorientowałem, co mi groziło, ułamali rozbójnikowi piłę.

— To z tych Murzynów sp dobrzy ledze — rzekł Tona.

— Dobrzy i odważni — przyświadczył Detlaf. — Niedługo zaczęliśmy wypływać na dalsze

wody. Tam gdzie się zaczynały głębiny oceaniczne, spodziewałem się obfitszych połowów i cenniejszych gatunków ryb. Moja załoga bardzo się zaniepokoiła, gdy im pierwszy raz ląd znikł z oczu. Nigdy jeszcze nie wypływali tak daleko. Najwięcej się bali, czy zdołamy z powrotem trafić do portu.

— Trzeba było pokazać im mapę i wytłumaczyć, gdzie

jesteście, dokąd płyniecie i trasę, po której będziecie wracać — wtrącił któryś ze słuchających. — Od razu by się uspokoili.

— Tak też zrobiłem. Tłumaczyłem im, że mapa nie pozwoli nam zabłądzić.

— Ale ci Francuzi w ciemnocie ich trzymali — kręcił głową jakiś młody rybak,

— Wszystko dla swego zysku — mówił Detlaf. — Gdy echosonda wskazywała siedemdziesiąt metrów głębokości

i ławicę ryb przy samym dnie, kazałem swoim rybakom zarzucać sieć. Już po pierwszym zaciągu okazało się, że na tych nowych, głębszych łowiskach jest więcej ryb jak na poprzednich płytkich.

— Jakie ryby żeście wyciągnęli? — dopytywali rybacy.

— Przeważnie karp różowy i dorada. Te ryby są cenniejsze niż ryby z płytkich łowisk. Zrobiliśmy tego dnia trzy zaciągi. A gdy słońce zaszło i zrobiło się ciemno, rzuciliśmy kotwicę.

— A twoja załoga nie bała się nocować na morzu?

Detlaf zaśmiał się szeroko.

— Co się nie mieli bać. Pewnie, że się bali. Ale nie sam strach sprawia, że pogardzamy tchórzami. Tylko to, że tchórz nie umie pokonać w sobie tego strachu. A oni choć się bali, przemogli ten strach w sobie. Wyciągnąłem jeszcze raz mapę. Rozłożyłem ją i zacząłem pokazywać ląd i wysepki przy lądzie, latarnię, której wypatrują,

i port Konakry. Nazaczyłem na mapie, gdzie są. Tłumaczyłem im, jak się wyznacza kurs. Nie wiem, ile z tego wtedy pojęli. Ale s przestali okazywać strach.

Po dwóch dniach połowów zawróciliśmy w kierunku portu. Żebyście wiedzieli, jak się cieszyli, gdy ujrzeli ląd. Kto wie, może jednak nie byli tak bardzo pewni, że z tą swoją mapą trafię do ich kraju.

Następnego dnia wypłynęliśmy w innym kierunku. Ale tu połów okazał się słabszy. Złowiliśmy olbrzymią krowę morską. Powiadam wam, że paszczę to miała tak szeroką* że człowiek by na kolanach tam wszedł. Potem znów wyciągnęliśmy rybę-piłę, która miała sześć metrów długości, sam mierzyłem. Ale tym razem moi rybacy na wszelki wypadek odłamali groźną piłę zanim wyciągnęli rybę na pokład.

Gdzieśmy tam nie byli — mówił Detlaf. — Próbowaliś

my łowić, to tu, to tam, żeby przekonać się, gdzie, jakie są ryby i ile. Czasem mieliśmy olbrzymie zaciągi, czasem mizerne. A bywało, że darliśmy sieci o rafy koralowe. Mniejsze uszkodzenia naprawiałem sam. Zawsze robiłem to wolno, żeby się mogli dobrze przypatrzeć. I co powiecie. Z czasem sami przynieśli sobie kleszczki i wzięli się za reperację sieci. Zżyliśmy się niby jedna rodzina. Gdy pewnego dnia oznajmili mi, że mają święto, Ramadan, które trwa czterdzieści dni i podczas którego za białego dnia nie będą mogli ze mną jadać, bo w tym czasie wolno im jeść dopiero po zachodzie słońca, pościłem razem z nimi. Rano, jak zdążyliśmy sobie przyrządzić potrawę przed wschodem słońca, jedliśmy, a gdy nie zdążyliśmy, o głodzie czekaliśmy do zachodu słońca. I tak przez czterdzieści dni. Ostatniego, czterdziestego dnia, gdy wzeszedł na niebie cienki sierp księżycy, moi rybacy rozpalili ognisko w wannie na pokładzie na znak ukończonego postu. Najedliśmy się do syta i zasnęli snem spokojnym.

Przez całe gorące tropikalne lato wypływaliśmy na połowy. Opaliłem się tam, że nic się prawie nie różniłem od Afrykanów. Może miałem nieco brązowszą twarz, oni byli bardziej czarni. Ale tak na pierwszy rzut oka to wyglądałem całkiem jak Afrykanin. Bałem się nawet, że mnie Halinka, moja żona, nie pozna. Napisała mi właśnie, że stara się o to, żeby mnie odwiedzić. Pisała, że boi się trochę, jak sobie tu poradzi, bo nie zna wcale języka. Ale jak przyjechała, to radziła sobie całkiem nieźle. Afrykanie są bardzo uprzejmi dla białych kobiet, choć swoje własne żony biją dosyć często. Gdy Halinka chciała coś kupić, a nie wiedziała, jak ten towar nazwać po francusku, sprzedający wpuszczał ją za ladę, by sama sobie wzięła. Bardzo jej się tamtejsi ludzie spodobali.

— A widzieliście tam coś więcej niż port i morze? — zapytał Tona.

— A jakże, widziałem — rzekł Detlaf. — Jak Halinka przyjechała, dostałem kilka dni urlopu. Pojeździliśmy so- pie po okolicy.

— I ja bywałem w Afryce — wtrącił Tona. — Dawno, jeszcze za zaboru.

— A gdzieście byli? — zaciekał się Detlaf.

— W Casablance, w Lagos, w porcie Dakar, w Zanzi- barze.

— Ale macie doskonałą pamięć! — zdumiał się Detlaf.

— Bracie, już niejedno Rybakowski napisał, co mu opowiadałem o Szwedach czy Murzynach lub strasznych Prusakach. I jeszcze to pamiętam, że za moich czasów Anglicy i Niemcy w Kamerunie bili Murzynów pałkami gumowymi, jak nieludzkie stworzenia. Ale ty powiadasz, że ich nie biłeś, tylko uczyłeś rybackiego rzemiosła.

— Po to mnie przecież tam posłali — roześmiał się Detlaf. — Jeszcze za mego pobytu wielu z nich zostało mechanikami i nawet szyprami. A teraz, słyszę, oni przyjeżdżają do Gdyni na kursa nawigacyjne. Tylko patrzeć, jak nas dogonią w rybołówstwie.

— Morza je dużo na świecie — rzekł Tona — nikomu ryb w nim nie zabraknie.

— Nasi naukowcy z Instytutu Rybackiego znów badają dalekie łowiska. Pod Labradorem i Nową Szkocją — wtrącił któryś z rybaków. — Jak przepenetrują tamte wody, dadzą nam znać. Wtedy my tam pogonimy za ławicami.

— A widzisz — Tona triumfalnie spojrział na Detlafa, a potem powiódł wzrokiem po wszystkich, zebranych. — Nikomu nie zabraknie ani ryb w morzu, ani pracy na morzu. Nawet takim starym ludziom jak ja.

— Przecież ja nie rzekłem, że zabraknie — zaśmiał się Detlaf — powiedziałem tylko, że Afrykanie, jak się wezmą za rybołówstwo, to mogą nas prześcignąć.

— Jeśli tak, to co innego — zgodził się Tona. — Tedy wy młodzi musicie się starać, żeby utrzymać pierwszeństwo.

— Postaramy się, dziadku, postaramy — powiedział Detlaf.

Po kilku dniach Tona dowiedział się, że w Domu Rybaka odbywa się kontraktacja na rok 1965.

— Ryby są droższe — mówił Józef Gojka, który wracając z Domu Rybaka zaszedł do Tony.

— Czy aby i dla rybaków łodziowych? — zatroszczył się Tona.

— I dla rybaków łodziowych — mówił Gojka — kilogram fląder będzie kosztował teraz dwanaście złotych, a do tego dostaniemy jeszcze dwadzieścia procent premii.

— To warto więcej zakontraktować — ucieszył się Tona. — Dobrze, że i o nas, rybaków łodziowych, dbają. Póki mnie siły nie odstąpią, będę łowić. Tak jak Strądy Maciej, którego konającego musieliśmy wynieść na wydmy. I tam, trzymając w jednej ręce flądre a w drugiej pęczek glonów, wsłuchując się w szum fal morskich zasnął na wieki.

— Tak, tak — przyświadczył Gojka — to był dobry rybak i dobry człowiek.

— Idę do “Szkunera” podpisać kontrakt. Byleby zechcieli ze mną zawrzeć umowę — zmartwił się Tona.

— A zrobiłeś zeszłego roku plan? — zapytał Józef.

— Zrobiłem, i to z nadwyżką.

— To nic się nie bój. Na pewno podpiszą.

Urządник podpisujący umowę z Toną potwierdził wiadomość o podwyżce cen na ryby, ale poinformował także, że i sieci podrożały.

— Zakontraktowałem ze “Szkunerm” połów na rok 1965 — rzekł Tona do swej białki, gdy wrócił do domu. — Ryby podrożały.

— To dobrze, chłopie, zarobimy więcej — ucieszyła się Weronika.

— Mówili też, że sieci będą droższe — dodał Tona.

— Sieci droższe? — wrzasnęła Weronika. — Za ryby trochę dopłaca, ale za to ściągają to sobie z nadwyżką przy sieciach!

— Tak to nie jest, biało, jak mówisz.. Obliczyłem wszystko i wyszło mnie, że podług nowych cen ryb, pomimo podrożenia sieci, jeszcze dobrze wyjdziemy.

— Jeśli jest tak, jak mówisz, to po co wszystko przekręcać? Niechby było po staremu.

— Tak nie mogło zostać — tłumaczył Tona — bo państwo dokładało do sieci.

— Przedtem dokładało do sieci, a teraz ukrzywdzi biednego rybaka — piekliła się Weronika.

— Mówię ci, biało, żem sobie wszystko policzył i widzę, że na nowych cenach wyjdziemy z zyskiem.

— Nie wierzę w to! — wrzasnęła Weronika. — Ty tak mówisz, bo jesteś zawsze z państwem na jedno. Mnie nikt nie oszuka. Pójdę do Morskiej Centrali Zaopatrzenia

i kupię na zapas sieci — postanowiła. — Potem gdy będą droższe, będzie za późno.

— Po co chcesz kupować sieci? — zdziwił się Tona. — Mamy jeszcze cały zapas. Jestem stary, długo żyć już nie będę, nawet tych sieci, co mam, nie zużyję.

— Jaki ty, chłopie, niemądry jesteś. A czym starszy, tym głupszy. Teraz kupię, a potem sprzedam, gdy będą droższe. Jeszcze na tym wszystkim dobrze zarobię.

— Nie masz, biało, prawa tak robić. To jest zwykła kradzież.

— Kradzież, cóż ty, chłopie, biedzisz? Kogo niby ja okradam? — wrzeszczała coraz głośniejsze Weronika. — W życiu po cudze nie wyciągnęłam ręki, a on mi teraz mówi, że okradam kogoś.

— Przecież to będzie tak, jakbyś z tego sklepu, co te sieci sprzedaje, ukradła te pieniądze, co je zarobisz, sprzedając te sieci po podwyżce. A to jest taki sam grzech, czy się państwo okrada, czy sąsiada.

— Ty mi choć na starość skończ przypominać to twoje państwo. Ryby łowisz dla państwa, podatek płacisz dla państwa, sieci konserwujesz i mówisz, że masz je od państwa, a co ty masz z tego?!

~ Jak to co? A to, że stół mamy zastawiony, to się u ciebie nie liczy?

— Co to ma wspólnego z zakupem sieci — wzruszyła ramionami Weronika.

Tona widząc, że nie przekona żony, zarzucił sieci na ramię i poszedł do swych maszopów.

Żaden z nich nie chciał jednak wyjeżdżać na połów.

— O tej porze roku ryb mało — mówili. — Nie opłaci się zastawiać sieci.

Sam tedy zastawię — postanowił Tona i udał się na strąd.

— Sami wypływacie na morze? — dziwili się żołnierze WOP-u, którzy pomagali ściągnąć *
Tonie łódź do morza.

— Moi maszopi nie chcieli wypływać. Mówią, że im się to nie opłaca. Zobaczymy, co rzekną, jak przyjdzie zima, a z nią sztormy i lody. Wtedy choćby chcieli, nie wyjadą na połowy. Sami sobie będą winru, jak do ich chat zajrzy bieda.

— Nie mamy wielkiej ochoty pana samego na morze wypuścić — rzekł jeden z żołnierzy.

— Panowie, ja tu blisko brzegu zastawię. Nic mi się nie stanie. Głada.

Stary rybak rzeczywiście wypłynął niedaleko. Nie więcej jak dwa kilometry od strądu. Zaniepokojonym żołnierzom zdawało się jednak, że rozstawia swe sieci na środku morza.

Tonie nie tak łatwo szło zastawianie sieci w pojedynkę. Już latarnia rozewska błyskała, gdy skończył swoją robotę i zarzucił kotwiczną linę z chorągiewką, która pływała na powierzchni wskazując miejsce zastawienia sieci. Potem usiadł do wiosła i zaczął wiosłować w stronę Piaskowego Żłobu do przystani, skąd wypłynął. Wiosłował, ile sił w rękach, by jak najprędzej wrócić do brzegu, bo zaczął padać deszcz. Naraz zerwał się silny wiatr, fala zaczęła szybko wzrastać, wiatr dał z przeciwnego kierunku, od brzegu. Stary rybak wiosłował, aż dulki skrzypiały, ale łódź nie posuwała się wcale naprzód.

Utonę — pomyślał sobie w pewnej chwili. — Byłoby jeszcze dobrze trochę porybaczyć, bo ryby będą droższe.

Smugi deszczu przesłoniły brzeg i. błyski rozewskiej latarni. Chmura północnego ptactwa zerwała się i dzwoniącym głosem wszczyniała wrzawę.

Dzwonią mnie na śmierć — myślał rybak — morskie ptactwo żegna morskiego rybaka.

Nagle przed dziobem jego łodzi coś się zaczerniło. Tona ujrzał rybacką łódź, a w niej czterech tęgich rybaków wiosłujących co sił w ramionach. Podali Tonie linę, którą ten uwiązał za dziób swej łodzi. Czterech rybaków zaczęło holować łódź Tony do brzegu. Bryzgi wody zalewały mu oczy. Przecierał je nieustannie dłońmi, by widzieć, czy brzeg jest blisko.

Jak to dobrze, że nie zginąłem w tej słonej fali — myślał Tona. Dobrze jest żyć. Będzie wiosna, będzie lato, będą obfite połowy fląder. Ryby będą droższe i będzie premia, i będę jeszcze mógł łowić.

Gdy dobili do brzegu, Tona dziękował swoim ratownikom.

— Gdybyście nie podpłynęli, zginąłbym.

— Żołnierze wojska pogranicznego zaalarmowali nas, im należy się od was podziękowanie.

Maszopi pomogli wyciągnąć Tonie daleko na strąd łódź. Wiatr wykręcał do północy i spodziewano się presku. Stary rybak powoli włókł się za rybakami Piaskowym Żłobem do góry. Gdy doszli do szosy, ujrzeni żonę Tony,

obładowaną sieciami, jak wielbłąd idący w karawanie z towarami.

— Kobieto, co ty dźwigasz? — zapytał jeden z rybaków.

— Sieci sobie nakupowałam. Mają być droższe.

— A tyle tobie sprzedali? — zdziwił się drugi rybak.

— Sprzedali, bo mój ma książkę materiałową jako właściciel łodzi.

— Mnie by się też przydała flądrowa sieć. Stara całkiem już się podarła — rzekł rybak, który pierwszy zagadnął Weronikę.

— Nie ma więcej flądrowych sieci, bo wszystkie trzydzieści, które tam były, kupiłam — odpowiedziała Weronika.

— No, to teraz, jeśli który z nas będzie chciał kupić, to nie dostanie.

— Gdybyście przyszli w porę, tobyście dostali.

— Poszlibyśmy, ale WOP nas zaalarmował, że wasz chłop był w niebezpieczeństwie, więc udaliśmy się mu na pomoc.

Weronika zgarbiona pod ciężarem sieci przystanęła

i obejrzała się szukając w ciemności swego chłopca, który w tej chwili przyczłapał.

— Ile masz tych sieci nakupowane? — zapytał Tona patrząc na obładowaną żonę.

— Trzydzieści sieci flądrowych — odpowiedziała Weronika.

— Sądząc po opakowaniu musisz mieć trochę więcej.

— Mam jeszcze trochę drobnooczkowych, sprzedam je drogo handlarzom.

— Biało, co ty robisz, to rzecz karalna.

— Szkoda, że ciebie sztorm nie zapędził na środek morza, to by nauczyło ciebie rozumu. Twoja

sprawiedliwość wyłazi mi już uszami.

Nic się nie zmieniła przez sześćdziesiąt lat — myślał Tona patrząc na obładowaną kobietę. — Wszystko się zmienia wokół. Ani śladu nie ma po dawnym życiu, tylko ona pozostała taka sama. Taka sama niby piach na strą- dzie.

Objaśnienia mniej zrozumiałych słów gwarowych i morskich

bezan — żagiel na tylnym, ostatnim, maszcie białka — kobieta, żona bioj — idź, biegnij

bita — przedmioty z rozbitych statków wyrzucone przez fale na brzeg bliza — latarnia morska bot — łódź brutka — narzeczona budla — butla

ceza — mały niewód do poławiania fląder, najstarszy rodzaj sieci

hceme le so zażec — zaproszenie do zażycia tabaki hceme le so wepic — zaproszenie do wypicia
checz — chata czede — kiedy

denega — fala

dewiacja — nauka o magnetyźmie okrętowym dreh, drehu, dresze — druh, druhu, druhowie
dryfkotwa — rodzaj kotwicy pływającej, w postaci długiego, stożkowatego worka bez dna, wykonanego z impregnowanego płótna

dryfować — być znoszonym z kursu przez wiatr lub falę dulki — oparcie dla wiosł

dzewu — dzika

feszmark — tak nazywają Kaszubi Targ Rybny w Gdańsku nad Motławą, na którym od stuleci handlowano rybami fok — pierwszy maszt od dziobu lub główny żagiel na tym maszcie

gbur — bogaty chłop

glada — gładkie morze, cisza na morzu

grot — drugi maszt od dziobu lub żagiel na tym maszcie

gwesno — na pewno, oczywiście

jadro — sieć

kambuz — kuchnia okrętowa

karzenica — kobieta roznosząca ryby w koszu

karznia — kosz do noszenia ryb

kaszorek — siatka na kij do chwytania i noszenia ryb kecz — statek żaglowy dwumasztowy; maszt

tylny znacznie niższy od przedniego keja — nabrzeże portu

kilwater — ślad wodny poruszającego się statku kleszczka — drewniana igła do dziania sieci kliwer — przedni żagiel trójkątny podnoszony na linie umocowanej do dziobnicy knop — chłopiec kornus — żytniówka kostuszki — marki polskie ksenter — mimośród

kubryk — kajuta przeznaczona na mieszkanie dla załogi statku

kurp — przenośnie: statek, łajba

laskorn rodzaj niewodu o bardzo długich skrzydłach, służy do połowu łososi log — przyrząd do mierzenia drogi przebytej przez statek lub jego szybkości

lugier — większy statek rybacki, motorowy, poławiający pławnicami

manca — sieć zastawna na śledzia i szprota maszop — członek maszoperii

maszoperia — sezonowy związek rybaków, założony dla wspólnego przeprowadzania połowów; na czele maszoperii stał szyper — rybak kierujący połowami mielica — odmiana łososa muca — czapka

nenka — matka

neta — sieć zastawna (pojedyncza) do połowu flądry i dorsza, a także śledzia norda, nord — wiatr północny, północ (strona świata)

ost — wiatr wschodni

paczena — wiosło

pławnica — sieć rybacka zawieszona pionowo pod powierzchnią wody, utrzymująca się za pomocą pływaków i ciężarków

poler, pacholek — słupek z drewna, kamienia lub żelaza służący do zakładania cum pomeranka — typ łodzi żaglowej o stępce długiej na 24 stopy presk — przy bój, nadbrzeżne kotłowisko łamiących się fal pręcza — dziewczyna lekkich obyczajów przyz — zdobycz morska pułki — kartofle w mundurkach

Purtek — diabeł kaszubski oraz ogólna nazwa diabła reling — barierka wokół pokładu statku

roszta — ruszty, które przywiązuje się umarłemu do nóg, żeby ciało od razu poszło na dno

skorznie — rybackie buty z długimi, sięgającymi do pach cholewami Strandvogt — dozorca, strażnik nabrzeża strąd — brzeg

szada broda — nie ogolona broda

szlara — żaglowiec dwu- lub trzymasztowy ze skośnymi żaglami

szkot — linka do ustawiania żagli, umocowana do dziobu — poziomego drzewca, do którego przymocowany jest dolny brzeg żagla

takielunek — ogólne olinowanie statku

talia, wielokrążek — urządzenie służące do podnoszenia ciężarów

wiedno — zawsze wik — zatoka wilusie — pieniądze

zęza. — miejsce na statku, gdzie zbiera się przeciekająca przez poszycie (lub w inny sposób) woda, rozlane smary, paliwo itp.

zoloj — część plaży zalewana przez fale

zyd, zyda — wiatr południowy

zyd-ost — wiatr lub kierunek południowo-wschodni

żaki — wężcierze do połowu ryb

żdże krewa... — czekaj, krowo, aż urośnie trawa